

**NORA ROBERTS**

**BEZTROSKI KSIĄŻĘ**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Koń niezmordowanie piął się po stromym zboczach, wzbijając kopytami tumany kurzu. Na szczycie stanął dęba i zatańczył na tylnych nogach. Przez ułamek sekundy koń i jeździec wyglądali jak kamienny posąg na tle nieskazitelnego błękitu nieba.

Ledwie kopyta dotknęły ziemi, jeździec dźgnął rumaka ostrogą, zmuszając go do szaleńczego biegu w dół stromizny. Ścieżka, którą jechali, była wąska i wiała się pomiędzy kamienną ścianą z jednej strony a przepaścią z drugiej.

Tylko człowiek szalony mógł odważyć się na tak niebezpieczną jazdę, mając za nic własne zdrowie i życie. Tylko szaleniec albo marzyciel.

- *Avant, Drakula!* - Komendzie wydanej niskim, nieco aroganckim tonem, towarzyszył wyzywający śmiech. Tak mówił i śmiał się tylko ten, dla kogo życie jest balem, a ryzyko winem, od którego szumi w głowie.

Ptaki, spłoszone donośnym dudnieniem kopyt, poderwały się do lotu i z wrzaskiem krążyły nad urwiskiem. Ani koń, ani jeździec nie zwrócili na to najmniejszej uwagi. Kiedy nagle pojawił się przed nimi ostry zakręt, pokonali go bez chwili wahania. Dwadzieścia metrów niżej kipiało wzburzone morze. Jeździec spojrzał w dół, w ślad za drobnymi kamyczkami, które bezszelestnie nikły w otchłani, ale nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby zwolnić biegu.

Tak wysoko w górze nie czuć było zapachu morza. Ledwie dobiegało tu bicie fal o skały nabrzeża. Stłumiony odgłos przypominał pomrukiwanie odległej, więc jeszcze niegroźnej burzy. Natomiast morze oglądane z wysoka ujawniało całe swe magiczne i zatrważające piękno, któremu ludzie od wieków składali w ofierze życie.

Jeździec rozumiał to i w pełni akceptował. Takie było odwieczne i niezmienne prawo. W chwilach takich jak ta pokornie oddawał się w ręce przeznaczenia...

Koń nie potrzebował już szpicruty ani ostrogi. Wystarczyło, że wyczuł podniecenie jeźdźcy, a sam przyspieszał biegu. Galopowali więc bez wytchnienia, póki nie usłyszeli ogłuszającego ryku fal, zmieszanego z żałosnymi krzykami mew.

Ktoś patrzący z boku mógłby pomyśleć, że brawurowego jeźdźcy ścigają wściekłe demony lub że spieszą mu na miłosną schadzki. Wystarczyło jednak spojrzeć na jego twarz, by zrozumieć, że nie chodzi ani o jedno, ani o drugie.

W ciemnych oczach palił się ogień, ale nie wzniecił go ani strach, ani pożądanie. Rozpalił go głód wrażeń. Liczyła się tylko chwila i nic więcej.

Pęd powietrza rozwiewał ciemne włosy mężczyzny i plątał końską grzywę. Kruczożarny potężny ogier był wulkanem energii. Jego lśniące boki pokryły się pianą, ale oddech pozostał mocny i równy. Koń zdawał się w ogóle nie czuć ciężaru człowieka, którego niósł na grzbiecie. Ten zaś trzymał się w siodle prosto i pewnie. W wyrazie szczupłej, smagłej twarzy i w uśmiechu pełnych ust widać było beztruską przyjemność.

Kiedy droga stała się płaska, koń znacznie wydłużył krok. Szybko przemknęli pośród kamiennych domków niewielkiej osady. Po bokach mignęło kolorowe pranie łopoczące na wietrze, bujne kwiaty w miniaturowych ogródkach i ostre promienie popołudniowego słońca, odbite od szyb szeroko otwartych okien. Wierzchowiec doskonale znał drogę, więc sam skierował się w stronę żywoplotu, który sięgał do pasa dorosłemu mężczyźnie.

Pokonał go lekkim skokiem.

W oddali widać było zabudowania stajni. O ile ostre skały wybrzeża budziły grozę i niebezpieczną pokusę, o tyle pejzaż, który się teraz przed nimi roztoczył, emanował spokojem i harmonią. Białe domy kryte czerwoną dachówką odcinały się od soczystej zieleni trawników, malowniczo wpisując się w południowy krajobraz.

W ogrodzonych wybiegach krążyły konie pod czujnym okiem stajennych. Słyszac zbliżający się tętent, jeden z nich zatrzymał młodą klacz, którą trenował na lonży. Skończony wariat, pomyślał nie bez podziwu, gdy szalony jeździec przemknął obok niego jak wichur. Dwóch ludzi czekało już w pogotowiu, by natychmiast zająć się zdronym ogierem.

- Wasza Wysokość!

Jego Wysokość, książę Bennett de Cordina, zwinnie zeskoczył z grzbietu Drakuli i wesoło zawołał do stajennego:

- Hej, Pipit! Sam się nim zajmę.

Stajenny, człowiek już niemłody, lekko utykając, wysunął się naprzód. Jego ogorzala twarz nie zdradzała żadnych emocji, lecz oczy czujnie badały, czy aby książę i jego rumak nie odnieśli kontuzji.

- Proszę wybaczyć, jaśnie panie - odezwał się z szacunkiem - ale kiedy pana nie było, przysłali wiadomość z pałacu. Książę Armand chce się z panem pilnie zobaczyć.

Rozczarowany Bennett podał mężczyźnie wodze. Przyjemność jazdy nie była pełna bez spokojnej godziny, którą po niej spędzał w stajni. Lubił sam oprowadzać, a potem czyścić i poić Drakulę. Skoro jednak ojciec chce się z nim widzieć, musi przełożyć obowiązki ponad przyjemność.

- Przespaceruj się z nim porządnie, Pipit. Zrobiliśmy dziś sporo kilometrów.

- Słucham, jaśnie panie - potaknął stajenny. - Zrobię wszystko, jak się należy - powiedział, klepiąc Drakulę po wilgotnym karku.

- Świetnie, Pipit. Dziękuję.

- Nie ma za co dziękować, jaśnie panie - odparł stajenny i ostrożnie zdjął siodło. - I tak nikt inny nie odważyłby się podejść do tego diabła.

I rzeczywiście, kiedy ogier zrobił się niespokojny, wystarczyło, że Pipit wyszeptał do niego parę słów po francusku, a koń natychmiast się uspokoił.

- Poza tym nikt inny nie ma mojego pełnego zaufania - roześmiał się Bennett. Przeszedł się i energicznie zrobił kilka skrętów tułowia, próbując rozmasować drobne skurcze mięśni. - Dorzuć mu dzisiaj dodatkową szufłę ziarna, dobrze?

- Jak pan sobie życzy.

Wciąż czując podniecenie jazdą, zostawił wreszcie stajnie i ruszył w stronę pałacu. Po drodze myślał, że jemu także przydałoby się trochę czasu na ochłonięcie. Szaleńcza galopada zaspokoila tylko część jego żądz wrażeń. Aby żyć, potrzebował ruchu i dzikiego pędu. Jednak nade wszystko potrzebował wolności.

Od prawie trzech miesięcy trzymał się blisko dworu, który tolerował razem z całym protokołem, ceremoniami i pompą. Był drugi w kolejce do tronu, więc jego publiczne obowiązki nie były aż tak absorbujące jak te, które musiał wypełniać jego starszy brat, Aleksander. Ale nie mniej żmudne/Ponieważ towarzyszyły mu od dzieciństwa, przywykł do nich i starał się traktować je jak coś normalnego. Jednak od pewnego czasu funkcje reprezentacyjne zaczęły go irytować.

Gabriella na pewno to widziała. Bennett podejrzewał nawet, że siostra go rozumie, bo sama również tęskniła za wolnością i prywatnością. W końcu udało jej się wywalczyć trochę swobody. Gdy dwa lata temu Aleksander poślubił Eve, ciężar reprezentowania dworu przeszedł częściowo na małżonkę następcy tronu.

Zresztą Gabriella nigdy nie uchylała się od obowiązków. Zjawiała się zawsze, kiedy była potrzebna, pomyślał, wchodząc do pałacu przez ogrodowe drzwi. Zaczął się zastanawiać, jakim cudem jego siostra znajduje na wszystko czas. Co roku przez sześć miesięcy pracowała na rzecz fundacji niosącej pomoc niepełnosprawnym dzieciom i przy tym nawale obowiązków potrafiła zadbać o własną rodzinę.

Wepchnął ręce do kieszeni i z ociąganiem szedł po schodach wiodących do książej kancelarii. Sam nie potrafił zrozumieć, co się z nim działo. W ciągu ostatnich miesięcy coraz częściej myślał o tym, by którejs nocy wymknąć się chyłkiem z pałacu i uciec choćby na koniec świata.

Pomimo kiego nastroju, pukając do ojcowskich drzwi, starał się zachować pogodną minę.

- *Entrez!*

Biurko, za którym Bennett spodziewał się zastać ojca, było puste, księżę zaś siedział przy oknie i pił herbatę. Miejsce naprzeciw niego zajęła jakaś młoda dama, która na widok Bennetta wstała z miejsca.

Jako znawca i wielbiciel kobiet dyskretnie obejrzał ją od stóp do głów.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ojcze, ale powiedziano mi, że chciałeś mnie widzieć.

- Owszem, choć było to dość dawno temu. Chciałbym ci przedstawić lady Hannah Rothchild.

- Wasza Wysokość. - Ukłoniła się, spuszczać skromnie wzrok.

- Miło mi, lady Hannah. - Podał jej rękę. Atrakcyjna, ale mało efektowna, podsumował.

Osobieście gustował w mniej subtelnych damach. Sądząc po akcencie, Angielka. A on wolał Francuzki. Szczupła, schludna i elegancka. Tymczasem jego pociągały bardziej zmysłowe kobiety.

- Witamy w Cordinie.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. - Akcent miała rzeczywiście czysto brytyjski, ton głosu wyważony i spokojny. Spojrzała na niego przelotnie i wtedy zauważył jej intensywnie zielone, błyszczące oczy.

- Usiądź, moja droga - poprosił księżę Armand i sięgnął po puste nakrycie. - Bennecie?

Hannah dostrzegła niechęć, z jaką zerknął na dzbanek z herbatą. Mimo to usiadł i wziął od ojca filiżankę.

- Matka lady Hannah jest naszą daleką krewną - mówił tymczasem księżę. - Eve poznała Hannah podczas niedawnej wizyty w Anglii i zaprosiła do nas w charakterze swojej damy dworu.

Bennett miał nadzieję, że nie będzie musiał jej zabawiać ani dotrzymywać towarzystwa. Była ładna, ale w skromnej szarej sukience ze stójką, zapiętej na ostatni guzik i kończącej się tuż za kolanem, wyglądała jak zakonnica. Mdły kolor nie dodawał życia jej bladej wyspiarskiej cerze. Gdyby nie piękne oczy, jej twarz nie wyróżniałaby się niczym szczególnym. Z włosami surowo ściągniętymi do tyłu przypominała wiktoriańską damę do towarzystwa albo guwernantkę. Była mdła. Co oczywiście nie zwalniało go od dobrych manier, więc uraczył ją jednym ze swych sympatycznych uśmiechów.

- Mam nadzieję, że polubi pani nas, a my polubimy panią - rzekł przyjaźnie.

Hannah odwzajemniła uśmiech. Zastanowiło ją, czy Bennett jest świadom swej męskiej urody, tak wspaniale podkreślonej przez prosty strój do konnej jazdy.

- Jestem pewna, że mi się tu spodoba, Wasza Wysokość. Czuję się zaszczycona prośbą księżnej Eve, abym towarzyszyła jej podczas oczekiwań na narodziny drugiego dziecka. Dołożę starań, żeby umilić jej ten czas i służyć pomocą. Jeżeli zajdzie taka potrzeba.

- Lady Hannah wielkodusznie zgodziła się poświęcić nam nieco swego cennego czasu.

- Książę Armand odruchowo poczęstował ich ciastem. Głowę miał zaprzątniętą czymś zgoła innym, ale z przyzwyczajenia pełnił rolę gospodarza. - Hannah jest badaczem literatury, i o ile mi wiadomo, pracuje właśnie nad cyklem esejów.

Tego się można było spodziewać, pomyślał Bennett zgryźliwie.

- Fascynujące!

Na ustach Hannah pojawił się cień uśmiechu.

- Czy Wasza Wysokość czytuje Yeatsa?

- Rzadko. - Bennett poprawił się w fotelu, coraz bardziej żalując, że nie mógł zostać w tajni.

- Pod koniec tygodnia do pałacu dotrą moje książki. Proszę z nich śmiało korzystać - zaproponowała, po czym wstała z miejsca. - A teraz, jeśli Wasza Wysokość pozwoli, chciałabym dopilnować rozpakowywania moich rzeczy.

- Naturalnie. - Książę Armand również wstał i odprowadził ją do drzwi. - Zobaczymy się podczas kolacji. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, natychmiast wezwij służbę.

- Dziękuję panu. - Ukłoniła się z wdziękiem. - Do widzenia, Wasza Wysokość - dodała, zwracając się do Bennetta.

- Miłego dnia - odparł pogodnie.

Zaczekał, aż zamkną się za nią drzwi, po czym znużony przysiadł na poręczu fotela.

- Nim minie tydzień, Eve zanudzi się z nią na śmierć - zawyrokował. - Co jej przyszło do głowy, żeby ją tu zapraszać?

- Eve bardzo ją polubiła - stwierdził krótko książę i ku radości Bennetta wyjął z barku karafkę. - Hannah to doskonale wychowana młoda dama, pochodząca z pierwszorzędnej rodziny. Jej ojciec jest powszechnie szanowanym członkiem brytyjskiego parlamentu.

Brandy miało pełny i bogaty aromat. Książę nalał cennego trunku bardzo oszczędnie.

- Świetnie - wzruszył ramionami Bennett - ale... - Nagle dłoń, którą sięgał po kieliszek, zastygła w bezruchu. - Na miłość boską, ojcze! Chyba nie myślisz mnie z nią swatać? Uprzedzam, że nie jest w moim typie!

Surowe usta Armanda złagodniały w uśmiechu.

- Wiem o tym. I zapewniam, że lady Hannah nie przyjechała tu, aby wodzić cię na pokuszenie.

- Musiałyby się bardzo starać. - Bennett kilka razy zakręcił kieliszkiem, po czym upił mały łyk. - Yeats? - prychnął.

- Są tacy, którzy uważają, że literatura nie kończy się na podręcznikach do konnej jazdy - rzekł książę z przekąsem.

- Wolę to niż wiersze o nieszczęśliwej miłości albo pięknie ukrytym w kropli deszczu - zaperzył się Bennett, ponieważ jednak poczuł się niezręcznie, szybko ustąpił: - Zresztą mniejsza o to. Postaram się, żeby przyjaciółka Eve czuła się miłym gościem.

- Nie wątpię.

- Arabska klacz będzie się żrebić na Boże Narodzenie - oznajmił Bennett, z ulgą przechodząc to spraw, które były mu bliższe. - Jestem pewien, że urodzi się ogier. Drakula płodzi silnych synów. Trzy konie będą gotowe do wiosennej aukcji, a jednego chcę wystawić do próbnych gonitw przedolimpijskich.

Książę Armand z roztargnieniem skinął głową. Nie krył, że nie jest zainteresowany tematem. Bennett poczuł narastającą złość, ale uporał się z nią szybko. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jego stajnie nie należą do ojcowskich priorytetów. Zresztą trudno, żeby konkurowały z polityką wewnętrzną i zagraniczną państwa oraz decyzjami rady królestwa.

Jednak poza polityczną grą istniało w życiu coś jeszcze. Konie dawały nie tylko przyjemność, ale i prestiż, bowiem królestwo Cordiny szczyciło się posiadaniem najlepszych stajni w Europie.

Bennett właśnie w tej dziedzinie odnajdywał swoją rolę. Pracował z końmi od dziecka, poświęcając im całą energię i zapał. Z czasem przeczytał wszystko, co napisano na temat hodowli koni. Jak się okazało, miał do tego wrodzony talent, więc szybko osiągnął świetne rezultaty. Pod jego czujnym okiem dobre dotąd stajnie przemieniły się w najlepsze. Bennett czasem miał więc ochotę porozmawiać o swojej pasji z kimś innym niż pracownicy stajni lub inni hodowcy. Zdawał sobie sprawę, że ojciec, bez reszty pochłonięty sprawami państwa, nie jest odpowiednią osobą do takich dyskusji.

- Zdaje się, że wybrałem nie najlepszy moment - stwierdził, upiwszy łyk brandy, i spokojnie czekał, aż ojciec powie, co leży mu na sercu.

- Wybacz synu, ale rzeczywiście tak. - Jako ojcu Armandowi było przykro. Jako książę musiał zapomnieć o takich uczuciach. - Chciałbym wiedzieć, co będziesz robił w przysłym tygodniu - dodał po chwili.

To pytanie sprawiło, że Bennetta znowu ogarnęło zniecierpliwienie. Wstał i zaczął przechadzać się od okna do okna. Morze zdawało się być tak blisko, a jednocześnie bardzo daleko. Przez moment zapragnął znowu stanąć na pokładzie statku, setki mil od lądu, i czekać na nadciągającą burzę.

- Niestety, nie wiem nic pewnego na temat moich oficjalnych planów - przyznał. - Zdaje się, że pod koniec tygodnia jadę do Hawru. Mam spotkanie z przedstawicielami spółdzielni rolniczych, poza tym jakieś lunche i kolacje. Sekretarz co rano informuje mnie, co będę robił. Jeśli chcesz, poproszę, żeby przygotował dla ciebie szczegółowy plan. Na pewno będę przecinał przynajmniej jedną wstęgę.

- Czujesz się przytłoczony?

Bennett wzruszył ramionami, szybko dopił trunek, po czym uśmiechnął się pogodnie. Życie było zbyt krótkie, by marnować je na uzalanie się nad swoim losem.

- Wszystko przez te wstęgi - zażartował. - Reszta ma przynajmniej jakiś sens.

- Nasi poddani oczekują od nas czegoś więcej niż tylko rządzenia.

- Wiem, tato. Mój problem polega na tym, że nie ma we mnie ani cierpliwości Aleksandra, ani spokoju Brie, ani twojego opanowania.

- Szkoda, bo wkrótce będzie ci to potrzebne. - Armand odstawił kieliszek i twardo spojrzał synowi w oczy. - Za dwa dni Deboque wychodzi z więzienia.

Deboque. Sam dźwięk tego nazwiska wystarczył, żeby Bennetta przeszył gorący dreszcz. Francois Deboque. Człowiek, który zorganizował porwanie jego siostry i przygotował zamach na ojca i starszego brata.

Deboque. Bennett dotknął miejsca pod lewą łopatką. Tędy weszła kula wystrzelona przez kochankę Deboque'a. Dla Deboqua. I przez Deboqua.

Bomba podłożona dwa lata wcześniej w paryskiej ambasadzie była przeznaczona dla księcia Armanda. Zabiła jego oddanego asystenta, który osierocił żonę i troje dzieci. Również za tym zamachem stał Deboque.

Choć od uprowadzenia Gabrielli minęło dziesięć lat, nikt przez ten czas nie zdołał udowodnić Deboque'owi winy. Do sprawy włączono najlepszych europejskich agentów, między innymi szwagra Bennetta, ale żadnemu nie udało się zdobyć wystarczających dowodów, że to Deboque był mózgiem wszystkich zbrodni. A teraz ma lada dzień wyjść na wolność.

Bennett ani przez moment nie wątpił, że Deboque będzie szukał zemsty. Po odsiedzeniu dziesięciu lat w cordińskim więzieniu uważał królewską rodzinę za swojego



śmiertelnego wroga. Co ciekawe, siedząc za kratkami, cały czas nadzorował handel bronią, narkotykami i kobietami.

I choć nie było co do tego najmniejszych wątpliwości, niestety, nie było również jednoznacznych dowodów.

W pałacu przybędzie strażników. Zostanie wzmocniona ochrona. Interpol i System Międzynarodowego Bezpieczeństwa będą pracowały na pełnych obrotach. Co z tego, skoro do tej pory Deboque skutecznie bronił się przed najcięższymi zarzutami? Prawda zaś była taka, że dopóki przebywał na wolności i kierował swoją przestępczą organizacją, Cordina, a wraz z nią reszta Europy, nie mogła spać spokojnie.

Tego wieczoru rodzina Bennetta zasiadła do kolacji w komplecie. W rozmowach dało się wyczuć pewne napięcie, jednak ze względu na obecność gościa Eve mówiono raczej o sprawach ogólnych. Co do lady Hannah, to przez cały czas siedziała sztywno wyprostowana i odzywała się tylko wtedy, gdy ktoś ją o coś zapytał.

Bennett najchętniej odesłałby ją z powrotem do Anglii, jednak ujęła go jawnym przywiązaniem, jakie okazywała jego bratowej. Eve była w trzecim miesiącu ciąży, więc za wszelką cenę należało oszczędzić jej stresu. Dwa lata wcześniej omal nie zginęła w zamachu, próbując własnym ciałem osłonić Aleksandra. Jeśli więc lady Hannah potrafi sprawić, by Eve nie rozpamiętywała tamtej tragedii, Bennett gotów był zaakceptować jej obecność w pałacu.

Po pierwsze, czuł, że musi pilnie porozmawiać z Reeve'em. Reeve MacGee był nie tylko jego szwagrem, lecz także szefem bezpieczeństwa, toteż musiał znać odpowiedzi na różne pytania, których Bennett miał teraz dziesiątki. Na pewno trzeba będzie zrobić dużo więcej niż tylko wzmocnić strażę. Bennett nie zamierzał czekać z założonymi rękami, aż inni wykonają całą robotę i zapewnią ochronę jemu i jego najbliższym.

Póki co spacerował po ogrodzie, do którego wyszedł zaraz po kolacji. Klnąc pod nosem, włożył ręce do kieszeni i odruchowo zerknął na granatowe niebo, rozjaśnione blaskiem dopełniającego się księżyca. Normalnie w takiej sytuacji pragnąłby obecności kobiety, z którą mógłby dzielić urok księżycowej nocy. Teraz jednak, przygnębiony i sfrustrowany, wolał być sam.

Kiedy psy zaczęły warczeć, na moment zeszywniał. Dałby głowę, że w ogrodzie oprócz niego nie ma nikogo. Z drugiej strony, nigdy nie mógł być tego pewien. Tak czy owak jego leciwe charty nigdy nie warczały na członków rodziny ani na służących. Podświadomie szykując się do konfrontacji, cicho ruszył w stronę, z której dochodziły dźwięki.

Jej śmiech bardzo go zaskoczył. Nie był sztywny ani wymuszony. Wręcz przeciwnie, dźwięczała w nim prawdziwa radość życia. Z pewnej odległości Bennett obserwował, jak Hannah schyla się, by pogłaskać psa, który łąsił się do jej kolan.

- Hej, miła z was para! - rzekła ze śmiechem, kiedy podbiegł do niej drugi pies. Gdy przyklękła, światło księżyca padło na jej twarz i szyję.

Zaintrygowany Bennett zmrużył oczy. Zastanowiło go, że w tej chwili jego nowa znajoma wcale nie wygląda na cichą szarą myszkę. Blask księżyca wyostrzył rzeźbę jej twarzy, ożywił naturalną bladość cery i dodał głębi zielonym oczom. Bennett mógłby przysiąc, że w jakiś magiczny sposób dostrzegł w tej kobiecie siłę i namiętność. A były to cechy, na które był wyczulony. Śmiech Hannah niósł się w powietrzu, pogodny jak promień słońca, duszny jak parna noc.

- Ejże, nie skaczcie na mnie - zaprotestowała. - Wybrudzicie mnie i co ja potem powiem?

- Najlepiej nie mówić nic.

Słyszając jego głos, gwałtownie podniosła głowę. Przez moment wyglądała na zaskoczoną, ale kiedy się wyprostowała, znowu była chłodną angielską damą. Dlatego pomyślał, że pasja, którą w niej dostrzegł, była tylko złudzeniem.

- Dobry wieczór, Wasza Wysokość. - Hannah była zła, że dała się tak łatwo podejść.

- Sądziłem, że jestem w ogrodzie sam.

- Ja również. - I to był jej błąd. - Przepraszam.

- Nie ma za co. Nie może pani spać?

- Niestety. Kiedy podróżuję, zawsze jestem trochę niespokojna.

Psy zostawiły ją i pobiegły do swojego pana. Patrząc, jak je głaskał, nie mogła oprzeć się myśli, że wiele kobiet musiało zaznać podobnej pieczyoty.

- Okna mojej sypialni wychodzą na ogród, postanowiłam więc pójść na spacer - wyjaśniła.

Tak naprawdę zwabił ją słodki, upajający zapach egzotycznych roślin. Postanowiła więc połączyć przyjemne z pożytecznym i przy okazji spaceru zrobić szybki szkic terenu.

- Osobiście wolę ogród nocą. Nocą wszystko wygląda inaczej - zauważył, przyglądając się jej. - Nie sądzi pani?

- Owszem. - Skromnie skrzyżowała opuszczone ramiona. Tak przyjemnie było na niego popatrzeć, wszystko jedno, za dnia czy w nocy. Psy znowu podbiegły do niej i zaczęły trącać mokrymi nosami jej dłonie.

- Polubiły panią.

- Pewnie czują, że lubię zwierzęta. - Wyciągnęła rękę, by je pogłaskać. Wtedy po raz pierwszy zauważył, że jej ręce są smukłe i delikatne. - Jak się wabią pańskie psy?

- Borys i Natasza.

- Trudno o lepsze imiona dla rosyjskich chartów.

- Kiedy je dostałem, w telewizji nadawali amerykańską kreskówkę o szpiegach.

- O szpiegach? - Dłoń gładząca psi grzbiet na ułamek sekundy zastygła w bezruchu.

- Tak, dwaj beznadziejni radzieccy szpiegowie bezskutecznie tropiący myszkę i wiewiórkę.

- Aha. Niestety, nigdy nie byłam w Ameryce.

- Naprawdę? To bardzo ciekawy kraj. Odkąd kilku członków naszej rodziny wzięło ślub z Amerykanami, Cordina nawiązała z tym krajem bliskie stosunki.

- Jakiś czas temu poznałam pańską siostrę, Gabriellę. Uroczą i bardzo piękną kobietą.

- Hannah uśmiechnęła się lekko.

- Owszem. To ciekawe... - rzekł z namysłem. - Byłem w Anglii wiele razy, ale nigdy pani nie spotkałem. To dziwne.

- Wręcz przeciwnie, Wasza Wysokość. Spotkaliśmy się.

- Jest pani pewna?

- Jak najbardziej. Pan tego nie pamięta, ale kilka lat temu księżę Walii wydawał bal dobroczynny. Właśnie na nim królowa matka przedstawiła panu mnie i moją kuzynkę, lady Sarę. O ile sobie przypominam, pan i ona zostaliście potem bliskimi... przyjaciółmi.

- Sara? - Cofnął się myślą do wspomnianego balu i natychmiast wszystko sobie przypomniał. Jego pamięć, z reguły dobra, w sprawach kobiet była bezbłędna. - Oczywiście, pamiętam panią - powiedział, choć trochę mijał się z prawdą.

W jego wspomnieniach Hannah była niewyraźną zjawą ginącą w cieniu pięknej i efektownej kuzynki.

- Jak się miewa lady Sara?

- Dziękuję, bardzo dobrze. - Jeśli w tych słowach był sarkazm, to bardzo subtelny. - Właśnie niedawno wyszła po raz drugi za mąż. Czy mam ją od pana pozdrowić?

- Zostawiam to do pani uznania. - Znowu się jej przyjrzał. - Miała pani wtedy na sobie niebieską suknię, bardzo jasną, prawie białą.

Hannah uniosła lekko brwi. Doskonale wiedziała, że ledwo ją wtedy zauważył. Fakt, że po tylu latach pamiętał kolor jej sukni, mocno ją zastanowił. Taka pamięć mogła być bardzo pomocna. Albo niebezpieczna.

- Pan mi pochlebia, Wasza Wysokość.

- Przyjąłem zasadę, żeby nigdy nie zapominać spotkanych kobiet.

- Wierzę.

- Zdaje się, że moja dobra opinia sięga daleko poza granice Cordiny. - Zmarszczył brwi, zaraz jednak uśmiechnął się niedbale i zapytał: - Nie obawia się pani przebywać sam na sam w księżycową noc z...

- „Arystokratycznym hulaką”? - dokończyła za niego.

- A więc pani czyta...

- Pasjami. A jeśli chodzi o pańskie pytanie, to nie obawiam się ani trochę.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale tylko się roześmiał.

- Muszę pani wyznać, lady Hannah, że nieczęsto bywam tak zgrabnie przywołany do porządku.

Był bystry. O tym też powinna pamiętać.

- Pan wybaczy, ale nie miałam takiego zamiaru.

- Właśnie, że pani miała i zrobiła to pani po mistrzowsku. - Wziął ją za rękę.

Nie cofnęła dłoni. Pozostawiła ją, chłodną i pewną, w jego uścisku. Pomyślał, że chyba nazbyt się pospieszył, uznając ją za nudziarę.

- Przepraszam, że próbowałem panią sprowokować. Obiecuję więcej tego nie robić. Zaczynam rozumieć, dlaczego Eve chciała mieć panią przy sobie.

Hannah dawno temu nauczyła się blokować poczucie winy. Ta umiejętność przyszła jej teraz z pomocą.

- Bardzo polubiłam pańską bratową, więc jej zaproszenie przyjął z wielką radością. Przyznam się panu, że od pierwszego wejrzenia zakochałam się w malutkiej księżniczce Marissie.

- O, tak. Nie ma jeszcze roku, a już rządzi całym pałacem. - Na wspomnienie bratanicy złagodniały mu oczy. - Może jej urok bierze się stąd, że jest bardzo podobna do matki.

Hannah delikatnie wysunęła rękę z jego dłoni. Jakiś czas temu słyszała plotki, że Bennett był zakochany w swej bratowej. Nie trzeba było aż tak dobrego obserwatora jak ona, by dostrzec uczucie, z jakim o niej mówił. Musi to koniecznie odnotować. Być może ta informacja kiedyś się przyda.

- Pozwoli pan, że się pożegnaj. Pora, żebym wróciła do pokoju.

- Dlaczego? Jest jeszcze wcześnie. - Sam nie rozumiał, czemu próbował ją zatrzymać. Nawet nie przypuszczał, że będzie mu się z nią tak dobrze rozmawiało. W ogóle nie sądził, że kiedykolwiek będzie miał ochotę z nią rozmawiać.

- Zwykle kładę się wcześnie.

- W takim razie pozwoli pani, że ją odprowadzę.

- Proszę nie robić sobie kłopotu, znam drogę. Dobranoc, Wasza Wysokość - powiedziała i zniknęła w mroku alei.

Co ona w sobie ma? Na pierwszy rzut oka zdawała się tak bezbarwna, że mogła wtopić się w każde tło. A jednak... Idąc w stronę pałacu, postanowił rozszyfrować, skąd bierze się tajemniczy urok lady Hannah. Bawiąc się w odkrywanie prawdy ukrytej pod maską dobrego wychowania, mógł choćby na chwilę zapomnieć o Deboque'u.

Hannah nie sprawdziła, czy za nią poszedł. Pośpiesznie weszła do pałacu przez ogrodowe drzwi i od razu skierowała się ku schodom. Miała wrodzony dar bezszelestnego poruszania się, a jej obecność była tak dyskretna, że z łatwością potrafiła pozostawać niemal nie zauważona. Z biegiem czasu udoskonaliła tę umiejętność i często ją wykorzystywała, zawsze z doskonałym skutkiem.

Szła po schodach pewnie, nie oglądając się za siebie. Była zdania, że ten, kto musi sprawdzać, czy nie jest śledzony, już wpadł w tarapaty. Gdy znalazła się w swoim pokoju, najpierw starannie zamknęła drzwi, a potem sprawdziła, czy zasłony są szczelnie zaciągnięte. Dopiero wtedy zrzuciła swoje wygodne, praktyczne pantofle. Spojrzała na nie z niechęcią, ale podniosła je i schowała do szafy. Kobieta, za jaką chciała uchodzić, na pewno nie rozrzucałaby swoich rzeczy po całym pokoju. Z tej samej przyczyny jej skromna koktajlowa sukienka powędrowała do garderoby, choć lady Hannah była zdania, że już dawno powinna trafić na śmietnik.

Stała na środku pokoju w króciutkiej koszulce wykończonej koronką. Szczupła, smukła, długonoga kobieta o mlecznobiałej karnacji. Kiedy z westchnieniem ulgi wyciągnęła z koka długie szpilki, jej bujne włosy opadły ciężko, przykrywając plecy.

Nikt, kto znał skromną lady Hannah Rothchild, nie potrafiłby pojąć tej niezwyklej transformacji. Rola, którą odgrywała od dziesięciu lat, była dopracowana w każdym szczególe.

Lady Hannah uwielbiała jedwab i koronki, ale zredukowała je do ozdób swoich nocnych strojów i bielizny. Lny i tweedy bardziej pasowały do wizerunku, który z takim trudem tworzyła.

Lady Hannah pasjami lubiła leżeć w aromatycznej kąpieli, czytając krwawe kryminały, jednak na nocnym stoliku trzymała elegancko wydany egzemplarz Chaucera i potrafiła z pamięci zacytować, a potem omówić jego mało znane fragmenty.

Ta sytuacja nie wynikała z rozdwojenia jaźni, lecz ze zwykłej konieczności. Gdyby lady Hannah miała się nad tym głębiej zastanowić, musiałyby dojść do wniosku, że czuła się

jednakowo dobrze w obu swych wcieleniach. Co więcej, z czasem polubiła przeciętną, dobrze wychowaną i niezbyt urodziwą Hannah. Inaczej nie byłaby w stanie ścierpieć konieczności chodzenia w praktycznym obuwiu na niskim obcasie.

Pod tą mało efektowną powierzchownością kryła się druga natura lady Hannah Rothchild, jedynej córki lorda Rothehilda i wnuczki hrabiego Fenton. Natura przebiegła i nieco lekkomyślna, kochająca wszystko, co niebezpieczne. Ta strona osobowości, połączona z fotograficzną pamięcią i wspomnianą umiejętnością stawania się niewidzialną, czyniła z lady Hannah idealną agentkę służb specjalnych.

Z górnej szuflady komody wyjęła przenośną skrzyneczkę, w której trzymała biżuterię. Oprócz klejnotów odpowiednich dla młodej damy z wyższych sfer trzymała w niej notatnik, dobrze ukryty w podwójnym dnie. Zasiadła z nim wygodnie przy zgrabnym biurczku z różanego drewna i zabrała się do sporządzania dziennego raportu. Nie poszła do ogrodu po to, by rozkoszować się zapachem róż, choć zabawiła tam dłużej właśnie ze względu na ich urodę. Teraz zaś musiała włączyć do notatek szczegółową mapkę terenu. Starannie naniosła rzut pałacu, zaznaczając łatwo dostępne wejścia i okna. Jutro, najdalej pojutrze będzie musiała zdobyć plan pracy strażników.

Bez trudu udało jej się zaprzyjaźnić z Eve, która czuła się bardzo samotna z dala od ojczyzny, rodziny i przyjaciół. Potrzebowała bratniej duszy, z którą mogłaby dzielić troski i podziwiać ukochaną córeczkę.

Hannah gorliwie wzięła na siebie tę rolę.

Na myśl o tym znowu ogarnęły ją wyrzuty sumienia, ale jak zwykle natychmiast je stłumiła. Praca przede wszystkim. Nie mogła sobie pozwolić, by sympatia, jaką czuła do Eve, przeszkodziła jej w wykonaniu zadania. W końcu pracowała nad nim od dwóch lat.

Nim przystąpiła do opisu spotkania z Bermettem, przez chwilę zbierała myśli. Był inny, niż sobie wyobrażała, choć tak przystojny i czarujący, jak opisano w raportach. Nie spodziewała się, że taki mężczyzna poświęci tyle uwagi nudnej lady Hannah.

Wertując jego teczkę, szybko przypięła mu etykietkę egoisty i playboya, który zmienia kochanki jak rękawiczki. Teraz była skłonna uwierzyć, że próbował w ten sposób zabić nudę. Zmrużyła oczy i przypomniała sobie, jak się do niej uśmiechał. Mężczyzna z jego wyglądem, pozycją i doświadczeniem bez trudu mógł oczarować każdą kobietę. Musiała przyznać, że książkę Bennett robił to z godną podziwu gorliwością. Jego liczne podboje zostały skrzętnie odnotowane w tajnych aktach. Było więc bardzo prawdopodobne, że tak wytrawny kolekcjoner zechce dołączyć do swych zbiorów jeszcze jeden klejnot. W postaci Hannah.

Mimo woli przypomniawszy sobie, jak cudownie wyglądał w świetle księżyca. I jak na nią patrzył. Miał mocne, twarde dłonie - to nie były ręce człowieka, który zajmuje się wyłącznie pozdrawianiem poddanych.

Energicznie pokręciła głową, przywołując się do porządku. W tym przypadku flirt dla przyjemności w ogóle nie wchodził w grę. Mogła wszakże brać go pod uwagę ze względów praktycznych.

Zamyślona stuknęła końcem ołówka w zapisaną stronę. Doszła do wniosku, że romans z Bennettem tylko skomplikowałby sprawę, choć sama przygoda byłaby pewnie ekscytująca, a bliska zażyłość dałaby spore korzyści. Mimo to, nie. Nadal więc będzie musiała skromnie spuszczać oczy i stroić do niego niewinne minki.

Upewniwszy się, że nikt nie może jej podejrzeć, ukryła notatnik. Jednak skrzynkę z biżuterią pozostawiła w widocznym miejscu. A więc udało jej się dotrzeć do celu. Dumna z siebie, po raz kolejny rozejrzała się po pokoju.

Deboque na pewno będzie zadowolony.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Tak bardzo się cieszę, że zgodziłaś się do mnie przyjechać! - mówiła Eve, prowadząc Hannah na zaplecze teatru. - Odkąd jesteś, Aleksander przestał mnie zadreć swoją przesadną troską. Uważa, że jesteś taka rozsądna!

- I ma rację.

- Ja wiem. - Eve roześmiała się. - Ale nie mówisz mi ciągle, żebym o siebie dbała, ani nie zmuszasz do leżenia w łóżku.

- Mężczyźni często wyobrażają sobie, że ciąża to ciężka choroba.

- Właśnie! Zadowolona, że wreszcie ma obok siebie bratnią duszę, Eve zaprosiła Hannah do swego biura. Miękkim ruchem odgarnęła długie, ciemne włosy i z ulgą i przysiadła na brzegu biurka. Tu przynajmniej mogła czuć się swobodnie i cieszyć tą odrobiną prywatności, która jej została. Wprawdzie nigdy nie żałowała dawnego życia, z którego musiała zrezygnować, wychodząc za księcia, ale od czasu do czasu musiała wyrwać dla siebie choćby parę godzin tego, co nazywała normalnością.

- Aleksowi ciągle się zdaje, że zasłabnę albo się czymś zdenerwuję - westchnęła. - Tymczasem nigdy nie czułam się lepiej niż teraz, no może tylko wtedy, gdy byłam w ciąży z Marissa. Gdybyś nie przyjechała, musiałabym stoczyć z nim bój, żeby pozwolił mi pracować. A tak godzi się, bo wie, że będziesz mnie miała na oku.

- Obiecuję, że go nie zawiodę. - Hannah dyskretnie rozejrzała się po pokoju. Nie było w nim okna. To dobrze.

- Podziwiam to, co robisz, Eve - powiedziała szczerze. - Centrum Sztuki zawsze miało opinię dobrego teatru, ale odkąd zaczęłaś nim kierować, stało się jedną z najlepszych scen w Europie.

- Taki był mój cel. - Eve spojrzała na wysadzaną brylantami obrączkę. Choć od ślubu minęły już dwa lata, czasem ledwie mogła uwierzyć, że wszystko to naprawdę się wydarzyło.

- Wiesz, Hannah, są takie ranki, kiedy boję się otworzyć oczy, bo wydaje mi się, że moje życie to sen. A potem patrzę na Aleksa i Marissę, i myślę o tym, że są moi. Naprawdę moi. - W jej oczach pojawił się lęk połączony z determinacją. Nikomu nie pozwolę ich skrzywdzić!

- Nikt tego nie robi - uspokoiła ją Hannah. Wiedziała, że Eve myśli o Deboque'u, i rozumiała jej obawy. Jednak pozycja księżnej nakazywała panować nad lękami.

- Może najpierw napijemy się herbaty - zaproponowała - a potem powiesz mi, w czym mogłabym pomóc.



Eve z trudem oderwała się od niewesołych myśli. Mimo upływu czasu nie potrafiła uwolnić się od koszmarnych wspomnień.

- Dobry pomysł z tą herbatą - powiedziała. - Hannah, nie przyprowadziłam cię do Centrum po to, żeby wynajdywać ci pracę. Po prostu chciałam, żebyś zobaczyła to miejsce.

- Eve, przecież wiesz, że muszę mieć jakieś zajęcie. Inaczej umrę z nudów.

- Ale ja cię tu zaprosiłam na wakacje.

- Są ludzie, którzy nie miewają wakacji - oznajmiła Hannah, wyzbywając się skrupułów.

- Rozumiem. Proponuję więc, żebyś obejrzała ze mną próbę sztuki, a potem szczerze powiedziała mi, co o tym myślisz, dobrze?

- Oczywiście.

- Trochę się denerwuję. Do premiery zostało ledwie parę tygodni, a wciąż mam kłopoty z autorem.

- Tak? A kto nim jest?

- Ja.

Hannah w skupieniu śledziła pracę aktorów. Szybko zorientowała się, że zespół darzy Eve dużym szacunkiem. Nie tylko jako żonę następcy trony, lecz przede wszystkim jako wybitną znawczynię teatru.

Kiedy nie patrzyła na scenę, dyskretnie obserwowwała dwóch strażników, którzy wprawdzie trzymali się z boku, ale nie odstępowali księżnej na krok. Kiedy znajdowała się w teatrze, wszystkie wejścia były pozamykane, a wewnętrzne przejścia strzeżone. Specjalna grupa żołnierzy codziennie przetrząsała budynek w poszukiwaniu materiałów wybuchowych.

Hannah myślała nie tylko o pracy. Zawsze podziwiała ludzi teatru za talent i rzemiosło, które pozwalały im tworzyć niezapomniane kreacje. Wiedziała, że zespół Eve składa się z indywidualności. Podświadomie wyszukiwała w pamięci informacje o poszczególnych osobach. Ich życie, od przebiegu kariery począwszy, na kontaktach prywatnych kończąc, nie było dla niej tajemnicą. Musiała ich sprawdzić, skoro przed dwoma laty to właśnie aktor, niejaki Russ Talbot, stał się wykonawcą morderczych planów Deboque'a. Hannah brała pod uwagę, że poza nią może tu działać ktoś inny. Deboque lubi dobrze się zabezpieczyć.

- Czy ona nie jest wspaniała? Hannah spojrzała na nią pytająco.

- Przepraszam, zamyśliłam się. O kim mówisz?

- O Chantel O'Hurley. Jest rewelacyjna. Bardzo rzadko występuje na scenie, więc mieliśmy dużo szczęścia, że zgodziła się przyjąć rolę w naszym przedstawieniu.

Hanna przyjrzała się postawnej, zgrabnej blondynce. Chantel O'Hurley. Komputerowa pamięć natychmiast wyłuskała wszystkie informacje na temat aktorki. Dwadzieścia sześć lat. Amerykańska gwiazda filmowa. Mieszka w Beverly Hills. Rodzice: Frances i Margaret O'Hurley, wędrowni aktorzy. Dwie siostry, jeden brat.

W teczce Chantel znajdowały się drobiazgowo informacje na temat jej najbliższych. Jedynie brat, Trace, pozostawał zagadką. Co do samej Chantel, to w materiałach nie było słowa na temat jej ewentualnych powiązań z jakąkolwiek organizacją. Mimo to Hannah postanowiła mieć ją na oku.

- Ona jest wprost stworzona do roli Julii - westchnęła Eve. - Do tej pory nie mogę uwierzyć, że gra w mojej sztuce.

- Jestem pewna, że czuje się zaszczycona, mogąc zagrać w sztuce napisanej przez księżnę Cordiny.

Eve ze śmiechem pokręciła głową.

- Gdyby sztuka była marna, Chantel nie zagrałaby w niej, nawet gdyby napisała ją sama królowa angielska. Mówiąc szczerze, ta świadomość dodaje mi otuchy.

- Członkowie rodziny panującej nie piszą marnych sztuk.

Słyszac głos męża, Eve odwróciła się i wyciągnęła obie dłonie.

- Aleksandrze! Co tu robisz?

- Interesuję się pracą Centrum Sztuki - wyjaśnił, całując jej rękę. Potem przywitał się z Hannah. - Proszę nie wstawać. Nie chciałem wam przeszkadzać.

- Wiem - westchnęła Eve, zerkając w stronę sceny, gdzie trwała próba. - Przyjechałeś mnie skontrolować.

Aleksander skwitował tę uwagę wzruszeniem ramion. Hannah zauważyła, że sprawdził, czy ochroniarze są na miejscach.

- Nie zapominaj, moja droga, że jestem prezesem tej instytucji. Mam więc prawo wiedzieć, co się w niej dzieje. Poza tym właśnie trwają próby sztuki napisanej przez moją żonę. Chyba wypada, żebym wykazał zainteresowanie?

- Owszem, ale i tak wiem, że chciałeś zobaczyć, czy się nie przepracowuję. - W głosie Eve była frustracja, ale i czułość. Wstała z fotela i całując męża w policzek, poprosiła: - Hannah, powiedz jego Księżęcej Wysokości, że cały czas bardzo na siebie uważam.

- To prawda, Wasza Wysokość.

- Dziękuję, Hannah. Wiem, że w dużym stopniu to pani zasługa. - Lekki uśmiech złagodził surowe oblicze księcia.

- Widzisz, Hannah? - Rozbawiona Eve wzięła męża pod ramię. - Wcale nie przesadziłam, mówiąc, że Aleks najchętniej zatrudniłby dla mnie opiekunkę. Gdybyś do mnie nie przyjechała, musiałabym chodzić wszędzie w towarzystwie dwumetrowego, wytatowanego zapaśnika.

- Cieszę się, że cię od tego uchroniłam - rzekła Hannah.

Zaskoczyło ją uczucie, jakiego doznała, obserwując książęcą parę. Czyżby to była zazdrość? Śmieszne, ale naprawdę ją poczuła. Aleksander i Eve byli tak bardzo w sobie zakochani, że potęga uczucia tworzyła wokół nich niezwykłą aurę. Czy zdawali sobie sprawę, że dostali od losu niezwykle rzadki dar?

- Skoro już przeszkodziłem - odezwał się książę - to może uda mi się namówić cię, żebyś towarzyszyła mi podczas lunchu z amerykańskim senatorem?

- Z tym jankesem z Maine?

- Tak jest. Wrócimy do pałacu akurat wtedy, gdy Marissa będzie się budziła.

- Myślałam, że po południu masz jakieś spotkanie.

- Odwołałem je. - Aleksander podniósł jej rękę do ust. - Chcę spędzić to popołudnie z rodziną.

Oczy Eve pojaśniały ze szczęścia.

- Daj mi pięć minut - poprosiła, wstając. - Hannah, czy masz ochotę pójść z nami?

- Jeśli ci to nie przeszkadza, chciałabym obejrzeć próbę do końca - powiedziała.

Czekała na okazję, by swobodnie obejść cały teatr. Chciała zajrzeć do wszystkich zakamarków i wykryć słabe punkty w systemie zabezpieczeń.

- Oczywiście, możesz tu zostać, jak długo chcesz. - Eve pocałowała ją w policzek. - Poproszę, żeby przed wejściem czekał na ciebie samochód - obiecała, po czym poszła zabrać swoje rzeczy.

- Jak się pani podoba sztuka? - zagadnął Aleksander, gdy zostali sami.

- Nie jestem znawczynią teatru, Wasza Wysokość.

- Kiedy nie występujemy oficjalnie, proszę się do mnie zwracać po imieniu.

- Oczywiście - zgodziła się, świadoma, że niewiele osób dostępuje takiego zaszczytu. - Co do sztuki, to bardzo mi się podoba. Jest w niej głębia, dialogi są pełne treści, a to sprawia, że widz zaczyna przejmować się losem bohaterów.

- Eve bardzo by się ucieszyła, słysząc taką opinię. Przez tę sztukę, oraz inne sprawy, Eve żyje ostatnio w sporym napięciu.

- Martwisz się o nią. - Hannah instynktownie położyła dłoń na jego dłoni. - Nie trzeba. To naprawdę silna kobieta.

- Wiem o tym - westchnął.

Czuł, że to końca życia będzie pamiętał tę koszmarną chwilę, gdy przeszyte kulą ciało Eve stężało, a potem bezwładnie osunęło się w jego ramionach.

- Nie miałem dotąd okazji powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczny, że zgodziłaś się do niej przyjechać.

Ona bardzo potrzebuje przyjaciółki. Przez mnie musiała zmienić całe życie. Może to był z mojej strony egoizm, ale bez niej nie widziałem dla siebie przyszłości. Dlatego teraz gotów jestem zrobić wszystko, żeby zapewnić jej choć trochę prywatności i dać poczucie normalności. Wiesz, jak wygląda nasze życie. Rozumiesz nasze ograniczenia i zagrożenia.

- Owszem. - Hannah delikatnie uściśnęła jego dłoń, po czym cofnęła rękę. - Potrafię też rozpoznać szczęśliwą kobietę. To widać w jej oczach.

- Dziękuję, Hannah. - Kiedy na nią spojrzał, po raz pierwszy dostrzegła, że był uderzająco podobny do ojca. - Myślę - dodał - że twoja obecność w pałacu wyjdzie nam wszystkim na dobre.

- Mam taką nadzieję - odparła, patrząc na aktorów odgrywających swe role. - Mam taką nadzieję.

Śledziła próbę jeszcze przez pół godziny. Przedstawienie było ciekawe, nawet pasjonujące, ale ona musiała realizować własny scenariusz.

Po odejściu Eve ochroniarze stali się mniej czujni. Ponieważ lady Hannah była znana jako przyjaciółka księżnej i osoba ciesząca się zaufaniem samego księcia Armanda, mogła bez przeszkód wyjść z sali, nie wzbudzając podejrzeń.

Wędrując labiryntem korytarzy, pomyślała o minikamerze ukrytej w obudowie szminki. Mogłaby jej użyć, jednak postanowiła polegać na własnej pamięci. Podczas licznych szkoleń wpojono jej zasadę, że w pierwszej kolejności trzeba wykorzystywać wrodzone możliwości, a dopiero potem posiłkować się sprzętem.

Ochrona tak rozległego budynku nie była łatwym zadaniem. Dlatego Hannah z uznaniem pomyślała o pracy, którą wykonał Reeve MacGee. Czujniki dymu oraz ukryte kamery rozmieszczone były w wielu miejscach, jednak uruchamiały się dopiero po zamknięciu Centrum.

Osoba chcąc wejść do środka musiała pokazać specjalną przepustkę. Jednak w dniu przedstawienia wchodził każdy, kto kupił bilet. Hannah doszła do wniosku, że zabezpieczenia nie są wystarczające. W teatrze było zbyt dużo zakamarków i małych pomieszczeń, w których z łatwością można było się schować.

Bez problemu weszła do głównej garderoby, w której trzymano kostiumy. Ciekawe, czy strażnik znał wszystkich aktorów i członków ekipy technicznej? Nawet jeśli tak, to przecież łatwo się pod kogoś podszyć. Wprawdzie na przepustce było zdjęcie, ale wystarczy dobra charakteryzacja i nikt nie odkryje oszustwa. Ileż to razy sama wchodziła do, zdawałoby się, doskonale strzeżonych miejsc. W końcu od czego są fałszywe dokumenty oraz sprytnie przebranie? W ostateczności zostaje jeszcze przekupstwo.

Tak, w raporcie umieści również taki scenariusz i niech wielcy szefowie łamią sobie głowy. Napisze, że nikt nie sprawdził jej torebki. A przecież mogła mieć w niej materiał wybuchowy.

Z garderoby przeszła do sali prób, której ściany wyłożone były lustrami. Nie spodziewała się ujrzeć własnej sylwetki w tak licznych powieleniu, więc zaszokowana, długo przyglądała się samej sobie. Po chwili odzyskała równowagę i roześmiała się swobodnie, jak poprzedniego wieczoru w ogrodzie.

Och, Hannah, westchnęła rozbawiona, ależ ty jesteś nijaka! Obejrząwszy się krytycznym okiem, zdegustowana pokręciła głową. Nie, brąz w jej przypadku jest wyjątkowo nietwarzowy. I jeszcze ten zapięty pod samą szyję żakiet z niemodnym paskiem, nieładnie podkreślającym jej szczupłość. Do tego spódnica do pół łydki, zakrywająca zgrabne nogi. Włosy, jej największa ozdoba, zaplecione w ciasny warkocz i upięte w niski kok u nasady szyi. Tragedia.

Nie mogła wymyślić lepszego kamuflażu niż celowe podkreślanie niedostatków własnej urody. Wpadła na to dość wcześnie. Już jako dziecko była przeraźliwie chuda, miała trudne do okiełznania włosy i wiecznie podrapane kolana. Wydatne kości policzkowe nie pasowały do dziecięcej twarzy, czyniąc ją nazbyt ostrą i kanciastą.

Kiedy rówieśnice zaczęły dojrzewać i nabierać kształtów, jej ciało trwało w uśpieniu, pozostając po chłopięcemu szczupłe. Hannah była wesoła i lubiana, kochała sport, więc koledzy z klasy z uznaniem klepali ją po plecach. Ale żaden nigdy nie zaprosił jej na tańce.

Umiała jeździć konno, pływać, grać w rzutki, a nawet trafiać z łuku do najdalszego celu. Jednak nigdy nie chodziła na randki. Nauczyła się mówić po rosyjsku i francusku, a kantońskim władała na tyle dobrze, że udało jej się zaskoczyć własnego ojca. Ale na bal maturalny poszła sama.

Gdy skończyła dwadzieścia lat, jej ciało w końcu się obudziło, jednak ona ukryła je pod bezpieczną warstwą niemodnych strojów. Wtedy wiedziała już, co chce robić w życiu. Piękne kobiety przyciągały spojrzenia, a w jej fachu lepiej było nie rzucać się w oczy.

Oglądając w lustrzanej ścianie efekt swych starań, poczuła satysfakcję. Kobieta, jaką się stała, nie budziła w mężczyznach pożądania ani w kobietach zazdrości. Była całkowicie przeciętna. I dzięki temu bezpieczna.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzyłby, że odczytana i obyta młoda dama z wyższych sfer jest zdolna do podstępu i przemocy. Tylko nieliczni wiedzieli, że Hannah nie cofnęłaby się przed niczym.

Pod wpływem impulsu, którego nie umiała sprecyzować, odwróciła się od lustra. Przez całe dorosłe życie z premedytacją udawała kogoś innego. Jednak kiedy Eve tak szczerze ofiarowywała jej przyjaźń, nie potrafiła uwolnić się od poczucia winy.

W tej pracy nie ma miejsca na sentymenty, powtarzała sobie. Żadnych przyjaźni, żadnych uczuć. Tak brzmiała pierwsza i najważniejsza zasada gry. Jeśli chce wygrać, musi się do niej stosować. Nie wolno jej polubić Eve. Mało tego, musi traktować ją jak polityczny symbol.

Uleganie emocjom byłoby równoznaczne z klęską - Hannah musiała zawsze o tym pamiętać.

Nie wolno jej odczuwać nawet zazdrości. Kiedy patrząc na miłość Eve i Aleksa zaczynała marzyć o czymś podobnym dla siebie, narażała się na niebezpieczeństwo. W jej zawodzie miłość była wykluczona. Liczyły się tylko cele, zobowiązania i ryzyko.

W życiu lady Hannah nie było miejsca dla księcia. Ani prawdziwego, ani tego z bajki.

Mimo woli pomyślała o Bennecie.

- Idiotka! - syknęła przez zęby.

Bennett był ostatnim mężczyzną, z jakim mogła wiązać romantyczne nadzieje. Gdyby o tym zapomniała, powinna zajrzeć do jego teczki. Długa lista jego kochanek podziałałaby na nią jak zimny prysznic. Wykorzystaj go, podpowiadał rozsądek. Ale traktuj wyłącznie jak środek prowadzący do celu.

Z romantycznymi mrzonkami Hannah pożegnała się raz na zawsze jako szesnastolatka. Teraz, po dziesięciu latach, nie mogła pozwolić im znowu ożyć. Zwłaszcza gdy pracuje nad swoim najtrudniejszym zadaniem. To jest wystarczający powód, by akuratna i drętwa lady Hannah nigdy nie spojrzała na księcia Bennetta jak na obiekt miłosnych uniesień. Jednak ukryta pod tą maską kobieta chciała marzyć. I czuła gorycz, że nawet tego jej nie wolno.

Odgłos kroków w korytarzu wyrwał ją z zamyślenia. Błyskawicznie rozejrzała się dokoła, a nie widząc nikogo, wyszła z sali prób.

- A więc tu pani jest!

Słyszając głos Bennetta, zakłęła pod nosem.

- Wasza Wysokość...

- Widzę, że zaczęła pani zwiedzać na własną rękę.

- Podszedł bliżej, coraz bardziej zdumiony, że ta kobieta o wyglądzie starej panny tak bardzo go intryguje.

- Owszem, zrobiłam sobie małą wycieczkę. Mam nadzieję, że nie ma w tym nic niestosownego?

- Ależ skąd! - Wziął ją za rękę i zmusił, żeby na niego spojrzała. Miała coś takiego w oczach... Zresztą, może to nie oczy, tylko jej głos, spokojny, wyważony, taki... brytyjski.

- Miałem coś do załatwienia w mieście - wyjaśnił - więc Aleksander poprosił, żebym przy okazji po panią wstąpił.

- To miłe z pana strony - odparła, choć wolałaby wracać z milczącym szoferem. Przynajmniej mogłaby w spokoju opracować kolejny raport.

- I tak musiałem tu przyjechać. - Wzruszył ramionami. Zirykowało go, że cofnęła rękę.

- Jeśli pani chce, chętnie pokażę pani całe Centrum Sztuki.

W mgnieniu oka rozważyła wszystkie za i przeciw. Uznała, że kolejna wycieczka, tym razem w towarzystwie księcia, nie wniesie niczego nowego i w żaden sposób nie poszerzy jej wiedzy. Dlatego podziękowała mu i stwierdziła, że na dziś wystarczy jej wrażeń.

- Nigdy dotąd nie byłam za kulisami - wyznała.

- To królestwo Eve. Co do mnie, zdecydowanie wolę dobre miejsce w pierwszym rzędzie. - Swobodnie wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę holu.

- Jestem pewien, że Eve zaraz znajdzie dla pani jakieś zajęcie. Mnie zawsze zatrudnia do noszenia ciężkich skrzyń.

- Właśnie do tego kobietom są potrzebni mężczyźni. - Zaśmiała się, zerkając na niego ukradkiem.

- No tak, coraz lepiej rozumiem, dlaczego Eve odkryła w pani bratnią duszę.

On też jej się przyglądał. Jadąc tu, chciał tylko wyświadczyć bratowej przysługę, teraz zaś cieszył się, że przyjechał do Centrum. Pomimo mało pociągającej powierzchowności lady Hannah wcale nie była nudna. Być może po raz pierwszy w życiu Bennett zwrócił uwagę na coś więcej niż tylko urodę.

- Widziałaś już Cordinę, Hannah?

Zwrócił się do niej po imieniu, co natychmiast zauważyła, ale postanowiła zignorować.

- Jak dotąd, bardzo niewiele, Wasza Wysokość. Ale mam zamiar wszystko dokładnie obejrzeć. Słyszałam, że tutejsze muzea mają niezwykle bogate zbiory.

Interesowała go ona, a nie muzealne skarby.

- Lubisz wodę?

- O, tak! Morskie powietrze jest takie zdrowe! Rozbawiony zatrzymał się na szczycie schodów.

- Ale ja pytam, czy lubisz wodę?

Miał rzadki talent patrzenia na kobietę w taki sposób, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. I jakby był pod jej wrażeniem. W zetknięciu z takim spojrzeniem wiedza zdobyta na szkoleniach okazała się całkiem bezużyteczna. Czy Hannah tego chciała, czy nie, jej serce zaczęło szybciej bić.

- Lubię wodę. Jako dziecko spędzałam wakacje u babci w Kornwalii.

Pomyślał, że chciałby ją zobaczyć z rozpuszczonymi włosami, którymi bawi się morski wiatr. Czy śmiałyby się jak wtedy w ogrodzie? Czy dostrzegłby w jej oczach tamten niezwykle blask? Pojął wtedy, że jej wygląd nie ma najmniejszego znaczenia. Posłuszny wewnętrznemu impulsowi, powiedział:

- Za kilka dni jadę do Hawru. Pojedź ze mną. Gdyby zaproponował, by zakradli się do magazynu i zaczęli kochać, nie byłaby bardziej zaskoczona. Jednak zaskoczenie szybko ustąpiło miejsca ostrożności, po niej zaś przyszła kolej na chłodną kalkulację.

Nie mogła udawać, że nie zrobiło jej się przyjemnie. Cieszyło ją, że miał ochotę na jej towarzystwo. Zaniepokoiła się tym odkryciem.

- Dziękuję za zaproszenie, Wasza Wysokość. Obawiam się, że nie mogę go przyjąć bez konsultacji z Eve.

- Zapytamy ją o zdanie.

Bardzo chciał, by z nim pojechała. Wprost nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zostaną sami, z dala od pałacu. Być może traktował ją jak kolejne wyzwanie. Korciło go, aby odkryć, jaka jest naprawdę. Zresztą było mu wszystko jedno, skąd brało się to zainteresowanie.

- A ty? Chciałabyś ze mną jechać?

- Chciałabym.

Natychmiast wytłumaczyła sobie, że ta chęć wynika z powodów czysto zawodowych. Jadąc z nim, będzie mogła lepiej go poznać, a przy okazji zorientuje się, jak skutecznie działa jego ochrona. Jednak prawda była tak samo prosta jak jej odpowiedź. Miała ogromną ochotę z nim pojechać.



- W takim razie jesteśmy umówieni. Uprzedzam, że będziesz zmuszona przetrwać razem ze mną długą i nudną ceremonię otwarcia czegoś tam.

- Nie lubi pan nudzić się sam?

Roześmiał się i znowu ujął jej rękę. Podniósł ją do ust i właśnie miał pocałować, kiedy z dołu dobiegł szmer głosów. Niezadowolony, chciał sprawdzić, kto im przeszkadza.

- Gniew musi aż kipieć! - perorowała Chantel, idąc tak szybko, że reżyser ledwie za nią nadążał. - Julia nie jest bierna. Bez względu na konsekwencje mówi, co czuje. Do diabła, Maurice, umiem to pokazać. Potrafię grać!

- Ja wiem, *cherie*. I wcale nie kwestionuję twojego talentu. Po prostu chodzi o to...

- *Mademoiselle* - odezwał się Bennett półgłosem. Hannah miała okazję zobaczyć z bliska, jak księżę Cordiny uśmiecha się do prawdziwej gwiazdy. Tak ją ta scena poruszyła, że bez namysłu cofnęła rękę i mocno spłotła palce obu dłoni.

Chantel spojrzała w stronę schodów. Powolnym ruchem odgarnęła z twarzy pasmo jasnych włosów. Nawet Hannah musiała uczciwie przyznać, że niewiele kobiet łączy w sobie taką wielką urodę, wdzięki i zmysłowość.

- Wasza Wysokość - odezwała się swoim niepowtarzalnym, głębokim głosem i schyliła w oficjalnym ukłonie.

Potem ruszyła w górę, a Bennett wyszedł jej na spotkanie. Kiedy zeszli się w połowie drogi, wyciągnęła rękę i czule dotknęła jego policzka. Potem przyciągnęła go do siebie i pocałowała na powitanie. Hannah mocno zacisnęła zęby.

- Długo się nie widzieliśmy, Wasza Wysokość.

- Zbyt długo. - Bennett zamknął jej dłoń. - Czy mi się zdaje, czy jeszcze bardziej wypiękniałaś? Jesteś niesamowita.

- To wszystko geny - rzekła niedbale, a patrząc mu w oczy, dodała z uśmiechem: - Na Boga, Bennett, jesteś najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego znam. Gdybym nie była tak cyniczna, zaraz bym ci się oświadczyła.

- A ja, gdybym się ciebie nie bał, bez wahania przyjąłbym oświadczyni. - Objęli się ze swobodą typową dla starych przyjaciół. - Dobrze cię znowu zobaczyć, Chantel. Eve wprost nie posiadała się z radości, że zgodziłaś się zagrać w jej sztuce.

- Zgodziłam się, bo sztuka jest dobra - powiedziała rzeczowo. - Gdyby była marna, na pewno byś mnie tu nie widział. I nie pomogłoby nawet to, że cię uwielbiam. Twoja bratowa ma talent - pochwaliła, a skinąwszy dyskretnie w stronę Hannah, zapytała: - Nowa przyjaciółka?

Bennett odwrócił się i wyciągnął rękę.

- Hannah, chciałbym ci przedstawić niezrównaną Chantel.

Schodząc na dół, Hannah pocieszała się w duchu, że jej kanciaste ruchy pasują do osoby, za którą chciała uchodzić. Mało atrakcyjne kobiety zwykle czuły się nieswojo i były bardzo spięte, gdy przyszło im stanąć twarzą w twarz z prawdziwą pięknnością.

Gdy wreszcie dotarła do połowy schodów, Bennett dokonał oficjalnej prezentacji.

- Witam i cieszę się, że mogłam panią osobiście poznać - wyrecytowała jednym tchem, Chantel zaś zadała sobie pytanie, dlaczego kobieta o tak ciekawej urodzie i nieskazitelnej cerze stara się wyglądać na dużo brzydszą niż w rzeczywistości.

- Lady Hannah przyjechała do nas, by dotrzymać towarzystwa Eve - wyjaśnił tymczasem Bennett.

- To wspaniale - odparła Chantel. - Życzę pani miłego pobytu. Na pewno się tu pani spodoba.

- Dziękuję, już teraz jestem zachwycona. Obserwowałam próbę i podziwiałam pani grę.

- Teraz to ja dziękuję, ale muszę powiedzieć, że przed nami jeszcze daleka droga.

Chantel nerwowo stuknęła długimi paznokciami o poręcz schodów. Nie potrafiła zrozumieć, skąd wzięła się nieufność do tej nieznajomej kobiety. Nie mogąc znaleźć żadnego sensownego wytłumaczenia, złożyła wszystko na karb przepracowania.

- Muszę uciekać - zwróciła się do Bennetta. - Postaraj się znaleźć dla mnie trochę czasu, kochany.

- Oczywiście. Będziesz w sobotę na kolacji razem z resztą zespołu?

- Jasne! W takim razie do zobaczenia.

Na pożegnanie klepnęła go poufale w policzek, po czym z gracją zeszła na dół, gdzie cierpliwie czekał na nią reżyser.

- Co za kobieta - westchnął Bennett, odprowadzając ją wzrokiem.

- Rzeczywiście, jest niezwykle piękna.

- To też. Ale prócz urody ma jeszcze ogromny talent i wielką ambicję, za którą ją najbardziej podziwiam.

Hannah z całych sił zacisnęła palce na torebce.

- Podziwia pan ambicję?

- Bez niej nasz świat nie zmieniłby się ani na lepsze, ani na gorsze.

- Niektórzy mężczyźni uważają, że ambicja nie pasuje do kobiety, ba, nawet czyni ją mniej pociągającą.

- Niektórzy mężczyźni są idiotami.

- Zgadzam się z panem w stu procentach.

- Dlaczego nigdy nie mam pewności, czy ty mnie przypadkiem nie obrażasz - powiedział, znacząco unosząc brwi.

- Przepraszam, ja tylko chciałam się z panem zgodzić.

Zatrzymał się pośrodku pustego holu, bez uprzedzenia uniósł jej podbródek i nie zważając na to, że próbowała się uchylić, zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

- Hannah, dlaczego, gdy na ciebie patrzę, mam wrażenie, że widzę tylko część prawdy?

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - skłamała gładko, najmniejszym nawet gestem nie zdradzając ogromnego napięcia.

- Tak mi to przyszło do głowy - rzekł z namysłem, pieszczotliwie gładząc palcem miękką, delikatną skórę jej podbródka. - Myślę o tobie więcej i częściej niż powinienem. Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego tak się dzieje?

Tęczówki jego brązowych oczu rozjaśniały miodowe cętki, dzięki którym ich barwa stawała się cieplejsza. Hannah przyszło do głowy, że Bennett ma usta poety i dłonie farmera. Wolą nie zastanawiać się nad tym interesującym połączeniem, bo i bez tego jej chłodne dotąd serce tłukło się w piersiach jak oszalałe.

- Ależ Wasza Wysokość... - zachnęła się.

- Czy usłyszę odpowiedź na moje pytanie? Dopiero teraz, gdy była tak blisko, zauważył, że miała piękne usta. Pełne, zmysłowe, wspaniale zarysowane. I to bez pomocy szminki. Był ciekaw ich smaku. Czy będą tak samo chłodne jak jej głos, i wyraziste jak jej oczy?

To się musi natychmiast skończyć. Pragnienie, które w niej narastało, lada moment stałoby się trudne do opanowania. Dlatego zmobilizowała się i przełamując wewnętrzny opór, odwróciła głowę.

- Nie znam odpowiedzi na pańskie pytanie - powiedziała, ale na wszelki wypadek uciekła spojrzeniem w bok. - Przychodzi mi do głowy jedynie to, że czasem mężczyzna czuje się zaintrygowany kobietą tylko dlatego, że jest inna niż te, do których przywykł.

- Kto wie... - Puścił ją, choć zrobił to niechętnie. - Odwiozę cię do pałacu, a po drodze wspólnie się nad tym zastanowimy.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Hannah mogła bez przeszkód poruszać się po pałacu i przylegających do niego terenach. Każde jej życzenie było od razu spełniane. Jeśli o trzeciej nad ranem naszła ją ochota na filiżankę gorącej czekolady, mogła śmiało o nią poprosić. Nie dość, że jako specjalny gość księcia mogła korzystać ze wszystkich pałacowych luksusów, to jeszcze przysługiwało jej prawo do posiadania osobistej ochrony.

Towarzyszących jej ochroniarzy uznała za drobną niewygodę, gdyż przy swoim doświadczeniu i talencie mogła bez trudu wywieść ich w pole. Gdy więc oni myśleli, że siedzi zamknięta w swoim pokoju, ona była w zupełnie innym miejscu. Jednak życie pod ciągłą obserwacją rodziło pewien poważny problem. Otóż Hannah nie mogła swobodnie kontaktować się ze swoimi łącznikami na zewnątrz.

Korzystanie z pałacowej linii telefonicznej w ogóle nie wchodziło w grę. Przy takiej ilości numerów wewnętrznych istniało ryzyko, że nawet zaszyfrowana rozmowa zostanie podsłuchana. Hannah rozważała nawet możliwość użycia własnego nadajnika, lecz szybko zrezygnowała z tego pomysłu. Jej sygnał mógł zostać łatwo namierzony, a ona nie po to poświęciła dwa lata na przygotowania, by w kluczowym momencie operacji dać się złapać z winy głupiego elektronicznego gadżetu. Zresztą zawsze uważała, że najważniejsze rozmowy powinno odbywać się w cztery oczy.

Po dwóch dniach od przyjazdu do Cordiny wysłała list. Na kopercie widniał adres fikcyjnej osoby, w rzeczywistości zaś list miał dotrzeć do angielskiej komórki organizacji Deboque'a, która gęstą siatką oplatała całą Europę. Gdyby z jakichś względów został przechwycony i otwarty, niepożądany czytelnik dowiedziałby się, że Cordina to piękny kraj, a pogoda jest to cudowna.

Jednak ci, w których ręce miał trafić, od razu wiedzieliby, jak rozumieć tych kilka banalnych zdań, w których Hannah zaszyfrowała ważne informacje. Prócz swojego imienia i rangi podała datę, godzinę i miejsce spotkania, które chciałyby odbyć z członkiem lokalnej komórki. Napisała, że na dany sygnał stawi się w umówionym miejscu. Sama.

Jeszcze tydzień, obliczała w myślach, biorąc pod uwagę czas potrzebny na to, by list dotarł do celu. Siedem dni i będzie mogła wreszcie przystąpić do tego, nad czym pracowała. Do tego czasu miała mnóstwo zajęć, więc nie groziła jej nuda.

Tego dnia do pałacu przyjechała księżna Gabriella z rodziną. Od wczesnego ranka służba uwijała się jak w ukropie, usuwając wszystkie wartościowe przedmioty, które mogłyby

niechcący wpaść w ręce księżęcych wnuków. Ze szczególną pieczołowitością zabezpieczono bezcenną kolekcję słynnych jajek Faberge.

Hannah spędziła większość dnia na spokojnych zajęciach. Przed południem towarzyszyła Eve i Marissie w pokoju zabaw, potem zjadła lunch z członkami Towarzystwa Historycznego, a po południu wykorzystwała porę sjesty na obejrzenie pałacowych piwnic i sprawdzenie, czy są odpowiednio zabezpieczone.

Wczesnym wieczorem przygotowywała się do kolacji, którą miała zjeść w towarzystwie księżęcej rodziny. Zapinając przed lustrem naszyjnik z pereł, myślała o tym, że dobrze będzie zobaczyć potomków Armanda w komplecie. Chciała im się dobrze przyjrzeć, bo w krótkim czasie musi poznać ich na wylot. Nie wolno jej pomylić się w ocenie, bo jeden błąd może zniweczyć cały misterny plan.

- Natychmiast tu wracaj, ty mały diable!!! - krzyknął ktoś w korytarzu.

Po chwili trzasnęły drzwi, rozległ się śmiech, a potem tupot dziecięcych stóp. Nim Hannah zdążyła wstać i zobaczyć, co się dzieje, drzwi do jej pokoju otworzyły się na oścież. Mały chłopiec bez pytania wpadł do środka i niewiele myśląc, skoczył w stronę łóżka. Zanim pod nie wlaź, uśmiechnął się rozbrajająco i zawołał po francusku:

- Niech mnie pani nie wyda! Proszę!

Nie zdążyła nawet otworzyć ust, gdy pokoju wbiegł Bennett.

- Czy był tu taki mały, źle wychowany nicpoń?

- Ja... to znaczy... nie. Nikogo tu nie było - odparła pewnym głosem, krzyżując ręce na piersiach.

- Ale zdawało mi się, że słyszałam, jak ktoś przebiegał obok moich drzwi.

- Aha. Jeśli go zobaczysz, natychmiast zamknij go w szafie - zawołał i pobiegł dalej. - Dorian!!! Ty mały złodziejaszku! Pamiętaj, że i tak cię dopadnę! - krzyczał na całe gardło, zaglądając do kolejnych pomieszczeń.

Hannah odczekała jeszcze chwilę, a kiedy upewniła się, że Bennett zbiegł na dół, zamknęła drzwi. Potem uklękła przy łóżku i uniosła do góry brzeg kapy.

- Niebezpieczeństwo minęło - szepnęła po francusku.

Ciemna, rozczochrana główka ostrożnie wysunęła się spod łóżka. Chłopiec rozejrzał się na wszystkie strony i dopiero potem zdecydował się opuścić swą kryjówkę. Gdyby Hannah nie widziała go wcześniej na zdjęciach, pomyślałaby, że jest dzieckiem kogoś ze służby. On jednak pochodził „z księżęcego rodu.

- Jesteś Angielką - stwierdził z powagą. - A wiesz, że ja bardzo dobrze mówię po angielsku?

- Właśnie słyszę.

- Dziękuję, że schowałaś mnie przed wujkiem.

- Mały książę ukłonił się po dorosłemu. Nie miał jeszcze pięciu lat, ale już rozumiał, na czym polegają dobre maniery. - Wujek się zezłościł, ale zaraz mu przejdzie - oznajmił z przekonaniem. - A w ogóle to ja jestem książę Dorian, wiesz?

- Naturalnie, Wasza Wysokość. - Hannah z całą powagą wykonała przed nim dworski dyg. - To dla mnie wielki zaszczyt poznać cię. Jestem lady Hannah Rothchild - przedstawiła się, a potem przyklękła obok swego nieproszonego gościa i zapytała: - Czy można wiedzieć, Co Wasza Wysokość ukradł?

Dorian najpierw zerknął na drzwi, potem przyjrzał jej się badawczo. Widocznie wzbudziła jego zaufanie, bo z łobuzerskim uśmieszkiem sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej jo - jo. Kiedyś zabawka musiała być błękitna, jednak z czasem kolor się stał i na szarej drewnianej powierzchni zostały jedynie jego resztki. Hannah oglądała zabawkę z należytym szacunkiem.

- To Bennetta? - zapytała. - Chciałam powiedzieć, Jego Wysokości księcia? - poprawiła się szybko.

- Wspaniała, prawda? - Zachwycony chłopczyk obracał jo - jo w dłoni. - Wujek miał tyle lat co ja, kiedy je dostał. Teraz bardzo się na mnie złości, bo zakradam się do jego pokoju, żebyś się pobawić. Ale inaczej nigdy się nie nauczę.

- Słuszna uwaga. - Rozbawiona, z trudem opanowała chęć pogłaskania główki rezolutnego księcia. - Zdaje się, że wuj Waszej Wysokości nieczęsto bawi się swoją zabawką?

- Wcale się nie bawi! Trzyma ją na półce. I tak naprawdę, to pozwala mi na nią popatrzeć - przyznał z dziecięcą szczerością. - Złości się, jak zaczynam się bawić, bo wtedy płacze się sznurek.

- Cóż, ta zabawa wymaga wprawy.

- Właśnie! Dlatego muszę to wujkowi podkraść!

- Rzeczywiście. Mogę zobaczyć? Dorian chwilę się wahał.

- Dziewczyny nie znają się na takich rzeczach - powiedział nieufnie. - Wolą bawić się lalkami jak moje siostry - stwierdził, ale podał jej jo - jo.

- Każdy lubi co innego - odparła, wsuwając palce w pętelkę. Ciekawiło ją, kiedy ostatnio robił to Bennett. Sznurek był nowszy niż reszta zabawki, domyśliła się więc, że musiał być często wymieniany.

Wprawnym ruchem posłała jo - jo w dół, zaczekała, aż zawirowało na końcu sznurka, po czym zgrabnie pociągnęła je do góry.

- O, bardzo fajnie! - pochwalił Dorian.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. Jak byłam mała, też miałam taką zabawkę, tylko czerwoną. Bawiłam się nią, dopóki nie zjadł mi jej pies.

- A umiesz robić jakieś sztuczki? Bo ja raz próbowałem zrobić „dookoła świata”, ale mi nie wyszło i stłukłem lampę. Wujek Bennett bardzo na mnie nakrzyczał, a potem sam pozbierał szkło i nic nikomu nie powiedział.

Hannah uśmiechnęła się lekko. To było do niego podobne. Bennett był jak przysłowiowy pies, który głośno warczy, ale nie gryzie.

- I co z tymi sztuczkami? - Dorian nie dawał za, wygraną. - Umiesz jakąś?

- Chyba tak.

Bez problemu zrobiła „dookoła świata”, a poproszona o więcej, wykonała jeszcze kilka trudnych ewolucji.

- Doskonale, lady Hannah. Widzę, że ma pani ukryte talenty - odezwał się Bennett od progu.

Hannah w ostatniej chwili zagryzła wargi, dzięki czemu okrzyk zdumienia zabrzmiał jak lekkie westchnienie.

- Wasza Wysokość. - Ukłoniła się z gracją. - Przepraszam, nie słyszałam, jak pan pukał.

- Nie pukałem. - Wszedł dalej i ruszył w stronę siostrzeńca.

- Dobra jest, co, wujku? - zawołał Dorian z zachwytem.

- O zdolnościach lady Hannah porozmawiamy później. - Lekko wytargał chłopca za ucho, po czym odwrócił się i wyciągnął rękę. - Chciałbym odzyskać moją własność.

Z trudem zachowując powagę, podała mu jo - jo.

- Pani się pewnie wydaje, że to zwykła dziecinna zabawka - powiedział, chowając je do kieszeni. - Tymczasem to jest cenna rodowa pamiątka.

- Rozumiem. - Pomimo wysiłków nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Miała tylko nadzieję, że z oczami wbitymi w czubki pantofli wygląda na skruszoną. - Bardzo pana przepraszam. Przykro mi - dodała dla wzmocnienia efektu.

- Akurat uwierzę! A ten mały łotr siedział tu cały czas - zawołał, chwytając Dorianą w pól. Rzucił go na łóżko i zaczął łaskotać, a chłopiec wierzgał, zanosząc się ze śmiechu. - To ja biegam z góry na dół po całym pałacu, a ty pozwalasz, żeby ten ladaco chował się pod twoją spódnicą.

- Pod łóżkiem, Wasza Wysokość - uściśliła z poważną miną. - Kiedy powiedział pan, że szuka złodzieja, do głowy mi nie przyszło, że chodzi o księcia Dorianą.

- Zręczne kłamstwo. Jestem pełen podziwu - rzekł półgłosem. Podeszedł do niej i chwycił za brodę. Zachowywał się arogancko, ale jej się to podobało. - Coraz bardziej mnie intrygujesz.

- Lady Hannah potrafi zrobić podwójne „dookoła świata” - wtrącił Dorian.

- Niesamowite! - Bennett odwrócił się do siostrzeńca. - Zdaje się, że zawarliśmy pewną umowę, prawda?

Chłopiec zwiesił smętnie głowę, ale w jego oczach nie widać było skruchy.

- Przepraszam, wujku - szepnął. - Ja tylko chciałem je obejrzeć.

- Pewnie! - Bennett zrobił srogą minę, ale zaraz rozchmurzył się, podniósł chłopca do góry i pocałował w policzek. - Biegnij do mamy, czeka na ciebie na dole. Tylko pamiętaj, nie wolno zjeżdżać po poręczach!

- Dobrze, wujku - obiecał. Zanim wybiegł z pokoju, ukłonił się szarmancko i powiedział: - Miło było panią poznać, lady Hannah.

- Ciebie również, Wasza Wysokość.

- To czaruś, ale proszę mu nie wierzyć - ostrzegł Bennett. - Potrafi być małą bestią.

- W czym przypomina pana. Czy to nie dziwne?

- Owszem, nawet bardzo.

- To rzeczywiście mały szelma, ale właśnie takim pan go kocha.

- To nie ma nic do rzeczy. - Wzruszył ramionami. - Co do jo - jo, to...

- Tak, Wasza Wysokość?

- Proszę zaczekać, aż zniknę z pola widzenia, i dopiero wtedy zacząć się śmiać.

- Jak pan sobie życzy.

- Pewnego lata, gdy byłem chory, dostałem je od matki. Kupiłem temu małemu diabłu dziesiątki podobnych, a on i tak ciągle podbiera moje. Obiecałem, że je dostanie, kiedy skończy dziesięć lat, jeśli do tego czasu nie będę miał własnego dziecka.

- Pamiętam, że też miałam taką wyjątkową lalkę z rudymi włosami. Mama dała mi ją, kiedy skreśliłam rękę. Nawet wtedy, kiedy już wyrosłam z lalek, ta lalka wciąż była ze mną.

Dopiero gdy podeszedł i wziął ją za rękę, uświadomiła sobie, że niepotrzebnie mu o tym opowiada. Nieprzemysłane zwierzenia mogą mieć groźne konsekwencje.

- Lady Hannah - pochylił się nad jej dłonią - ma pani złote serce i bystry umysł. A teraz zapraszam do salonu. Przedstawię ci resztę rodziny.

Reeve MacGee był przeciwnikiem, którego nie wolno było lekceważyć. Hannah domyślała się tego już wcześniej, ale teraz, widząc go pośród najbliższych, nabrała pewności.



Znała ze szczegółami całą jego przeszłość, poczynając od dnia, gdy został szeregowym policjantem, na tajnej pracy dla amerykańskiego rządu kończąc.

Jego związek z rodziną panującą miał romantyczny rodowód, jednak Reeve nie był marzycielem. Gdy po uprowadzeniu Gabrielli księżę Armand zwrócił się do niego z prośbą o pomoc, nie odmówił, mimo iż wycofał się już z czynnej służby. Gabriella została uwolniona, ale na skutek szoku straciła pamięć. Podczas długich miesięcy, gdy walczyła z amnezją, Reeve miał za zadanie ochraniać ją i jednocześnie prowadzić śledztwo. Wkrótce on i księżniczka zakochali się w sobie. Po rychłym ślubie Reeve odmówił przyjęcia książęcego tytułu, za to zgodził się objąć funkcję szefa ochrony.

Przypominając sobie te informacje, Hannah obserwowała go dyskretnie ze swego miejsca przy stole. Sprawiał wrażenie spokojnego, zamkniętego w sobie człowieka, bardzo oddanego rodzinie. Nie było najmniejszych wątpliwości, że zrobi wszystko, co w ludzkiej mocy, by ochronić swych najbliższych.

Tymczasem rodzina księcia Armanda spokojnie omawiała bieżące sprawy. Hannah w milczeniu się im przysłuchiwała.

- Eve, wszyscy wiemy, że twoja sztuka jest skazana na sukces. - Gabriella uśmiechnęła się do bratowej. - Co oczywiście nie znaczy, że nie rozumiemy twojego zdenerwowania, prawda? - zwróciła się do siedzącego obok Reeve'a, który przez cały czas trzymał ją za rękę.

- Chciałabym mieć to już za sobą - westchnęła Eve.

- Ale dobrze się czujesz?

- O, tak. Czuję się wspaniale. Aleks i Hannah tak mnie pilnują, że niemal nie wolno mi ruszyć palcem bez pisemnej zgody lekarza.

- Jak to dobrze, że pani do nas przyjechała. - Gabriella zwróciła się do Hannah z ciepłym uśmiechem.

- Mam nadzieję, że zapewniamy pani dość atrakcji, aby nie tęskniła pani za domem?

- Nie tęsknię ani trochę. Jestem zachwycona Cordiną.

- Mam nadzieję, że obejrzy pani także naszą farmę.

- Bardzo bym chciała. Wiele o niej słyszałam - odparła. Doskonale pamiętała, że właśnie stamtąd porwano Gabriellę.

- Wobec tego zorganizujemy dla pani wycieczkę - zapowiedział Reeve, sięgając po papierosa. - Mówi pani, że jest pani zadowolona z pobytu w Cordinie?

- Tak, jestem bardzo zadowolona. - Ich oczy spotkały się na dłuższą chwilę.

- Jak się miewa pani ojciec? - Reeve przyglądał jej się poprzez obłok dymu.

- Dziękuję, doskonale. Czasem wydaje mi się, że w miarę, jak robię się starsza, on młodsze.

- Rodzina, nieważne duża czy mała, to najcenniejsze, co można mieć w życiu - zauważył cicho.

- Zgadzasz się z panem.

Bennett z uwagą przysłuchiwał się tej rozmowie. Miał dziwne wrażenie, że gdyby potrafił znaleźć odpowiedni klucz, mógłby odczytać jej ukryty sens.

- Nie wiedziałem, że znasz ojca lady Hannah - odezwał się i spojrzał na Reeve'a pytająco.

- Bardzo słabo. Słyszałem, że Dorian znowu ukradł ci jo - jo. To prawda?

- Ech, powinienem był schować je w jakimś bezpiecznym miejscu. - Bennett poklepał małą wypukłość w kieszeni marynarki. - Dałbym smarkaczowi niezłą szkołę, ale okazało się, że miał współnika - dodał, zerkając wymownie w stronę Hannah.

- Przepraszam za mojego syna - wtrąciła Gabriella. - Podobno wciągnął panią w swoje sprawy.

- Zapewniam panią, że nic się nie stało. Wręcz przeciwnie, dobrze się bawiłam. Książę Dorian jest uroczy.

- Mamy na ten temat inne zdanie - mruknął Reeve. Hannah stanowiła dla niego prawdziwą zagadkę.

Im dłużej ją obserwował, szukając słabych stron, tym wydawała mu się doskonalsza.

- Zobaczą, co robią dzieci - powiedział, wstając z miejsca.

- Niezła myśl. - Bennett zerknął w stronę drzwi prowadzących na taras. - Założę się, że zdążyły narobić niezłych szkód.

- Zaczekaj, aż będziesz miał własne. - Eve również wstała i wzięła na ręce Marissę. - Już sobie wyobrażam, jak będziesz je rozpieszczał. A teraz przepraszam, ale na nas czas. Idziemy się nakarmić.

- Pójdę z tobą - zaoferowała się Gabriella. - Może przy okazji porozmawiamy o bożonarodzeniowym balu. Chciałabym ci pomóc w przygotowaniach.

- Świetnie. Chodźmy więc. Nie, Hannah, ty sobie siedź i odpoczywaj - powstrzymała ją Eve, widząc, że wstaje z fotela. - My zaraz wrócimy.

- Na pewno nie. Pamiętajcie, że za godzinę podają kolację - przypomniał im Bennett.

- Spokojnie, Ben. Znamy twoje priorytety. - Roześmiana Eve pocałowała go w policzek, po czym obie z Gabriellą wyszły z salonu.

- Też się trochę przejdę. Pomogę Reeve'owi przy dzieciakach. - Aleksander z wyraźną przyjemnością rozprostował nogi, Nie zdążył jeszcze wyjść, gdy do salonu wszedł służący z wiadomością, że dzwonią w pilnej sprawie z Paryża.

- A tak, czekałem na ten telefon. - Książę Armand energicznie wstał z fotela. - Odbiorę w gabinecie. Wybacz pani, lady Hannah. - Ukłonił się przed nią. - Jestem pewien, że Bennett dotrzyma pani towarzystwa. Synu, może lady Hannah chciałaby zobaczyć bibliotekę?

- Cóż, jeśli masz ochotę patrzeć na ściany książek, to zapraszam - powiedział Bennett po wyjściu ojca.

- Lubię książki - odparła, wstając. - Idziemy?

- Jak sobie życzysz - westchnął.

Znał lepsze sposoby, by miło spędzić czas do kolacji, ale posłusznie podał jej ramię i poprowadził w stronę biblioteki.

- To chyba niemożliwe, żeby tutejsze muzeum miało bogatszy zbiór malarstwa niż ten, który można podziwiać w pałacu - zauważyła, gdy mijali kolejny piękny obraz.

- Muzeum Sztuki ma w swej kolekcji sto pięćdziesiąt dwa płótna impresjonistów i postimpresjonistów, wśród których należy wymienić dwa Coroty, trzy Monety, oraz jednego niezwykle cennego Renoira - rzekł tonem zawodowego przewodnika.

- Aha.

Widząc jej zaskoczenie, nie mógł się nie roześmiać.

- Tak się składa, że jestem w zarządzie muzeum - wyjaśnił. - Miłość do koni nie wyklucza miłości do sztuki. Co ty na to? - zapytał, wskazując wyjątkowo piękną akwarelę, na której przedstawiono pałac książęcy w Cordinie.

- Och, jest wspaniały! Kto go namalował?

- Moja praprababka. - Zadowolony z reakcji Hannah, dotknął jej dłoni. - Namalowała setki obrazów i wszystkie powędrowały na strych. W jej czasach kobiety mogły traktować malarstwo wyłącznie jako hobby.

- Całe szczęście, że czasy się zmieniły.

- Kilka lat temu odnalazłem prace babki w zakurzonej kufrze. Niektóre były kompletnie zniszczone, ale większość doskonale się zachowała. Między innymi ten pejzaż - wyjaśnił, dotykając bogatej ramy. - Zdawało jej się, że tym gestem chciał wyrazić szacunek. - Poczuję się tak, jakbym cofnął się o kilka pokoleń. Gdyby tę akwarelę namalowano współcześnie, wyglądałoby tak samo.

Jej serce rwało się do niego. Która kobieta oparłaby się mężczyźnie, który łączył w sobie dumę i wrażliwość? Jakby broniąc się przed własnymi emocjami, cofnęła się.

- Tu, w Europie, ludzie rozumieją, że życie kilku pokoleń to ledwie mgnienie, krótka chwila w otchłani czasu. Mamy za sobą całe wieki historii i dlatego łatwiej nam pojąć, że powinniśmy zostawić coś dla tych, którzy przyjdą po nas - mówiła zamyślona. Bennett spojrzał na jej skupioną twarz.

- Więc jednak mamy coś wspólnego - zauważył. - Ameryka kipi energią, jej zapał jest ekscytujący, wręcz zaraźliwy. Jednak dopiero tu człowiek rozumie, ile czasu i wysiłku potrzeba, żeby najpierw coś zbudować, a potem ocalić przed zagładą. Zmieniają się ustroje, padają rządy, a historia trwa.

Musiała uciec przed jego wzrokiem, musiała czym prędzej się od niego odwrócić. Na pewno sobie nie pomoże, jeśli zacznie widzieć w nim wrażliwego, troskliwego człowieka, a nie obiekt, który musi szybko rozpracować.

- Czy jest tu więcej obrazów pańskiej babki?

- Niestety, bardzo niewiele. Jeden wisi w pokoju muzycznym, reszta w muzeum. Chodźmy, pokażę ci go.

Prowadząc ją długim korytarzem, myślał o tym, jak dobrze i swobodnie czuł się w jej towarzystwie. I jak chętnie rozmawiał z nią o sprawach, które uważał za osobiste i ważne.

Pokój muzyczny znajdował się w drugim skrzydle. Urządzono go w taki sposób, by stanowił wdzięczne tło dla lśniącego, białego fortepianu, który zajmował centralne miejsce sali. W rogu stała pięknie zdobiona harfa, a w przeszklonych gablotach leżały zabytkowe instrumenty, między innymi antyczna lira. Niewielki kominek z białego marmuru dodawał wnętrzu przytulności, a świeże kwiaty w wazonach z chińskiej porcelany wypełniały je przyjemnym zapachem.

Obraz, który przedstawiał scenę balu, został namalowany żywymi barwami i śmiałymi pociągnięciami pędzla. Widoczne na nim kobiety, niezwykle wdzięczne w swych wieczorowych sukniach, wirowały w objęciach eleganckich mężczyzn. Lustra odbijały sylwetki tancerzy i refleksy ciepłego światła świec z olbrzymiego żyrandola wiszącego nad ich głowami. Hannah patrzyła na obraz w zachwycie. Chwilami zdawało jej się, że naprawdę słyszy dźwięki porwijącego walca.

- Pańska babka rzeczywiście miała ogromny talent. Czy ta sala balowa znajduje się w pałacu?

- Tak. I wciąż wygląda tak samo. Za miesiąc odbędzie się w niej bożonarodzeniowy bal.

Tylko miesiąc. A ona ma tak wiele do zrobienia.

- Jaki to piękny pokój! - Westchnęła, rozglądając się dokoła. - W naszej wiejskiej posiadłości mamy mały salonik muzyczny. Oczywiście nie tak okazały jak ten, ale i w nim można się odprężyć. - Podeszła to fortepianu, nie tyle by mu się przyjrzeć, lecz by oddalić się od Bennetta.

- Wasza Wysokość gra na fortepianie?

- Hannah, przecież jesteśmy zupełnie sami. Czy musisz być aż tak oficjalna?

- Uważam, że należy używać tytułów - odparła z naciskiem. Bardzo nie chciała, żeby zatarła się między nimi naturalna granica wynikająca z miejsca w społecznej hierarchii.

- A ja uważam, że tytułomania jest głupia i niepotrzebna. Zwłaszcza wśród przyjaciół.

- Podeszedł do niej i położył ręce na jej ramionach. - A my jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

Czuła, jak ciepło jego dłoni przenika materiał sukienki i przyjemnie rozgrzewa skórę. Walcząc ze sobą, uparcie trwała odwrócona do niego plecami.

- Kim jesteśmy, Wasza Wysokość?

- Przyjaciółmi, Hannah, jesteśmy przyjaciółmi. - Rozbawiony odwrócił ją do siebie. - Dobrze się z tobą rozmawia. A to chyba podstawa przyjaźni, nie sądzisz?

Patrzyła mu prosto w oczy, trzeźwo i uważnie. Na jej policzkach pojawił się delikatny rumieniec, poza tym jednak nie zdradzała swych emocji. Był zaskoczony tym, jak silne zdawały się jej ramiona.

Miała na sobie prostą brązową sukienkę, była nie umalowana, uczesana w schludny kok. Tymczasem on wyobrażał ją sobie roześmianą, z rozpuszczonymi włosami i odkrytymi ramionami. I chciał, żeby śmiała się tylko do niego.

- Co za diabeł w tobie siedzi? - szepnął.

- Słucham...

- Czekaj! - Zniecierpliwiony, zły w równym stopniu na siebie, co na nią, przysunął się jeszcze bliżej. Natychmiast zeszywniała, więc podniósł do góry obie ręce, pokazując, że nie chce zrobić jej nic złego. - Stój spokojnie, dobrze? - poprosił, a potem pochylił się i dotknął ustami jej ust.

Nie reaguj! Nie daj po sobie poznać, że cokolwiek czujesz! - powtarzała w myślach jak zaklęcie. On zaś nie naciskał, do niczego jej nie zmuszał i niczego się nie domagał, tylko spokojnie poznawał jej smak. Był tak blisko, że z rozkoszą chłoneła ciepło jego ciała i świeży zapach wody kolońskiej, której dominująca nuta kojarzyła jej się z rześkim morskim powietrzem. Nie była przygotowana na tak intensywne doznania. Mocno zacisnęła pięści i walczyła ze sobą, by nie pokazać, co się z nią dzieje.

Bennett cały czas miał otwarte oczy. Bacznie obserwował jej reakcję, choć sam nie wiedział, czego oczekiwał. Wiedział natomiast, co znalazł. Łagodność, spokój, słodycz pozbawioną zmysłowości i pasji, które wyraźnie widział w jej oczach. Ku własnemu zaskoczeniu wcale nie miał ochoty jej dotykać. I nie zależało mu na tym, by pocałunek stał się bardziej namiętny. Jeszcze nie tym razem. Być może przeczuwał, że ten pierwszy raz nie był ostatnim. Całując ją, czuł spokój i przyjemne odprężenie. Nie tego szukał dotąd w kobiecie.

W pewnej chwili po prostu się od niej odsunął. Przyjęła to z absolutnym spokojem.

- Nie chciałem cię wystraszyć - szepnął. - To był test.

- Nie przestraszyłam się. - Tak mówiła kobieta, na którą patrzył. Jednak ta, która była w środku, drżała z przerażenia.

To nie były słowa, jakie pragnął usłyszeć.

- Skoro cię nie przestraszyłem, to co poczułaś?

- Obawiam się, że nie rozumiem pytania. Przyjrzał jej się uważnie, po czym odstał na bok.

- Może faktycznie nie rozumiesz. Rozmasował kark, nie mogąc wyjść ze zdumienia, że kobieta o tak skromnym wyglądzie potrafi obudzić w nim tak duże napięcie. Wiedział, czym jest pożądanie. Czuł je przecież nieraz. Ale nigdy w taki sposób.

- Do diabła, Hannah, czy ty w ogóle masz coś w środku?

- O, tak, Wasza Wysokość. Mnóstwo rzeczy. Roześmiał się. Mógł się być domyślić, że osadzi go w miejscu tą swoją żelazną logiką.

- Nie mów do mnie „Wasza Wysokość”. Zwracaj się do mnie po imieniu - poprosił.

- Jak sobie życzysz.

Znowu na nią spojrział. Stała obok lśniącego fortepianu, bardzo spokojna, z opuszczonymi ramionami, jedną ręką trzymając nadgarstek drugiej. Patrzyła mu w oczy. I wtedy przysłała mu do głowy śmieszna myśl. Jeszcze trochę i gotów był się w niej zakochać.

- Hannah...

Nim zdążył zrobić dwa kroki, do pokoju wszedł Reeve.

- Bennecie, przepraszam, że przeszkadzam, ale ojciec chciałby pomówić z tobą przed kolacją.

Obowiązek i przyjemność. Bennett nie był pewien, czy kiedykolwiek uda mu się znaleźć między nimi równowagę.

- Odprowadzę lady Hannah do salonu - zaofiarował się Reeve.

- Dobrze. Chciałbym z tobą potem pomówić. - Bennett spojrział na nią znacząco.

- Oczywiście. - Skinęła głową. W duszy obiecywała sobie, że zrobi wszystko, by do tej rozmowy nie doszło.

Reeve zaczekał, aż w korytarzu ucichną kroki. Wtedy przysunął się i zapytał, czy wszystko w porządku.

Nim odpowiedziała, wzięła głęboki oddech, który jednak nie przyniósł jej odprężenia.

- Tak, wszystko w porządku. Dlaczego pan pyta?

- Cóż, Bennett bywa czasem... trudny. Powiedzmy, że łatwo się przy nim... zdekoncentrować.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, dopilnowała, by w jej oczach wyczytał zdziwienie. Mimo to czuła, że maska nie jest już idealnie szczelna. Jakaś cieniutka warstewka ochronnej powłoki został odsłonięta.

- Niełatwo się rozpraszam - powiedziała sucho. - Zwłaszcza gdy pracuję.

- Tak słyszałem. - Pokiwał głową. Wciąż próbował znaleźć w niej jakiś słaby punkt i chyba go wreszcie odkrył. Zdradził ją sposób, w jaki patrzyła na Bennetta. - O ile wiem, to pani pierwsza tak poważna operacja?

- Niezupełnie. Poza tym, jako starszy agent ISS, potrafię poradzić sobie z każdym zadaniem. - Mówiła twardo i pewnie, zupełnie nie jak kobieta, która dosłownie przed chwilą przeżyła zamęt pierwszego pocałunku. - Jutro zdam panu szczegółowy raport. A teraz wracajmy do reszty towarzystwa.

Ruszyła do wyjścia, ale zatrzymał ją, chwytając za ramię.

- Ta operacja to olbrzymia odpowiedzialność. Pani odczuje to najbardziej.

- Wiem. Prosił pan o najlepszego człowieka, więc go pan dostał.

- Mam nadzieję. - Im bliżej rozstrzygnięcia, tym bardziej się denerwował. - Ma pani doskonałą opinię w środowisku, ale nigdy nie stawiała pani przeciwko komuś takiemu jak Deboque.

- Ani on przeciwko komuś takiemu jak ja. - Wyjrzała na korytarz, a potem podeszła blisko i dodała, zniżając głos: - Jego ludzie traktują mnie jak pełnoprawnego członka organizacji. Dwa lata tyrałam, żeby się do mego zbliżyć. Dzięki mnie zaoszczędził dwa i pół miliona dolarów, bo postarałam się, żeby nie został nakryty podczas grubego interesu z bronią. Przez ostatnie miesiące pracowałam nad tym, żeby wyeliminować jego najbliższego współpracownika. Mam nadzieję, że niebawem zajmę miejsce tego człowieka.

- Albo straci pani życie.

- To moje zmartwienie. Za kilka tygodni stanę się prawą ręką Deboque'a. A wtedy podam go panu na tacy.

- Pewność siebie to doskonała broń. Pod warunkiem, że się nie przeholuje.
- Mnie się to nie zdarza. - Mimo woli pomyślała o Bennecie, i to tylko wzmocniło jej determinację. - Nigdy dotąd nie spartaczyłam żadnej roboty. I tej też nie zawalę.
- Najważniejsze, żeby pozostawała pani w stałym kontakcie z centralą. Chyba rozumie pani, że nie mogę nikomu ufać?
- Rozumiem, jestem taka sama. Wracamy?



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Hannah postanowiła nie jechać z Bennettem do Hawru. Najpierw wmówiła samej sobie, że zyska więcej, zostając w pałacu i uzupełniając niezbędne informacje. Potem sięgnęła po mało oryginalną, lecz często skuteczną wymówkę, jaką był ból głowy. Niestety, jej sprytny plan się nie powiódł.

Rano dyplomatycznie odczekała, aż po skończonym śniadaniu Aleksander opuścił słoneczną jadalnię, i dopiero wtedy poskarżyła się na złe samopoczucie. I to był błąd.

- Nic dziwnego, że źle się czujesz. - Eve spojrzała na nią z troską. - Odkąd przyjechałaś, bez przerwy trzymam cię zamkniętą w czterech ścianach.

- Bez przesady. Ten pałac ma rozmiary małego miasteczka.

- Wszystko jedno, mury to mury, nieważne, małe czy duże. Dlatego uważam, że przejażdżka wzdłuż wybrzeża dobrze ci zrobi.

Przerwały rozmowę, gdy do pokoju weszła młoda opiekunka, która miała zabrać Marissę na spacer. Eve niechętnie rozstawiała się z córeczką, ale nie miała wyjścia, bo za godzinę musiała spotkać się w teatrze z kimś bardzo ważnym.

- Tak bardzo ją kocham - mówiła, patrząc na dziewczynkę z czułością. - Wiem, że to głupie, ale kiedy jej przy mnie nie ma, zaraz zaczynam myśleć o wszystkich nieszczęściach, które mogą ją spotkać.

- To normalne. Zdaje się, że każda matka przeżywa takie lęki - pocieszyła ją Hannah.

- Możliwe. Tyle że nie każda jest w takiej sytuacji jak ja. Pozycja naszej rodziny tylko potęguje moje obawy. - Eve instynktownie położyła dłoń na brzuchu, w którym bezpiecznie spało jej drugie dziecko.

- Tak bardzo bym chciała zapewnić Marissie spokój i dać poczucie, że jest najzwyklejszym dzieckiem pod słońcem. Tylko że... - Potrząsnęła głową. - Wszystko ma swoją cenę.

Hannah przypomniała sobie, że takich samych słów użył Aleksander, mówiąc o żonie.

- Zapewniam cię, Eve - powiedziała łagodnie - że Marissa jest wspaniałym, zdrowym i szczęśliwym dzieckiem. Chyba trudno o większą normalność.

Eve przez chwilę patrzyła na nią uważnie, po czym z westchnieniem podparła dłonią podbródek.

- Och, Hannah, jakim cudem przeżyłam bez ciebie te dwa lata? Ale odbiegłyśmy trochę od tematu. Przyjechałaś do mnie na wakacje, a ja dotąd nie dałam ci chwili wytchnienia. Okropna ze mnie egoistka.

- Nie mów tak! Przyjechałam, żeby ci pomagać - zaprotestowała, czując, że rozmowa toczy się w złym kierunku.

- Niezupełnie. Przyjechałaś, bo jesteśmy przyjaciółkami. Dlatego zrób mi przyjemność i weź sobie wolny dzień. Odpocznij, nabierz sił, naciesz się morzem i świeżym powietrzem. Zapewniam cię, że Ben to doskonały towarzysz takich eskapad. Zobaczysz, że już po pięciu minutach zapomnisz o bólu głowy.

- A kogo boli głowa? - zainteresował się Bennett, wchodząc do pokoju. Tego ranka był ubrany w biały mundur oficera marynarki wojennej. Wyhaftowane na czerwono insygnia określały jego stopień, a order z rodowym herbem przypięty do piersi symbolizował, że jest księciem. Hannah zawsze uważała, że stereotyp o kobiecej słabości do munduru jest pozbawiony sensu. Teraz jednak musiała zmienić zdanie.

Bennett wyglądał wręcz porywająco. Praktyczny umysł Hannah bezskutecznie szukał mniej pretensjonalnego określenia. Nieskazitelna biel stroju podkreślała smagłość skóry i czarny kolor włosów. On sam musiał być świadomy wrażenia, jakie wywierał, bo kiedy się do niej uśmiechnął, w oczach miał isierkę męskiej próżności.

- Bennett! - zawołała Eve. - Ja już zapomniałam, że w tym mundurze potrafisz złamać każde serce. Może byłoby bezpieczniej, gdyby Hannah wzięła aspirynę i została w domu.

- Spokojna głowa. Lady Hannah da sobie radę, prawda, *cherie*?

- Tak sądzę. - Bez przekonania kiwnęła głową.

- Jesteś trochę blada. - Musnął dłonią jej policzek. - Naprawdę źle się czujesz?

- To nic poważnego. Eve mówi, że przejażdżka to niezawodne lekarstwo na migrenę.

- To prawda. Obiecuję, że wrócisz promienna i kwitnąca.

- Trzymam cię za słowo. A teraz, jeśli pozwolicie, pójdę po swoje rzeczy.

- Bennett! Można cię prosić na słowo? - Eve nie pozwoliła mu pójść za Hannah. - Powiedz mi szczerze - poprosiła, gdy zostali sami - czy mi się zdaje, czy coś dostrzegam?

Nie próbował udawać, że nie rozumie pytania.

- Sam nie wiem - odparł.

- Hannah wiodła dotąd bardzo spokojne życie. Chyba nie muszę ci przypominać, żebyś był z nią... ostrożny.

W oczach Bennetta pojawił się chłód.

- Rzeczywiście, mężczyźni z moją pozycją nie trzeba przypominać, z kim może, a z kim nie powinien romansować.

- Ben, przecież wiesz, że nie chciałam cię urazić. - Wzięła go za rękę. - Byliśmy przyjaciółmi na długo przedtem, zanim zostaliśmy rodziną. Proszę, żebyś był ostrożny, bo bardzo lubię Hannah. I wiem, jak trudno ci się oprzeć.

- Tobie jednak się udało.

- Bo zawsze traktowałeś mnie jak siostrę - odparła, a po chwili wahania dodała: - Nie chcę być Wścibska, ale Hannah raczej nie jest w twoim typie...

- Właśnie. Może to mnie w niej pociąga. Ale nie martw się, kochana. - Pochylił się i pocałował ją w czoło. - Przrzekam, że nie skrzywdzę twojej dystyngowanej przyjaciółki.

- A wiesz, że o ciebie też się trochę martwię?

- Niepotrzebnie. - Poglądził ją po włosach. Ruszył do drzwi, ale już w progu odwrócił się i zawołał: - Powiedz Marissie, że przywiozę jej muszelki.

Hannah, spokojna i pogodzona z losem, czekała na niego w holu.

- Mam nadzieję, że nie musiałeś opóźnić przeze mnie wyjazdu?

- Ani o minutę. Poza tym mamy dużo czasu - zapewnił ją i dodał: - Obiecuję, że przejażdżka zrekompensuje ci nudę przemówień, które po niej nastąpią. Tu wszystko musi odbywać się z wielką pompą.

- Nie mam nic przeciwko pompie i przemówieniom.

- Całe szczęście.

Przed drzwiami czekał na nich Claude, wysoki, postawny mężczyzna pełniący funkcję sekretarza. Ukłonił się z szacunkiem i powiadomił, że samochód Jego Wysokości jest gotowy, a droga do Hawru została sprawdzona i zabezpieczona przez odpowiednie służby.

Samochód okazał się maleńkim sportowym kabrioletem.

- Jeździsz tym? - Hannah skinęła w stronę zgrabnego autka stojącego pomiędzy dwoma statecznymi limuzynami.

- Wygląda jak zabawka, prawda? - Bennett czule pogłodził lśniąca karoserię. - Prowadzi się go rewelacyjnie. Na prostej wyciągnąłem ponad dwieście na godzinę.

Próbowała wyobrazić sobie, jak pędzą wzdłuż wybrzeża, a wiatr dmucha im prosto w twarz. Wizja była tak nęcąca, że aż niebezpieczna. Dlatego czym prędzej odsunęła ją od siebie i zrobiła przestraszoną minę.

- Ale dziś nie będziesz pobijał tego rekordu? Rozbawiony, otworzył przed nią drzwi.

- Żadnego bicia rekordów. Obiecuję! Mało tego, specjalnie dla ciebie będę jechał jak emeryt.

Hannah, wsiadłszy do środka, ledwie opanowała westchnienie zachwytu.

- Trochę tu mało miejsca - stęknęła, marszcząc nos.

- W sam raz dla dwojga - zawołał, wskakując za kierownicę.

- Mam nadzieję, że nie podróżujesz bez ochrony?

- Owszem, o ile uda mi się od nich uwolnić. Bądź spokojna, mój sekretarz i ochrona pojedą z tyłu. Pokażemy im!

Roześmiał się i uruchomił silnik. Na podstawie głębokiego pomruku zorientowała się, że pod maską nie było miejsca na nic innego. Zanim zdążyła odetchnąć, Bennett ruszył z miejsca z piskiem opon.

- Założę się, że już narzekają. - Ruchem głowy wskazał samochód widoczny w tylnym lusterku. - Gdyby Claude mógł postawić na swoim, mógłbym jeździć najwyżej trzydzieści na godzinę. W dodatku wyłącznie pancerną limuzyną, ubrany w kamizelkę kuloodporną.

- Nie dziw się. Przecież płacą mu za to, żeby cię chronił.

- Szkoda, że podchodzi do tego ze śmiertelną powagą. - Bennett zredukował bieg i z piskiem opon wszedł w serpentynę zakrętu.

- Czy twój dziadek żył długo i szczęśliwie? - zapytała, chwytając brzegów fotela.

- Kto?

- Twój dziadek. Zastanawiam się, czy dożył sędziwej starości. Bo jeśli jeździł jak ty, jest to mało prawdopodobne.

- Zaufaj mi, *ma belle*, znam tu każdy kamień. Tak naprawdę wcale nie chciała, żeby zwalniał. Po raz pierwszy od długich miesięcy poczuła się wolna. Całkiem zapomniała, jak słodki ma to smak.

Zjeżdżali krętą drogą ze wzgórza, cały czas widząc w dole migotliwy błękit morza. Palmy gięły się na wietrze, wznosząc ku niebu strzępiaste pióropusze. Na poboczu rosły kwitnące na czerwono krzewy, tworząc coś w rodzaju ozdobnej rynny. Ciepły wiatr niósł zapach morza i wiecznej wiosny.

- Jeździsz na nartach wodnych? - zapytał Bennett, widząc, że Hannah obserwuje sylwetkę narciarza mknącego za motorówką.

- Nigdy nie próbowałam. Zdaje się, że do tej zabawy trzeba być bardzo wysportowanym. A ja jestem typem mola książkowego.

- Przecież nie można ciągle czytać!

- Można. - Narciarz zrobił w powietrzu wolte, po czym zniknął pod powierzchnią.

- I nigdy nie marzyłaś o przygodzie? Pomyślała o minionych dziesięciu latach swego życia. O zadaniach specjalnych, które wiodły ją do najdziwniejszych miejsc, od slumsów

począwszy, na zamkach możliwych tego świata kończąc. Francuskie uliczki, włoskie dzielnice portowe, wszędzie tam była. Zawsze z małym pistoletem w torebce i sprężynowym nożem, który tkwił pod podwiązką jak pieśczośliwy palec kochanka.

- Wolę przygodę intelektualną - odparła zamyślona.

- Żadnych skrytych marzeń?

- Niektórzy ludzie są dokładnie tacy, na jakich wyglądają - przyznała odprężona. Wreszcie przyszedł jej do głowy bezpieczny temat. - Nie wiedziałam, że jesteś oficerem marynarki - skłamała gładko, czyli tak, jak wymagała tego jej profesja.

- Służyłem w marynarce parę ładnych lat. Teraz moja funkcja jest niemal czysto reprezentacyjna. Zgodnie z tradycją drugi syn powinien wybrać karierę wojskową.

- Dlaczego zdecydowałeś się na marynarkę?

- Cordina jest otoczona morzem. Nasza flota nie jest tak liczna jak brytyjska, ale w tej części świata uchodzi za potęgę.

- To dobrze. Żyjemy w trudnych czasach.

- Tu, w Cordinie, od dawna wiemy, że nie ma czegoś takiego jak łatwe czasy. Jesteśmy nastawieni pokojowo, a chcąc takimi pozostać, nieustannie szykujemy się do wojny.

Wyobraźnia podsunęła jej obraz białego pałacu ozdobionego strzelistymi wieżyczkami, stojącego na wysokiej skale w otoczeniu bajkowych ogrodów. Niedostępny od strony morza, sprawiał wrażenie bezpiecznej oazy. Jednak w życiu nic nie jest tak proste, jak wygląda.

Hawr okazał się czarującym miastem, malowniczo położonym u stóp lesistego wzgórza. Białe domy kryte dachówką wspinały się po zielonym, łagodnym stoku. Na spokojnych wodach zatoki kołysały się jachty i kutry rybackie, na kamienistej plaży poniżej starego falochronu suszyły się sieci i pułapki na homary. Rzeńskie poranne powietrze pachniało rybami i morską solą.

Początkowo zdawało jej się, że Hawr to mała osada rybacka, która żyje z darów morza. Jednak w miarę jak zagłębiali się w zabudowania portu, miejsce małych domków zajmowały coraz okazalsze budynki. W porcie przeładunkowym cumowały ogromne statki handlowe, przy których uwijali się robotnicy. Dopiero tutaj było widać, że Hawr, podobnie jak cała Cordina, ma większe znaczenie, niż mogłoby się wydawać. Dzięki dogodnemu położeniu miasto stanowiło jeden z najważniejszych portów Morza Śródziemnego. Tu też mieściła się główna baza książęcej marynarki wojennej.

Klucząc w labiryncie wąskich uliczek, przejechali kilka bramek kontrolnych. Bennett nie zatrzymywał się przy nich, jedynie nieco zwalniał, by przyjąć saluty wartowników. Choć

większość zabudowań bazy morskiej miała kolor spłowiałego różu i stała w otoczeniu bujnej zieleni, w sposobie ich lokalizacji Hannah natychmiast rozpoznała uporządkowaną strukturę terenu wojskowego.

Zatrzymali się przed okazałym budynkiem, pilnowanym przez umundurowanych marynarzy.

- Przez kilka godzin musimy być bardzo oficjalni - szepnął jej do ucha, po czym wysiadł z samochodu, przy którym przeżył się jeden z marynarzy.

Włożył oficerską czapkę z daszkiem, przyjął honory, a potem poprowadził Hannah w stronę wejścia. Ani razu nie spojrzął na limuzynę, która zaparkowała tuż za jego samochodem. Najpierw musimy załatwić formalności - uprzedził ją, gdy weszli do środka, gdzie czekała na nich spora grupa osób. Byli wśród nich wysocy rangą oficerowie, ich małżonki oraz członkowie korpusu dyplomatycznego.

Hannah z niezmaconym spokojem przyjęła oficjalne prezentacje. Wiedziała, że znajduje się pod ostrzałem ciekawych spojrzeń. Nie wyglądasz na księżniczkę, mówiły jej oczy obserwatorów. W zupełności się z nimi zgadzała.

Po herbacie zwiedzali budynek. Ponieważ tę nie planowaną wycieczkę zorganizowano specjalnie dla niej, z zapałem udawała całkowitą niewiedzę na temat wojskowych urządzeń, które jej pokazywano. Z rozbijającą naiwnością zadawała pytania i bez mrugnięcia okiem wysłuchiwała uproszczonych odpowiedzi. Naprawdę nikt by nie dał wiary, że wie o nowoczesnych systemach radarowych i komunikacyjnych tyle samo, co wojskowi specjaliści. W razie potrzeby potrafiła samodzielnie zmontować urządzenie, dzięki któremu mogła uzyskać łączność z biurem głównym ISS pod Londynem albo ateńską kwaterą Deboque'a.

Z budynku dowództwa floty cała grupa przeszła na nabrzeże, by uroczyście powitać powracający do macierzystego portu okręt Independance. Gdy na czele pochodu pojawił się Bennett, wojskowa orkiestra zagrała marsza, a ludzie zebrani wokół barierki zaczęli klaskać i powiewać chorągiewkami. Rodzice sadzali sobie na ramionach dzieci, by ponad głowami tłumu mogły spojrzeć na księcia.

Hannah naliczyła co najmniej dwunastu agentów ochrony, przemieszanych z grupkami gapiów. Dwaj z nich stali tuż za plecami Bennetta. Deboque wyszedł na wolność, więc niebezpieczeństwo stało się bardzo realne.

Potężny, stalowoszary niszczyciel majestatycznie wpłynął do portu i przy aplauzie publiczności zacumował w doku. Trap stuknął o beton nabrzeża i po chwili zszedł po nim kapitan, by wymienić saluty z oficerami i pokłonić się księciu.

- Witamy w domu, kapitanie. - Bennett uściśnął mu dłoń.

Po powitaniu przyszedł czas na przemówienia. Hannah udawała, że słucha ich z uwagą, lecz cały czas badała wzrokiem wiwatujący tłum.

Kiedy w końcu go rozpoznała, nie poczuła się zaskoczona. Niski, lekko przygarbiony mężczyzna stał na przodzie sporej grupy ludzi i jak oni machał papierową flagą. Robocze ubranie i pospolity wygląd gwarantowały mu pełną anonimowość. Nikt by go nie zapamiętał, choć miał opinię jednego z najlepszych ludzi Deboque'a.

Na pewno nic się nie stanie, pomyślała chłodno, ale na karku poczuła nieprzyjemne mrowienie. Fakt, że udało jej się dostać do pałacu, uznano w organizacji za wielki sukces. Dalszy plan działania nie przewidywał gwałtownych ruchów, jedynie spokojne i metodyczne rozpracowywanie przeciwnika. Poza tym Bennett nie był numerem jeden na liście Deboque'a, któremu najbardziej zależało na zgładzeniu księcia Armanda lub Aleksandra. Po tak długim oczekiwaniu na pewno nie zadowoliliby się zabiciem kogoś, kto jest drugi w kolejce do tronu.

Mimo tych uspokajających myśli mocniej zacisnęła palce na pasku torebki. Przesunęła się nieznacznie w bok, by choć częściowo osłonić Bennetta własnym ciałem.

Ciekawe, czy człowiek Deboque'a ma dla niej jakąś wiadomość? A może wysłano go, by się trochę rozejrzał? Instynkt podpowiadał jej, że chodzi raczej o to drugie. Jeszcze raz omiotła spojrzeniem kolorowy tłum. Kiedy napotkała oczami wzrok mężczyzny, ich spojrzenia skrzyżowały się na ułamek sekundy. Rozpoznał ją, ale nie dał żadnego znaku. Pierwsza odwróciła od niego wzrok. Za kilka dni i tak mają się spotkać w muzeum.

Tymczasem ceremonia trwała dalej. Gdy przemówienia dobiegły końca, kapitan zaprosił gości na okręt. Na czele grupy najwyższych oficerów kroczył Bennett i przyjmował saluty marynarzy. Hannah w towarzystwie żony admirała szła kilka kroków za nim. Co pewien czas zatrzymywał się, by zapytać o coś lub porozmawiać z członkami załogi. Hannah spostrzegła, że zainteresowanie nie wynikało ze zdawkowej uprzejmości władcy. Kiedy marynarze odpowiadali, Bennett słuchał ich z autentyczną uwagą. Widać było, że ludzie poważają go i szanują. A nawet kochają tą specyficzną miłością, jaką żołnierze darzą dobrego dowódcę.

Bennett dość szybko przemierzał wyszorowane do czysta pokłady. Musiał zadać pewne pytania i pochwalić ludzi, ale nie chciał przedłużać wizytacji. Zdawał sobie sprawę, że w kajutach od dawna czekają spakowane marynarskie worki. Gdy tylko było to możliwe, wymienił pożegnalny uścisk dłoni z kapitanem i energicznie opuścił okręt.

Protokół wymagał, by książę został odprowadzony do siedziby dowództwa i pożegnany z należnymi honorami. Właśnie tam Hannah zauważyła u Bennetta pierwsze oznaki zniecierpliwienia. Nadal był uśmiechnięty i uprzejmy, nadal ścisnął i całował dłonie,

ale coraz częściej zerkał ukradkiem w stronę wyjścia. Dopiero kiedy wsiedli do samochodu, pozwolił sobie na głębokie westchnienie ulgi i ciche przekleństwo.

- Słucham, Wasza Wysokość? Delikatnie poklepał ją po ręce.

- Cztery godziny to kawał czasu. Dziękuję, że pomogłaś mi to przetrwać. Boże, jakie to nudne!

- Ja się wcale nie nudziłam - zaprzeczyła gorąco, ale z rozkoszą przyjęła pierwszy powiew wiatru we włosach, gdy kabriolet zaczął nabierać prędkości. - Zwiedzanie statku było bardzo kształcące - zauważyła. - Podobał mi się przepis na naleśniki, który kucharz oparł w ramki. Rozbawiło mnie, że mąkę odmierza się tam na kilogramy.

- Po paru miesiącach na morzu jedzenie staje się sprawą wielkiej wagi - rzekł Bennett z uśmiechem.

- Gdybym wiedział, że zainteresował cię okręt, nie spieszyłbym się tak bardzo.

- Domyślam się, że takie rzeczy to dla ciebie żadna przyjemność. Po jakimś czasie wszystko powszednieje.

- Nie o to chodzi. Po prostu żał mi było marynarzy. Wiem, że chcieli jak najszybciej zejść na ląd, do swoich żon lub kochanek. Albo jednych i drugich.

- Zerknął na nią, uśmiechając się kątem ust. - Nawet nie wiesz - dodał - co znaczą cztery miesiące na morzu, gdy za jedyne damskie towarzystwo musi wystarczyć fotka rozneglizowanej modelki.

Miała ochotę się uśmiechnąć, ale nie zrobiła tego.

- Mam wrażenie, że podobała ci się służba na okręcie. To się dało wyczuć po sposobie, w jaki rozmawiałaś z marynarzami.

Milczał, ale było mu przyjemnie, że to rozumiała.

- Podczas służby byłem tylko jednym z oficerów, a nie księciem. Wprawdzie nie mogę powiedzieć, że mam morze we krwi, ale doświadczenie było niezapomniane.

- Co zapamiętałeś najlepiej?

- Wschody słońca. I sztormy. Zwłaszcza jeden, który złapał nas niedaleko Krety. Fale miały z dziesięć metrów wysokości. Potężne ściany wody waliły się na pokład z takim hukiem, że nie słyszałem kolegi krzyczącego mi prosto do ucha. Takie przeżycie bardzo człowieka zmienia.

- W jaki sposób?

- Po prostu nagle uświadamiasz sobie, że bez względu na to, kim jesteś, istnieje siła dużo od ciebie potężniejsza. Wobec natury wszyscy jesteśmy równi, Hannah. Spójrz na



morze. - Skinął ręką w stronę migotliwego błękitu. - Jest teraz takie spokojne i piękne. Ciekawe, że sztorm nie odbiera mu piękna, jedynie czyni je bardziej groźnym.

- Lubisz niebezpieczeństwo?

- Czasami. Jest w nim coś kuszącego.

Wiedziała o tym. Sama odkryła to kilka lat temu.

Bennett dał sygnał, że zjeżdża na pobocze. Zignorował zaniepokojoną minę agenta ochrony, który wyskoczył z drugiego samochodu, i otworzył drzwi od strony Hannah.

- Przejdźmy się po plaży - zaproponował, wyciągając rękę. - Obiecałem, że nazbieram muszelek dla Marissy.

- Twoi ochroniarze nie wyglądają na zachwyconych - zauważyła. Jej także nie podobał się pomysł spaceru po zupełnie odkrytej przestrzeni.

- Nie przejmuj się nimi. Chodź! Przecież sama mówiłaś, że morskie powietrze jest bardzo zdrowe.

- No dobrze. - Bez entuzjazmu podała mu rękę.

Pocieszyła się, że dopóki ona gra swą rolę bez zarzutu, on jest bezpieczny. - Tylko pamiętaj - dodała - że muszle muszą być duże. Dzieci w wieku Marissy wszystko biorą do buzi.

- Jak zawsze praktyczna! - Roześmiał się. - Może wobec tego zdejmijmy też buty.

Kiedy pomagał jej przejść przez niski falochron, zauważył, że ciągle zerkąła na ochroniarza trzymającego się za nimi w dyskretnej odległości.

- W tych wodach pewnie są piękne rafy koralowe. - Ruchem głowy wskazała turkusową płycznę.

- Nurkujesz?

- Nie - skłamała. - Słabo pływam. Kiedyś byłam na wystawie w Londynie i tam widziałam fragment rafy. Stąd wiem, że niektóre muszle są nie tylko piękne, ale i bardzo cenne.

- Moje szczęście, że Marissa ma jeszcze mało wyszukany gust - zauważył, prowadząc ją za rękę w stronę cieniutkiej linii wyznaczonej na piasku przez fale. - Kilka skorupki małży zupełnie jej wystarczy.

- Miło, że o niej pomyślałeś.

W ogóle jesteś miły, dodała w myślach. Żałowała, że nie potrafi być wobec niego obojętna.

- Pewnie jesteś ulubieńcem swoich siostrzeńców i siostrzenic, zgadłam?

- To dlatego, że kiedy się bawimy, lubię się wygłupiać. O, spójrz. Co myślisz o tej? - Schylił się i zwinnie wyłowił długą spiralę, która kiedyś musiała być czubkiem dużej muszli.

- Może być. Na pewno nie da się jej połknąć.

- Dla Marissy jest najważniejsze, żeby była ładna.

- Jest ładna. - Hanna przesunęła palcem po gładkiej powierzchni. - Popatrz na tę! - Niewiele myśląc, wskoczyła w cofającą się falę i podniosła muszlę małża, która miała kształt rozłożystego wachlarza, białego z zewnątrz i połyskującego perłowo od środka. - Kiedy będziesz ją dawał Marissie - rzekła, obracając na dłoni swoją zdobycz - powiedz jej, że wróżki robią sobie z tego talerzyki.

- A więc lady Hannah wierzy we wróżki...

- Wcale nie - zachnęła się i zaraz spoważniała. - Ale Marissa pewnie tak.

- Zamoczyłaś stopy.

- Zaraz wyschną. - Wzruszyła ramionami, ale zrobiła krok w stronę plaży.

- Zaczekaj. - Przytrzymał ją za rękę. - Skoro już weszliśmy do wody, możemy wyłowić jeszcze kilka muszelek.

Ruszyli przed siebie, brodząc po kostki w morskiej pianie. Ciepła woda zmieszana z drobnym piaskiem przyjemnie masowała stopy, łagodna bryza chłodziła twarz. Małe fale rozplywały się szerokimi zakolami, budząc odgłos podobny do głębokiego westchnienia.

Hannah uparcie wpatrywała się w pomarszczone białe dno. Powtarzała sobie, że w tym spacerze nie ma nic romantycznego. Nie mogła dopuścić, by sytuacja wymknęła się spod kontroli. Linia, po której stąpała, była cienka jak włos i ostra jak krawędź brzozy. Jeden fałszywy krok mógł doprowadzić do tragedii. W najgorszym przypadku nawet do wojny.

- Dzisiejsza uroczystość była wspianiała - powiedziała, szukając neutralnego tematu. - Dziękuję, że mnie wzięłeś.

- Zrobiłem to z pobudek egoistycznych. Zależało mi na twoim towarzystwie.

Zignorowała te słowa, choć sprawiły jej przyjemność.

- W Anglii często krytykuje się rodzinę królewską - rzekła. - Jednak w gruncie rzeczy wszyscy kochają królową. Wydaje mi się, że twoja rodzina cieszy się podobną miłością i szacunkiem.

- Mój ojciec powiedziałby, że naszym powołaniem jest nie tylko rządzenie, ale i służba narodowi. Sam uosabia solidność i pewność. Aleksander daje poddanym nadzieję na lepszą przyszłość. Dzięki Gabrielli widzą mądrość, piękno i ludzką twarz monarchii.

- A ty, co im dajesz?

- Rozrywkę.

Nie spodobało jej się, że mówił o sobie tak lekceważąco. Zatrzymała się więc i patrząc mu w oczy, rzekła z przekonaniem:

- Nie doceniasz swojej roli.

Zaskoczony, przechylił głowę i spojrzał na nią uważnie. Znowu dostrzegł w jej spojrzeniu to, czego nie potrafił nazwać.

- To nie tak - rzekł po chwili. - Nie lekceważę swoich obowiązków. Ojciec wychowywał nas w taki sposób, abyśmy rozumieli, że tytuły i zaszczyty nie są nam dane ot tak, po prostu. Musieliśmy na nie zasłużyć. - Pociągnął ją lekko w swoją stronę, by rozbryzgująca się fala nie zmoczyła dołu jej spódnicy. - Dziękuję Bogu, że nie będę rządził. Modłę się, żeby tym razem Eve urodziła syna. Ponieważ nie jestem następcą tronu, nie muszę traktować siebie z absolutną powagą. Ale to nie znaczy, że nie traktuję poważnie Cordiny i obowiązków.

- Wiem. Nie miałam zamiaru cię krytykować.

- Rozumiem. Chciałem ci tylko powiedzieć, że poza moimi oficjalnymi obowiązkami wypełniam jeszcze jedną rolę. Jestem człowiekiem, o którym ludzie mogą sobie pogadać przy butelce wina. Opinia playboya ciągnie się za mną od czasów wczesnej młodości. - Z szelmowskim uśmiechem odsunął z jej czoła kosmyk włosów. - Nie mówię, że jest całkiem bezpodstawna.

- Zajmuję się literaturą, a nie plotkami - zauważyła twardo, ruszając z miejsca.

- One też są potrzebne. - Zaskoczony jej reakcją, chwycił ją za ramię i nie pozwolił odejść.

- Chyba sprawiają ci przyjemność.

- To nieprawda! - Wzrok mu spochmurniał, gdy ponad jej głowę spojrzał na odległy horyzont. - Po prostu przyzwyczailem się do nich. Kiedy ma się dwadzieścia lat, trudno zawsze i wszędzie zachowywać się poprawnie. W moim przypadku wystarczyło, że trochę dłużej przyjrzałem się jakiejś kobiecie, a już pisały o tym wszystkie brukowce. I zamieszczały zdjęcia. Nie wypieram się, lubię kobiety. - Uśmiechnął się, wracając do niej spojrzeniem. - A ponieważ nigdy nie chciałem tego zmieniać, pogodziłem się z tym, że moje życie prywatne jest przedmiotem ogólnego zainteresowania. Jeśli grzeszyłem, to jedynie brakiem dyskrecji.

- Albo liczbą przyjaciółek.

Przez moment wahał się, a potem odchylił głowę i roześmiał się na całe gardło.

- Oj, Hannah, prawdziwy z ciebie skarb. Widzę, że jednak nie ślęczałaś wyłącznie nad poezją.

- Nie przeczę, zdarzyło mi się przeczytać parę gazet.

Coraz bardziej rozbawiony, chwycił ją wpół i obrócił kilka razy. Kiedy postawił ją z powrotem na ciepłym piasku, oczy mu błyszczały.

- Uwielbiam, gdy jednym zdaniem osadzasz mnie w miejscu.

- Obawiam się, że źle odczytałeś moje intencje.

- Akurat! Nawet nie wiesz, jaką sprawiasz mi tym przyjemność.

Wyraz frustracji w jej oczach nie był elementem roli, którą przed nim odgrywała. Nie przyjechała do Cordiny po to, by sprawiać mu przyjemność. Jej zadaniem była obserwacja, umacnianie własnej pozycji i realizacja planu, którego przygotowanie zajęło długie lata. Skromna lady Hannah nigdy dotąd nie wzbudziła zainteresowania żadnego mężczyzny, więc to, co działo się teraz, było dla niej niemałym kłopotem. Chciała szybko wybrnąć z trudnej sytuacji, ale Bennett nie miał zamiaru jej w tym pomagać.

- Twoja fryzura się rozsypuje - stwierdził i wyjął spinkę zaplątaną w luźne pasmo jej włosów. - W czasie jazdy powinienem był postawić dach.

- Pewnie wyglądam, jakbym przeżyła tornado. Podniosła ręce, by poprawić włosy, ale było już za późno. Pod wpływem wiatru i ciężaru spinki nie były w stanie ich utrzymać i splecione pasma opadły jej na ramiona, a potem spłynęły miękko aż do talii.

- *Mon Dieu.*

Chciała zwinąć je szybko w ciasny węzeł, ale Bennett był szybszy. Nim zdążyła wykonać jeden ruch, wsunął palce obu dłoni pomiędzy grube pasma w kolorze ciemnego bursztynu. Patrzył na nie jak zauroczony, nie mogąc uwierzyć w przemianę, której był świadkiem. Tymczasem lekki wiatr wyprawiał swoje harce i plątał pasma coraz bardziej, unosząc je do góry albo wpychając Hannah prosto w oczy. Ozdobiona nimi twarz nie wyglądała na nadmiernie szczupłą i kościstą. Wręcz przeciwnie, ukazywała całą swą niepospolitą urodę.

- Wspaniale. Jak włosy anioła.

Z całych sił walczyła ze sobą, z własnym niespokojnym sercem i umysłem. Przeraziło ją to, co dostrzegła w zachwyconych oczach Bennetta. To już nie była niewinna przyjemność ani przelotne zauroczenie. W jego spojrzeniu było najczystsze pożądanie. Potężne i niebezpieczne jak sztorm, o którym niedawno jej opowiadał. Nie mogła się cofnąć, nie miała jak uciec wzrokiem, bo trzymał ją za włosy, które owinał sobie wokół pięści. Najgorsze, że chciała, by to robił. By ją trzymał, obejmował i tulił. By jej pożądał, pragnął i, choć dla niej samej brzmiało to niedorzecznie, by ją kochał. To, co czuła, było karygodnym pogwałceniem wszystkich reguł. Mimo to nie miała dość siły, by się oswobodzić.

- Włosy anioła - powtórzył szeptem. - Na Boga, dlaczego kobieta dobrowolnie pozbawia się takiej ozdoby?

- Bo tak jest wygodniej - odparła chłodno. Nie mogła zapanować nad tym, co działo się w jej sercu, ale dzięki treningowi umiała powściągnąć emocje. Lekko odchyliła głowę, próbując uwolnić się od jego rąk, ale napotkała opór.

Miał wielką ochotę przyciągnąć ją do siebie, ale nie zrobił tego. Nie ze względu na obserwujących go ochroniarzy, ale z powodu niepokoju, który wycierał z jej oczu.

- Skoro tak ci zależy na wygodzie, moja praktyczna Hannah, to dlaczego ich po prostu nie obetniesz?

Ach, ileż razy gotowa była to zrobić! I za każdym razem w ostatniej chwili zmieniała zdanie. Postanowiła powiedzieć mu prawdę, bo ta była często najlepszą zasłoną.

- Cóż, mam w sobie odrobinę próżności.

- Z rozpuszczonymi włosami wyglądasz przepięknie. .. - Z zachwytem przeczesywał je palcami. Miał wrażenie, że dotyka grubych nici jedwabiu. Nie mógł uwierzyć, że takie bogactwo można ukryć za pomocą garści spinek.

- Nie tyle przepięknie, co inaczej - sprostowała, maskując uśmiechem napięcie.

- Chyba nie ma mężczyzny, który byłby obojętny wobec takiej odmiany. - Wyczuł jej opór, więc z żalem cofnął ręce. - Ale ty nie szukasz męskiej akceptacji, prawda?

- Nigdy dotąd nie była mi potrzebna. - Wystarczyło kilka wprawnych ruchów, by anielskie włosy zmieniły się w schludny węzeł. Hannah tak długo wpinała weń spinki, aż nabrała pewności, że się nie rozpadnie. Dopiero wtedy poczuła się bezpieczna.

- Wracajmy już - rzekła. - Mogę być potrzebna Eve.

Nie protestował. Kiedy szli do samochodu, pomyślał, że znajdzie czas i miejsce, by zostać z nią sam na sam. Zaczeka. Po raz pierwszy w życiu gotów był uzbroić się w cierpliwość.

- Możesz chować swoje włosy - powiedział, gdy stanęli obok falochronu - ale wiedz, że odtąd już zawsze będę cię widział taką jak przed chwilą. - Chwycił ją w tali i przeniósł na drugą stronę. Nie puścił jej jednak od razu, więc przez chwilę stali naprzeciw siebie, rozdzieleni niskim murem - Teraz, kiedy poznałem twój sekret, zastanawiam się, ile tajemnic przede mną chowasz.

I kiedy uda mi się je odkryć.

- Obawiam się, Bennecie, że spotka cię rozczarowanie. Nie mam żadnych tajemnic.

- To się jeszcze okaże - stwierdził krótko, zwinnie przeskakując falochron.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Hannah rzadko pragnęła być piękna. W ostatnich latach parę razy zdarzyło jej się odczuwać taką pokusę, zawsze jednak była to chwilowa tęsknota, z którą w mgnieniu oka potrafiła się uporać. Czasami, gdy nie była na służbie, albo gdy podróżowała z dala od kraju, folgowala tej słabości, wkładając modną sukienkę w żywych kolorach. Pozwalała sobie również na zrobienie delikatnego makijażu.

Teraz nie mogło być mowy o uleganiu żadnym zachciankom.

Doskonale wiedziała, że wszyscy goście Eve będą chcieli wypaść jak najlepiej. Kolacja wydawana w pałacu z założenia miała być elegancka, a nawet ekstrawagancka. Hannah nie miała wątpliwości, że wszystkie zaproszone kobiety zrobią co w ludzkiej mocy, by wyglądać pięknie. Wszystkie, tylko nie ona.

Zwłaszcza Chantel O'Hurley nie przepuści okazji, by olśnić wszystkich urodą. Hannah przypomniała sobie, w jaki sposób Bennett patrzył na aktorkę, gdy spotkali się na schodach w Centrum Sztuki. Nie powinno jej to wcale obchodzić.

Ale obchodziło. Aż za bardzo. Napominając samą siebie za brak rozsądku, wyjęła z szafy kreację, którą uznała za najlepszą z najgorszych. Długa suknia w kolorze lawendy miała górę tak przeładowaną marszczeniami i falbankami, że skutecznie maskowała biust. Gdyby zdecydowała się zostawić rozpuszczone włosy, wyglądałaby jak rozwiązła purytanka, a to na pewno rzuciłoby się w oczy. Dlatego z lekkim westchnieniem żalu zgarnęła je i rozpoczęła mozolny proces zaplatania i upinania schludnego wężła.

Gdy był gotów, poczuła satysfakcję. Kolejny raz z powodzeniem ukryła wszelkie ślady własnej seksualności. Kobieta, którą widziała w lustrze, prezentowała się dobrze, ale była całkowicie bezpłciowa. Nie ma czego żałować, powtarzała półgłosem, chowając pistolet do wieczorowej torebki. Obowiązki zawodowe zawsze stawiała ponad pragnienia, nie mówiąc już o kobiecej próżności.

Czekał na nią. Niecierpliwie rozglądał się po Sali Lustrzanej, sondując wzrokiem grupę gości, wśród których uwijali się kelnerzy roznoszący przekąski i aperitify. Oprócz aktorów Eve zaprosiła również pracowników technicznych, więc zrobił się z tego spory tłum, który głośnymi rozmowami i śmiechem próbował rozładować przedpremierowe napięcie.

Pomimo rozdrażnienia Bennett zachowywał się bez zarzutu. Nigdy nie przeoczył dłoni, którą należało uściskać lub pocałować, i pamiętał, by w odpowiedniej chwili roześmiać się z dowcipu. W normalnej sytuacji pewnie bawiłby się doskonale, jednak teraz...

Gdzie ona jest? Rozglądał się tak energicznie, że w końcu smoking, który zwykle nosił ze swobodą, zaczął mu przeszkadzać. Wokół niego przechadzały się kobiety barwne jak egzotyczne ptaki, lecz ani ich uroda, ani kuszący zapach perfum nie robiły na nim wrażenia. Wszystko, czego w tej chwili pragnął, to wreszcie zostać z Hannah sam na sam.

Kręcił się coraz bardziej nerwowo, i niby kogoś słuchał, niby z kimś rozmawiał, ale cały czas spoglądał na zegar i na drzwi.

- Czy to mnie tak niecierpliwie wyglądasz? - szepnął mu prosto do ucha zmysłowy głos.

- Chantel. - Bennett pocałował ją w oba policzki, po czym odsunął się, by na nią spojrzeć. - Jak zawsze olśniewająca.

- Po prostu znam swoje mocne strony. Uśmiechnęła się do niego, sięgając po kieliszek wina. Błyszcząca biała suknia z odkrytymi ramionami i kuszącym głębokim dekoltem wspaniale podkreślała jej posagową figurę.

- Plotkarska prasa nie przesadza, ten pałac jest rzeczywiście wspaniały. - Olbrzymie lustro odbiły jej postać, gdy czyniła w powietrzu szeroki gest. - I co za świetny pomysł, żeby właśnie w tej sali przyjąć grupę narcystycznych aktorów!

- Staramy się, jak możemy - odparł, spoglądając ponad jej głową w stronę wejścia. Niestety, Hannah ciągle nie było. - Widziałem twój ostatni film. Zagrałaś rewelacyjnie.

Chantel, która przywykła skupiać na sobie całą uwagę, natychmiast zorientowała się, że tym razem musi się nią z kimś dzielić. Nie powiedziała jednak słowa i tylko uśmiechnęła się domyślnie.

- Ciągle czekam, aż wrócisz do Hollywood - rzekła.

- A póki co, nie tracisz czasu. - Sięgnął do kieszeni po zapalniczkę i podał jej ogień. - Jak ty znajdujesz czas dla tych wszystkich mistrzów tenisa, właścicieli pól naftowych i wpływowych producentów?

Chantel przechyliła głowę i wypuściła smugę dymu.

- Tak samo jak ty, mój drogi, dla swoich księżniczek, markiz i... kto to był ostatnio? Barmanka z Chelsea?

- Moja droga - roześmiał się - gdybyśmy rzeczywiście mieli te wszystkie romanse, o które nas posądzają, musieliby nas leczyć.

Z czułością, jaką demonstrowała wobec nielicznych mężczyzn, dotknęła jego policzka.

- Komu innemu powiedziałabym: mów za siebie. Ale skoro oboje wiemy, że nigdy nie byliśmy kochankami, choć o naszym romansie rozpisywały się wszystkie brukowce, zapytam tylko, jak twoje sprawy sercowe?

- Zagmatwane - odparł. Właśnie wtedy spostrzegł Hannah ukradkiem wślizgującą się do sali. - Strasznie zagmatwane - powtórzył roztargniony. - Przepraszę cię na moment, dobrze?

- Naturalnie. - Natychmiast zorientowała się, kto zaabsorbował jego uwagę. - *Bonne chance*, Bennett.

Ledwie Hannah zdążyła znaleźć sobie miejsce w pustym kącie, już był przy niej.

- Dobry wieczór, lady Hannah.

- Wasza Wysokość. - Z premedytacją użyła jego tytułu i wykonała przepisowy ukłon. Kiedy się wyprostowała, chwycił ją za rękę, najwyraźniej mając za nic wymogi etykiety.

- Zwykle kobieta spóźnia się po to, żeby mieć wielkie wejście, a nie chować się po kątach.

Niech go wszyscy diabli, pomyślała, czując, że gwałtownie podskoczył jej puls. Szybko się opanowała, ale zauważyła, że wzbudzili zainteresowanie paru osób. I na tym skończyła się jej próba dyskretnego wtopienia się w tłum.

- Wolę obserwować, niż być obserwowaną.

- A ja wolę patrzeć na ciebie. - Skinął na kelnera i osobiście podał jej kieliszek wina. - Jesteś bardzo zwinna - pochwalił. - Widziałem, jak wchodziłaś. Założę się, że nawet w pustym pokoju nikt nie usłyszałby twoich kroków.

Musiała przyznać mu rację. Tę cenną umiejętność zawdzięczała treningom tae kwon do i lekcjom baletu w dzieciństwie.

- Od dziecka wpajano mi, że nie należy nikomu przeszkadzać. - Przyjęła kieliszek, gdyż dzięki temu przynajmniej mogła oswobodzić jedną rękę. - Przepiękna sala - pochwaliła, wskazując lustra, które niezliczoną ilość razy powielają ich odbicie.

- Cieszę się, że ci się podoba. Sam mam do niej wielką słabość. - Teraz, kiedy była obok, czuł się spokojny i zrelaksowany. Miał wrażenie, że dzięki niej wszystko nabiera właściwych proporcji. - Tak się złożyło, że kolekcję luster zapoczątkował mój imiennik żyjący parę wieków temu. Legenda głosi, że ów książę Bennett był okropnie próżny. A że natura poskąpiła mu urody, kupował sobie lustra w nadziei, że któreś okaże się dla niego łaskawe.

Roześmiała się, zapominając na moment, co naprawdę robi w tym towarzystwie. Nawet zdawało jej się, że sama jest częścią tego bajkowego świata.



- Gdyby nie to, że dokoła nie brak próżnych głupców, sądziłabym, że wymyśliłeś tę historię.

- Wiesz, że masz bardzo zmysłowy śmiech? - szepnął. - Kiedy go słyszę, od razu widzę cię z rozpuszczonymi włosami, jak wtedy na plaży.

Musi z tym natychmiast skończyć. Jak może z takim zachwytem słuchać mężczyzny, który ma zasłużoną opinię podrywacza? Na dodatek zapomniała się akurat teraz, kiedy powinna bezustannie mieć się na baczności. W końcu rozgrywa najbardziej niebezpieczną partię!

- Czy nie powinieneś zająć się gośćmi? - zapytała chłodno.

- Już to zrobiłem. - Pieszczotliwie przesunął palcem po kostkach jej dłoni. Ten drobny, ale bardzo intymny gest sprawił, że pożałowała, iż nie może być dla niego miła. - Zabawiałem ich, czekając na ciebie. - Przyniósł się bliżej. - Pięknie pachniesz.

- Bennett, proszę! - Niewiele brakowało, a odepchnęłaby go. W porę przypomniała sobie, że wiele osób ich obserwuje, więc podniosła kieliszek, markując w ten sposób niepotrzebny odruch.

- Hannah, nawet nie wiesz, jaka to przyjemność widzieć cię wytrąconą z równowagi. Tracisz pewność siebie tylko wtedy, kiedy się do ciebie zbliżam.

Przełknęła tę prawdę jak gorzką pigułkę.

- Patrzą na nas - syknęła.

- Więc spotkaj się ze mną później w ogrodzie. Chcę być z tobą sam.

- To byłoby nierozsądne.

- Obawiasz się, że cię uwiodę? - W jego głosie rozbawienie mieszało się z arogancją.

- Nie. Po prostu będę się czuła niezręcznie.

- Doskonale. Zrobię wszystko, żebyś właśnie tak się poczuła. To będzie dla mnie prawdziwa rozkosz. - Jego szept pieścił jej ucho z taką samą czułością, z jaką po chwili usta dotykały jej dłoni. - Chcę się z tobą kochać w jakimś ciemnym, cichym zakątku. Bardzo wolno i łagodnie.

Z trudem opanowała dreszcz podniecenia. Wiedziała, że z nim mogłoby być wspaniale. Gdyby tylko...

W jej życiu nie było miejsca na gdybanie. Ono oznaczało niepewność, ta zaś była śmiertelnie niebezpieczna. Zmobilizowała się i spojrzała mu w oczy. Mówił poważnie! W oczach miał najprawdziwsze pożądanie. A oprócz tego dobroć i szczerść, przez które o mało co się nie rozkleiła. Mogła zachwycać się tym, że chciał jej ofiarować coś prawdziwego, że potrafił dojrzeć w niej piękno, ale nie mogła tego przyjąć.

Był tylko jeden sposób, by natychmiast przerwać to, co nie powinno było nigdy się zdarzyć. Musiała go boleśnie zranić, dotknąć do żywego. I musiała zrobić to teraz.

- Domyślam się, że takie wyznanie powinno mi schlebiać - powiedziała sucho. - Wybacz, ale wiem, że akurat pod tym względem nie jesteś specjalnie wybredny.

Mocno ścisnął jej dłoń, ale zaraz ją puścił. Z wyrazu jego oczu odgadła, że ostrze sięgnęło celu.

- Byłbym wdzięczny za parę słów wyjaśnienia.

- Tu nie ma czego wyjaśniać. Wszystko jest oczywiste. A teraz proszę mnie przepuścić. Za chwilę sprowokujesz scenę.

- Nie po raz pierwszy...

Zaniepokoił ją jego ton. Wiedziała, że jeśli go będzie dłużej prowokować, temperament weźmie górę nad dobrym wychowaniem. Musi być ostrożna. Jeden fałszywy krok, a następnego ranka znajdzie się na okładkach brukowców.

- Chcesz wyjaśnień, proszę bardzo. - Ostrożnie postawiła kieliszek na pobliskim stoliku. - Żeby wzbudzić twoje przelotne zainteresowanie, wystarczy po prostu być kobietą. I jeszcze jedno. Nie będę ukrywała, że akurat w moim przypadku sympatia nie jest odwzajemniona.

- Kłamiesz!

- Nie! - przerwała mu ostro. - Rozumiem, że mężczyźni twojego pokroju trudno przyjąć odmowę. Ale ja jestem prostą osobą i cenię proste wartości. A twoja opinia, jak sam powiedziałeś, wykracza daleko poza granice Cordiny.

Zrobiła pauzę i z drżeniem serca obserwowała grymas, który pojawił się na jego twarzy.

Och, Bennett! Tak mi przykro! Przepraszam!

- Nie przyjechałam tu po to, żeby być dla ciebie rozrywką - szepnęła, odsuwając się od niego.

Szybko wyciągnął rękę, by ją powstrzymać. Zastygła więc w miejscu i czekała, co będzie dalej.

- Nie jesteś dla mnie rozrywką, Hannah.

- Tym bardziej mi przykro. Przepraszam, że cię rozczarowałam. A teraz, jeśli pozwolisz, chciałabym porozmawiać z Eve.

Jeszcze przez chwilę trzymał ją za rękę. Jego gorące palce parzyły jej skórę. Jednak gdy się odezwał, głos miał zimny i obcy.

- Nie będę cię zatrzymywał. Życzę udanego wieczoru.

- Nawzajem, Wasza Wysokość.

Pełna pogardy dla samej siebie szybko wmieszała się w tłum. Oczy piekły ją coraz bardziej, więc wmówiła sobie, że to wszystko przez te ostre światła w lustrach. Nie wiedziała, jak długo krążyła po sali, nim podszedł do niej Reeve.

- Dobry wieczór, lady Hannah. - Ukłonił się uprzejmie, biorąc ją pod ramię. - Czy mogę zaproponować pani kieliszek wina?

- O, tak. Chętnie się napiję.

- Jak się pani podoba kolekcja luster? Prawda, że te trzy są wyjątkowo piękne? - Uśmiechał się uprzejmie, po chwili jednak zapytał, zniżając głos: - Wszystko w porządku?

- Tak. Te lustra są rzeczywiście imponujące. Cały czas rozglądał się dyskretnie po sali, a kiedy był pewien, że nikt nie usłyszy, powiedział:

- Zdawało mi się, że miała pani jakieś kłopoty z Bennettem...

- Jest uparty. - Wzruszyła ramionami, zła na siebie, że nadal jest roztrzęsiona.

- Hannah. - Ton Reeve'a był wyjątkowo łagodny. - Kiedy pierwszy raz nabrało mi się wody w uszy, pracowałem z pani ojcem w ISS. Dlatego pozwalam sobie powiedzieć, że poniekąd czuję się tak, jakbyśmy byli rodziną. Proszę mi więc szczerze powiedzieć, czy na pewno wszystko jest w porządku?

- Będzie w porządku. - Zaczerpnęła powietrza i zmusiła się do uśmiechu. - Przed chwilą zrobiłam Bennettowi przykrość - wyjaśniła. - Nie było to dla mnie miłe.

Reeve dotknął jej dłoni, dodając tym gestem otuchy.

- Przecież pani wie, że właściwie nie sposób wykonać zadania, nie krzywdząc przy tym ludzi.

- Tak, wiem. Cel uświęca środki. Proszę się nie martwić, poradzę sobie.

- Nie wątpię.

- Bardzo by mi pan pomógł, gdyby zajął pan czymś Bennetta przez tydzień albo dwa. Zbliża się punkt kulminacyjny, więc nie chciałabym, żeby...

- Panią rozpraszał.

- Nie. Żeby mi przeszkadzał - sprostowała. Zerknęła w jedno z luster i zobaczyła w nim Bennetta rozmawiającego z Chantel w przeciwległym rogu sali. - Być może pańska pomoc nie będzie potrzebna. Chyba sama załatwiłam tę sprawę.

Gnał przed siebie co koń wyskoczy, ale wciąż nie czuł ulgi. Klnąc pod nosem, skręcił w wąską dróżkę i jeszcze mocniej zaciął konia. Jazda nie sprawiała mu żadnej przyjemności, nie dawała przyjemnego podniecenia. Czuł w sobie pustkę. Albo furję.

Tęsknił za Hannah tak bardzo, że aż bolało. Tysiące razy posyłał ją do wszystkich diabłów, jednak ból nie mijał. Odkąd go odrzuciła, pragnął jej jeszcze mocniej.

Wmawiał sobie, że nie jest warta, by na nią spojrzeć. Oskarżał ją o oziębłość i brak serca. Jednak wyobraźnia ciągle podsuwała mu obraz roześmianej, długowłosej kobiety zbierającej muszle na słonecznej plaży.

Powtarzał sobie, że jest twarda jak kamień i pozbawiona uczuć. Ale wtedy wracało wspomnienie jej cudownych ust. Przeklinał ją więc, i dalej gnał przed siebie.

Na niebie gromadziły się ciężkie chmury, grożąc gwałtowną ulewą. Nie obchodziło go to. Pierwszy raz od wielu dni udało mu się uwolnić od obowiązków i znaleźć czas, by zabrać Drakulę w teren. Wiatr coraz mocniej świstał mu w uszach, słońce schowało się za ołowianą zasłoną.

Bennett pragnął burzy, piorunów i nawałnicy. Ponad wszystko jednak pragnął Hannah.

Idiota! Tylko głupiec mógł marzyć o kobiecie, która w najmniejszym stopniu nie odwzajemniała jego uczuć. Tylko szaleniec mógł ludzić się, że zdobędzie to, czego tak kategorycznie mu odmówiono. Takie myśli towarzyszyły mu bezustannie, ale nie powstrzymywały go przed snuciem śmiałych planów. Wyobrażał sobie, że wkrótce znajdzie sposób, by pokazać jej, że... Właściwie co? - pytał samego siebie. Że z nią to nie to samo co z innymi?

Która kobieta chciałaby w to uwierzyć?

Całe tuziny, pomyślał i roześmiał się gorzko. Wiele razy miał okazję przekonać się, że kobiety są wyjątkowo łatwowierne. Jak na ironię ta, wobec której chciał być szczery, nie zamierzała w ogóle go słuchać.

I nic dziwnego. W końcu zachował się jak ostatni krety! Z wściekłością szarpnął wodze i zatrzymał konia na skraju urwiska. Za bardzo naciskał. Działał zbyt szybko i zbyt natarczywie. Na swoją obronę miał tylko to, że stracił głowę, bo nigdy dotąd nie spotkał się z takim oporem.

Kobiety same do niego lgnęły. Miał dość zdrowego rozsądku, by wiedzieć, że jego tytuły i pozycja działają na nie jak magnes. Prawdą było również to, że lubiły go, bo on je lubił. Kochał ich łagodność, poczucie humoru, a rozumiał słabostki. Ciągnęła się za nim opinia kobieciarza, choć w rzeczywistości wcale nie miał tylu romansów, ile mu przypisywano. Miał ich natomiast na tyle dużo, by rozumieć, że do miłości nie można nikogo zmusić.

Hannah była młoda, niedoświadczona, trochę niedzisiejsza. Tytuł „lady”, który nosiła przed nazwiskiem, w jej przypadku nie oznaczał wyłącznie wysokiego urodzenia. Był

również symbolem stylu życia i wyznawanych wartości. Bennett wątpił, czy kiedykolwiek była w dłuższym związku. Podejrzewał, że nie spotkała mężczyzny, dla którego zechciałaby porzucić książki.

Nerwowo przeczesał włosy. Wiedział, z jaką kobietą ma do czynienia, i co zrobić? Próbował banalnie uwieść ją na przyjęciu. Przecież mógł się domyślić, że osoba z jej wrażliwością poczuje się obrażona niedwuznaczną propozycją.

Nawet nie próbował wytłumaczyć jej, co się z nim działo. Wystarczyła chwila rozmowy, spojrzenie w oczy i ogarniało go podniecenie, jakiego nie potrafiły w nim obudzić najbardziej egzotyczne lub ekstrawaganckie piękności. Tym razem jego uczucie było głębsze i bogatsze. A mimo to nie powiedział, że właśnie w niej znalazł miłość, w której istnienie dotychczas wątpił.

Nie powiedział jej tego wszystkiego, i pewnie już nie powie. Swoim bezmyślnym zachowaniem nie tylko jej ubliżył, ale również zraził ją do siebie. A może nie wszystko jest stracone? Może ma szansę zacząć wszystko od nowa?

Zawrócił Drakulę w chwili, gdy spadły pierwsze krople deszczu. Nim dojechali do domu, burza rozszalała się na dobre.

Mniej więcej godzinę później, przebrany w suche ubranie, na które kapłała woda z mokrych włosów, zapukał do dziecięcego pokoju. Opiekunka uchyliła drzwi, ale nie wpuściła go do środka.

- Proszę wybaczyć, jaśnie panie, ale księżniczka Marissa śpi. Jej Wysokość również się położyła.

- Szukam lady Hannah. - Próbował wsunąć głowę, ale dziewczyna nie cofnęła się nawet o krok.

- Nie ma jej tutaj. Zdaje się, że poszła do muzeum.

- Ach, tak... - Przez chwilę rozważał coś w myślach. - Doskonale. Dziękuję, Bernadette.

Muzeum Sztuki mogło śmiało uchodzić za symbol całego kraju. Małe i urocze, z marmurowymi schodami i rzeźbionymi kolumnami wyglądało jak miniaturowy pałac. Wszystkie sale zbiegały się pod witrażową kopułą okrągłego holu niczym szprychy w piaście koła. Na parterze, prócz ekspozycji, znajdowała się niedroga restauracja otoczona ogrodem.

Hannah przysłała do muzeum na długo przed umówioną godziną. Chciała w spokoju zapoznać się z rozkładem budynku i systemem zabezpieczeń. Zauważyła, że stojący w strategicznych miejscach umundurowani strażnicy bez wyraźnej potrzeby nie niepokoiili nikogo i nie sprawdzali toreb.

Popołudnie było deszczowe, więc sale muzealne przyciągnęły wielu zwiedzających. Patrząc na wielojęzyczny, barwny tłum Hannah pomyślała sobie, że nie mogła wybrać lepszego miejsca na pierwsze spotkanie ze swym łącznikiem.

O oznaczonej godzinie bez pośpiechu podeszła do morskiego pejzażu Moneta. Dłuższą chwilę oglądała obraz, po czym zaczęła przesuwac się ku następnym. Czuła, że jest obserwowana. Jeśli jej rozmówca jest profesjonalistą, na pewno zrobił to samo co ona - przyszedł wcześniej, by obejrzeć budynek. I ją.

Gdy niespodziewanie jej wzrok padł na sporą akwarelę, na moment wstrzymała oddech. Jej myśli od razu pobiegły do Bennetta i tego, co wydarzyło się w pokoju muzycznym.

Na mosiężnej tabliczce wyryto oficjalne tytuły autorki. Księżna Louisa de Cordina. Ona sama zaś zostawiła w rogu płótna mały autograf. Louisa Bisset.

Nazwała swój obraz bardzo prosto. „Morze”. Rzeczywiście ono było głównym bohaterem pejzażu, jednak prababka Bennetta musiała ustawić sztalugi w miejscu, którego Hannah jeszcze nie znała. Na pierwszym planie widać było poszarpane skały stopniowo przechodzące w łagodniejsze zbocze. Dopiero za rumowiskiem kamieni biała wąska nitka plaży, odcinająca się ostro od szafirowej wody. Niebo było pogodne, ale na horyzoncie zaczynały zbierać się ciężkie chmury. W powietrzu, zamglonym wodną parą z rozbijających się fal, czuć było wzbierający niepokój. Hannah musiała przyznać, że malarce udało się oddać potęgę i grozę żywiołu.

I pomyśleć, że takie dobre płótno przeleżało całe wieki w zapomnianym kufrze, aż Bennett je znalazł. Ledwie powstrzymała się, by nie dotknąć złoconej ramy, której dotykały jego dłonie. Kto wie, pomyślała, czy Bennett nie odnalazł w tej scenie części samego siebie?

- Interesujące ujęcie tematu, prawda? Mężczyzna, który stanął za nią, mówił po francusku z lekkim akcentem. Kontakt został nawiązany.

- Tak. Malarka pokazała wielki talent. Mówiąc to, Hannah upuściła muzealną broszurę.

Gdy się po nią schylała, uważnie rozejrzała się wokół. Obok nich nie było nikogo, mogła więc mówić swobodnie.

- Mam informacje.

- Proszę mi je przekazać.

Odwróciła się do niego z takim uśmiechem, jakby rozmawiali na temat obrazu. Mężczyzna był śniady, niezbyt wysoki, nie miał żadnych blizn. Wyglądał na pięćdziesiąt lat,

ale Hannah wiedziała, że mógł być dużo młodszy. W tym fachu ludzie starzeją się wyjątkowo szybko.

- Charakter moich informacji wymaga, żebym przekazała je bezpośrednio człowiekowi, który mi płaci.

- To wbrew zasadom organizacji.

- Wiem. Przypominam jednak o tym, co mogło się stać pół roku temu. Wtedy wszyscy działali zgodnie z regułami. Ja je złamałam i dzięki temu zaoszczędziłam organizacji, nazwijmy to, wstydu. Nie przypominam sobie, żeby ktoś miał potem do mnie pretensje.

- *Mademoiselle*, ja tylko przekazuję wiadomości.

- Wobec tego proszę słuchać. - Zrobiła pauzę i przeszła do kolejnego obrazu. Przez chwilę oglądała go w milczeniu, po czym podniosła rękę, jakby chciała pokazać swemu rozmówcy interesujące połączenie barw. - Mogę swobodnie poruszać się po całym pałacu. Nie przeszukiwano ani mnie, ani moich rzeczy. Dysponuję schematem systemu bezpieczeństwa i planem posterunków pałacowej straży. To samo odnosi się do Centrum Sztuki.

- Doskonale. To się na pewno przyda.

- Dlatego przekażę je osobiście człowiekowi, który mi płaci.

- Jest pani opłacana przez organizację.

- Na której czele stoi ten człowiek. Takie są moje zasady, *monsieur*. - Twarde spojrzenie, które mu posłała, szło w parze z chłodnym uśmiechem. - Nie jestem głupia. Doskonale rozumiem, że organizacja ma swoje cele, podobnie jak ja mam swoje. Byłoby mi niezmiernie miło, gdyby udało się nam je połączyć. Ku obopólnej satysfakcji. Spotkam się tylko i wyłącznie z osobą, która stoi na samym szczycie. Proszę dopilnować, żebym nie musiała zbyt długo czekać.

- Ci, którzy pną się na szczyt, mogą łatwo spaść w przepaść. Wystarczy jeden fałszywy krok, i...

- Ja nie robię fałszywych kroków. Proszę przekazać moją... prośbę. Moja obecna wiedza jest wiele warta. To, czego dowiem się niebawem, będzie bezcenne. Oto próbka moich możliwości... - Dyskretnie upuściła broszurę, lecz tym razem jej nie podniosła. - *Bonjour, monsieur*.

Skinęła lekko głową i ruszyła w stronę wyjścia. Była w pełni świadoma, że jeśli jej żądanie zostanie spełnione, osiągnie wreszcie cel. Jeśli zaś nie, najprawdopodobniej zostanie zabita. Wzięła kilka głębokich, spokojnych oddechów. Kiedy już odzyskiwała panowanie nad sobą, naprzeciw niej jak spod ziemi wyrósł Bennett.

Na moment jej serce przestało bić. Za to mózg pracował na zdwojonych obrotach, podsuwając mnóstwo dramatycznych pytań. Wrobili ją? Posłużyli się nią, żeby wywabić Bennetta? A może Deboque uderzył gdzie indziej, a on przyszedł, żeby jej o tym powiedzieć?

W ułamku sekundy oddaliła te domysły, uznając je za niedorzeczne. To, że spotkali się w muzeum, jest czystym zbiegiem okoliczności. I tak ma szczęście, że Bennett zjawił się w chwili, gdy najważniejsza sprawa została załatwiona.

- Mam nadzieję, nie masz nic przeciwko towarzystwu? - odezwał się pierwszy.

- Oczywiście, że nie!

Nie była pewna, czy łącznik był jeszcze w sali, ale na wszelki wypadek postanowiła się nie odwracać. Uśmiechnęła się niepewnie, gdyż bodaj pierwszy raz w życiu nie wiedziała, jak się zachować. Od kilku dni oboje starannie unikali swego towarzystwa, więc sytuacja była niezręczna.

- Muzeum jest jeszcze piękniejsze, niż myślałam.

- Obejrzałaś już wszystko? Jeśli nie, chętnie cię oprowadzę. - Nie pytając o pozwolenie, wziął ją za rękę. Jak przypuszczała, ten przyjacielski gest na pewno nie uszedł uwagi wysłannika Deboque'a. Ten na pewno powie o tym, co widział, a ona stanie się bardziej wiarygodna. Powinna się więc cieszyć, ale zamiast radości czuła gorycz. Na myśl, że wykorzystuje Bennetta do rozegrania swojej gry, chciało jej się płakać.

- Mogłabym zwiedzać cały dzień, ale szczerze mówiąc, jestem już trochę zmęczona...

- W tej chwili kątem oka dojrzała swojego rozmówcę, który z broszurą w dłoni opuszczał salę. Na moment zatrzymał się blisko nich i Hannah mogłaby przysiąc, że słuchał, o czym rozmawiają. Na szczęście Bennett był tak nią zaabsorbowany, że nie zwrócił na mężczyznę uwagi.

- Skoro jesteś zmęczona - mówił - zapraszam cię na kawę. Możemy wypić ją u mnie w biurze.

- Bardzo chętnie. - Pozwoliła mu wziąć się za rękę i poprowadzić do windy, wiedząc, że informacja o jej zażyłości z księciem na pewno dotrze do Deboque'a.

Gabinet, w którym pracował Bennett, urządzone był z wielkim smakiem. Dominowały w nim szarości i rozmyte błękity, dla których tłem była kremowa biel ścian. Na szklanych półkach stała kolekcja drobnych przedmiotów. Wśród prawdziwych skarbów, takich jak antyczna chińska waza czy porcelanowa figurka konia, Hannah spostrzegła kilka ładnych muszelek i filizankę, która wyglądała tak, jakby kupiono ją na pchlim targu.

Wygodna miękka kanapa i fotele zachęcały do odpoczynku i rozmowy. Wprawdzie pod oknem stało poważne, zabytkowe biurko, jednak ogólna atmosfera wnętrza sprzyjała



raczej relaksowi niż ciężkiej pracy. Hannah zastanawiała się, czy Bennett przychodzi tu, gdy chce uciec od pałacu i oficjalnych obowiązków.

- Usiądź, proszę.

Posłuchała go, ale na wszelki wypadek zamiast kanapy wybrała krzesło.

- Zawsze lubiłam Luwr, ale muszę przyznać, że wolę tutejsze muzeum. Jest o wiele mniej komercyjne. Ma w sobie coś prywatnego.

- Członkowie rady nadzorczej oraz Izby Handlowej byłiby zachwyceni - rzekł z uśmiechem. Stał z rękami w kieszeniach, nie bardzo wiedząc, jak przejść do sedna sprawy. - Szkoda, że nie powiedziałaś mi, że dziś się tu wybierasz. Z przyjemnością byłbym twoim przewodnikiem.

- Nie chciałam robić ci kłopotu. Poza tym lubię czasem tak po prostu sobie pochodzić i spokojnie pooglądać.

Wyczuwała jego zdenerwowanie. To odkrycie sprawiłoby jej przyjemność, gdyby nie fakt, że ona również czuła się spięta. Tłumaczyła to spotkaniem z człowiekiem Deboque'a, lecz wiedziała, że to nieprawda. Siebie samej nie musi okłamywać. Robi jej się nieswojo tylko wtedy, gdy obok jest Bennett.

- Często tu pracujesz? - zapytała.

- Od czasu do czasu - odparł krótko.

Nie miał ochoty dyskutować o swoich obowiązkach, ale nadal nie wiedział, jak zacząć właściwą rozmowę. On, który nigdy nie miał problemów w kontaktach z kobietami. Chciało mu się z tego śmiać. Zaraz jednak westchnął ciężko. Widocznie odkąd poznał Hannah, nie jest tym samym człowiekiem.

- Posłuchaj... - zaczął niepewnie, ale właśnie wtedy rozległo się pukanie do drzwi i weszła sekretarka z tacą. Podziękował jej i powiedział, że sam się obsłuży, więc natychmiast wycofała się do recepcji. Potem zajęci byli kawą, wymianą informacji o tym, kto z cukrem, a kto bez. Jak dwoje nieznajomych podczas randki w ciemno, pomyślała, czując, że z każdą chwilą czuje się bardziej skrepowana.

- Czy jeśli obiecuję, że będę grzeczny, usiądziesz obok mnie na kanapie?

Zadał to pytanie pozornie lekkim tonem, ale ona i tak wyczuła, że jest bardzo spięty.

- Oczywiście, że usiądę.

- Hannah, chciałbym cię przeprosić za moje zachowanie na przyjęciu. Miałaś prawo poczuć się obrażona.

- Nie musisz mnie przeproszać. - Odstawiła filiżankę zbyt gwałtownie. Chciała wstać, ale ją powstrzymał. - Nie oczekuję przeprosin - dodała, spuszczaając wzrok. Po chwili, gdy

była pewna, że ma nad sobą kontrolę, podniosła głowę. - Tak naprawdę nie poczułam się obrażona. Raczej...

- Przestraszyłaś się? Przepraszam, ale i tak wiem, że to, co zrobiłem, jest niewybaczalne.

- Nie... To znaczy tak... - Nie wiedziała, która odpowiedź jest bliższa prawdy. Ostatecznie dała za wygraną. - Prawda jest taka, że nikt przed tobą nie wprowadził mnie w większe zakłopotanie.

- Dziękuję.

- To nie był komplement, tylko skarga!

- Hannah, dzięki Bogu, znowu jesteś sobą. - Śmiejąc się, podniósł jej dłonie do ust. Instynktownie napięła mięśnie, więc natychmiast ją puścił, ale nie przestawał się uśmiechać. - A więc przyjaźń?

- Chciałabym...

- To znaczy przyjaźń! - Zadowolony, że zdołał przełamać pierwsze lody, oparł się wygodnie o poduszki. Wiedział, że musi być bardzo ostrożny, nim zdecyduje się na następny krok. - Co ci się najbardziej podobało w muzeum?

Nie ufała mu. Była wytrawnym graczem i potrafiła w mgnieniu oka rozpoznać blef.

- Ogólnie podobała mi się atmosfera tego miejsca. Jeśli zaś chodzi o eksponaty, to zrobiła na mnie wrażenie akwarela twojej prababki.

- To jeden z moich ulubionych obrazów. - Uważał, by jej nawet nie musnąć palcem. - Kusiło mnie, żeby go zatrzymać i powiesić we własnym salonie, ale... - wzruszył ramionami - doszedłem do wniosku, że to by było nie fair.

- A ty jesteś fair... - szepnęła. Nie zdołała w porę odrzucić gorzkiej myśli, że posłużyła się nim jak narzędziem.

- Staram się - odparł. W głębi duszy czuł, że aby ją zdobyć, gotów był grać nieczysto.

- Hannah, jeździsz konno?

- Tak.

- Więc wybierz się ze mną na przejażdżkę jutro rano! Uprzedzam, że musielibyśmy wyruszyć bardzo wcześnie. Zgódź się! Tak dawno nie jeździłem w dobrym towarzystwie.

- Nie wiem, czy mogę. Eve...

- Będzie zajęta z Marissa do dziesiątej - wtrącił szybko.

Och, miała taką ochotę pojeździć! Wyrwać dla siebie godzinę wolności, poruszać się, pobyc na powietrzu!

- Obiecałam, że pojedę z Eve do Centrum Sztuki. O jedenastej ma tam spotkanie.

- Jeśli ruszymy skoro świt, na pewno wrócimy na czas - przekonywał. Nie chciał stracić okazji, na którą czekał tak długo. Widział, że Hannah się waha, więc postanowił kuć żelazo póki gorące: - Daj się namówić! Przysięgam, Cordina jest najpiękniejsza właśnie o poranku.

- A więc dobrze. - Podjęła tę decyzję pod wpływem impulsu, ale szybko dała sobie rozgrzeszenie. Żyje w ciągłym stresie, więc potrzebuje odpoczynku. Godzina konnej jazdy na pewno dobrze jej zrobi.

Czuła, że już za kilka dni stanie twarzą w twarz z Debokiem. Albo zginie.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie okłamał jej. Hannah od dawna uważała, że Cordina jest wyjątkowo malownicza, jednak to, co zobaczyła wczesnym rankiem, przeszło jej najśmielsze oczekiwania. W różowym świetle wschodzącego słońca ta cudowna kraina wyglądała jak młoda dziewczyna szykująca się na pierwszy bal. Barwy były świeże i soczyste, powietrze rześkie i wonne, a niebo lazuruowe.

Siedząc na grzbiecie swego konia, popatrywała na Drakulę z mieszaniną zazdrości i obawy. W stajniach jej ojca hodowano jedne z najlepszych wierzchowców na całych Wyspach Brytyjskich, jednak żaden z nich nie mógł się równać z karym ogierem Bennetta. Wspaniałe zwierzę musiało być piekielnie szybkie i narowiste. Tego zaś ranka było wyraźnie nie w humorze.

- Taki koń na pewno ma swój rozum - stwierdziła, kiwając w zamyśleniu głową.

- Oczywiście! - Bennett zwinie wskoczył na siodło i pewną ręką uspokoił wierzchowca, który nerwowo przestępował z nogi na nogę. Widocznie uznał, że Hannah nie czuje się zbyt pewnie na końskim grzbiecie, bo chcąc jej dodać otuchy, zapewnił, że jej koń to prawdziwy gentleman. - Gabriella często go dosiada, a moja siostra nie lubi ryzykować. Hannah nieznacznie uniosła brwi.

- Dziękuję, że wybrałaś dla mnie damskiego wierzchowca. Od razu mi z tym lepiej.

Zdawało mu się, że dosłyszał w jej głosie nutkę sarkazmu, gdy jednak na nią spojrział, nie zobaczył nic poza zwykłym uprzejmym uśmiechem.

- Pomyślałem, że moglibyśmy jechać nad morze.

- Bardzo chętnie.

Ruszyli naprzód wolnym kłusem i nim zdążyli wyjechać poza teren stajni, dwukrotnie zapytał ją, czy jest jej wygodnie.

- O, tak. Doskonale - skłamała. Przecież nie może mu powiedzieć, że takie tempo ją nuży i że ma ochotę na ostry galop. - Dziękuję, że mnie ze sobą zabrałaś. Słyszałam, że poranna przejażdżka to dla ciebie świętość.

Przyjrzał jej się z uśmiechem, zadowolony, że tak dobrze trzyma się w siodle.

- To prawda - powiedział. - Czasem dopiero po godzinie jazdy konnej nadaję się do kontaktów ze światem. Ale to nie znaczy, że od czasu do czasu nie mam ochoty na towarzystwo.

Te słowa nie do końca były prawdą. Odkąd Deboque wyszedł z więzienia, wolność Bennetta została poważnie ograniczona. Niemal nie mógł zrobić kroku, by nie natknąć się na ochroniarza. A tymczasem nic się nie działo. Niecierpliwie czekał, aż Deboque uderzy, ten jednak zwlekał. Oczy Bennetta pociemniały od tłumionego wzburzenia. Marzył, by móc osobiście i ostatecznie policzyć się ze starym wrogiem Bissetów. Myśląc o tym, bezwiednie dotknął blizny pod łopatką. Pragnął zemsty.

Widząc wyraz jego oczu, Hannah poczuła się nieswojo. Człowiek, na którego patrzyła, nie był tym beztruskim księciem, o którym czytała w raportach. Drakula też musiał wyczuć mroczny nastrój swego pana, bo niespodziewanie zarżał i rzucił nerwowo głową. Nieznaczny, wprawny ruch ręką wystarczył, by zwierzę opanowało się i posłusznie biegło dalej. Obserwując tę scenę, Hannah pomyślała, że w Ben - netcie, podobnie jak w niej samej, drzemią dwie natury. W zależności od sytuacji potrafił być łagodny albo surowy, uprzejmy lub arogancki.

- Czy coś się stało? - zapytała półgłosem. Odwrócił się, ale wzrok wciąż miał nieobecny.

I groźny. Zaraz jednak rozchmurzył się i nawet uśmiechnął. Obiecał sobie, że tego dnia nie będzie myślał o Deboque'u. Miał już dość. Drażniło go, że jego życie i życie jego najbliższych upływa w lęku z powodu gróźb żadnego krwi szaleńca.

- Nic się nie stało, Hannah. Opowiedz mi lepiej, co porabiasz w Anglii. Gdzie mieszkasz? Jak spędzasz czas?

- Cóż, wiodę spokojne i dość monotonne życie w Londynie. - To, co mówiła, było w pewnym stopniu prawdą. Jednak natychmiast pojawiła się dręcząca myśl, że znowu go okłamuje. - Większość pracy wykonuję w domu, co jest bardzo wygodne, bo jednocześnie mogę pomóc ojcu w domowych obowiązkach.

- Twoja praca.... - powtórzył. - Piszesz eseje?

- Tak - mruknęła niechętnie, zła, że musi brnąć coraz dalej. - Mam nadzieję, że za rok, góra dwa będą gotowe do druku.

- Chciałbym je przeczytać.

Spojrzała na niego zaskoczona i odruchowo napięła mięśnie. Czowała lęk. I rozumiała jego źródło. Oczywiście, gdyby Bennett należał, może pokazać mu całe mnóstwo literackich szkiców. Jej lęk nie miał jednak nic wspólnego z obawą, że zostanie zdemaskowana. Bała się, że jeśli dalej będzie musiała go okłamywać, to oszaleje.

- Chętnie pokażę ci moje eseje, chociaż wątpię, żeby cię zainteresowały.

- Mylisz się. Interesuje mnie wszystko, co ciebie dotyczy.

Spuściła wzrok. Nie z powodu nieśmiałości, o jaką ją posądzał, ale wstydu.

- Pięknie tu - westchnęła po chwili. - Często przyjeżdżasz w to miejsce?

- Nie, dawno już tu nie byłem.

Nie da się łatwo podejść, pomyślał, czując rosnącą frustrację. Szybko przywołał się do porządku. Musiał być cierpliwy. I pamiętać, że zanosi się na długie łowy.

Gdy dotarli na szczyt wzniesienia, zatrzymał konia. Hannah popatrzyła na Drakulę, w którym aż kipiała energia. Zdawało jej się, że wyczuwa taką samą niecierpliwość u Bennetta.

- Z daleka wszystko wygląda inaczej - westchnął.

Idąc za jego wzrokiem, odwróciła się w stronę pałacu. Widziany z tego miejsca wyglądał jak piękna zabawka, właśnie wyjęta spod choinki. W swej wspaniałości był wręcz nierealny.

- Jest ci tam aż tak źle, że musisz uciekać? - zapytała łagodnie.

- Czasami. - Nie zaskakiwało go już, że umiała bezbłędnie wczuć się w jego nastrój. - Miałem swój czas w Oksfordzie i na morzu, jednak strasznie tęskniłem za Cordiną. Od sześciu miesięcy nie ruszam się stąd, ale i tak nie zaznałem spokoju. Ciągle czekam, aż coś się wydarzy.

Obydwoje pomyśleli o Deboque'u.

- A ja w Anglii - westchnęła z nostalgią - zwłaszcza o tej porze roku, narzekam na wilgoć i chłód. Patrzę na zalane deszczem szyby i zdaje mi się, że oddałabym duszę za parę ciepłych, słonecznych dni. Jednak gdy jestem daleko, zaczyna mi brakować londyńskiej mgły, deszczu, zapachu miasta.

- Nie miałem pojęcia, że tak bardzo tęsknisz za Anglią.

- Każdy tęskni za domem. Tam zostawiamy serce. - W jej przypadku było to coś więcej. Wszystko, co do tej pory robiła, robiła w pierwszej kolejności dla Anglii.

- Czasem zastanawiam się, czy Reeve'owi było trudno porzucić Stany. Wydaje mi się, że tak, ale w końcu jakoś przywykł do nowych warunków - mówił Bennett, gdy ruszyli w dalszą drogę. - Eve ma jeszcze gorzej. Jej wolno wrócić do Ameryki tylko na parę tygodni w roku. A przecież tam ma całą rodzinę.

- Jedne miłości są silniejsze niż inne. Niektóre potrzeby ważniejsze - odparła. Sama zaczynała to rozumieć. - Eve będzie szczęśliwa wszędzie tam, gdzie będzie z nią Aleksander. Pewnie tak samo jest w przypadku twojego szwagra.

Z pewnością miała rację. Bennett zastanawiał się nawet, czy jego wewnętrzny niepokój nie wynika z braku głębokiej uczuciowej więzi. Patrząc na szczęśliwe związki

swego rodzeństwa, czasami czuł gorycz, że takie uczucia są dla niego nieosiągalne. Tak było, dopóki nie spotkał Hannah.

- Czy dla miłości porzuciłabyś Anglię?

W chwili gdy padło to pytanie, zza skał wyłoniło się morze. Hannah przylgnęła do niego wzrokiem, jednak w wyobraźni ujrzała uroczne zakola Tamizy. Czy potrafiłaby porzucić swój kraj? Całe jej życie, cała praca związane była z Anglią. Nawet obecne zadanie w pewien sposób miało ochronić jej ojczyznę przed skutkami przestępczej działalności Deboque'a.

- Nie wiem - przyznała szczerze. - Przecież sam odczułeś, jak silne bywają niektóre więzi.

Przez jakiś czas posuwali się naprzód w milczeniu. Krajobraz stawał się coraz surowszy, drzew było mniej, te zaś, które przetrwały na twardej skale, były pochylone i powykręcane przez morski wiatr. Ścieżka zrobiła się wąska i wyboista, więc Bennett powstrzymał konia i ustawił się obok Hannah, odgradzając ją w ten sposób od krawędzi drogi.

Przyjęła ten wyraz troski lekkim grymasem warg. Z jednej strony było jej miło, że tak się nią opiekował. Z drugiej zaś... Cóż, przecież Bennett nie może wiedzieć, że ona w razie potrzeby umie galopować na oklep z jeszcze większej stromizny.

Zatrzymali się na wysuniętej półce skalnej, z której roztaczał się wspaniały widok na morze i klify wybrzeża. Na nie osłoniętej niczym przestrzeni hulał wiatr, wyciągając z koka Hannah pojedyncze loki, którymi bawił się jak serpentyną. Duża biała mewa szybowała w powietrzu z szeroko rozpostartymi skrzydłami, gdy tymczasem jej towarzyszka mknęła tuż nad powierzchnią wody, wypatrując pożywienia.

- Cudowne miejsce - westchnęła Hannah z rozmarzeniem.

W jej oczach znowu wyczytał żądzę przygód, władzy, ryzyka. To czyniło ją jeszcze piękniejszą, bardziej podniecającą i tajemniczą. Gorąco pragnął wziąć ją za rękę, ale powstrzymał się, gdyż wiedział, że wystarczy jeden nieostrożny ruch, a nastrój pryśnie.

- Już dawno chciałem pokazać ci to miejsce, ale trochę się obawiałem, że przestraszysz się wysokości.

- Och, nie! Nic podobnego! Jestem zachwycona. - Jej koń był trochę spłoszony, ale uspokoiła go dotykiem dłoni. - Na świecie jest wiele pięknych miejsc, ale tylko niektóre są wyjątkowe. Jak to. Wiesz, mogłabym przysiąc, że... - Olśnienie przyszło tak nagle, że aż zamilkła. - To jest ten pejzaż z akwareli, prawda? - zapytała po chwili.

- Tak.

Nie sądził, że jej reakcja tak bardzo go ucieszy. Podobnie jak nie wiedział, co począć z nagłą świadomością, że ją pokochał. Całkowicie. Niezmiennie. Rozumiał tylko, że właśnie przeżywa najważniejszą chwilę w życiu.

Patrzył na nią i czuł, że ogarnia go wewnętrzny spokój. Widział jej ładny, choć ostry profil, starannie upięte włosy, prosty strój do konnej jazdy. Nie zrobiła absolutnie nic dla podkreślenia urody, jednak dla niego i tak była najpiękniejszą z kobiet. Po raz pierwszy w życiu czuł takie uniesienie. I, o dziwo, nie znajdował słów, by je wyrazić.

- Hannah... - Wyciągnął do niej rękę. I czekał. Odwróciła wzrok od morza i spojrzała mu w oczy.

Nigdy dotąd nie spotkała wspanialszego mężczyzny. Dla niej był stokroć piękniejszy niż ten pejzaż, i sto razy bardziej niebezpieczny niż ostre skały. Gdy siedział wyprostowany w siodle, miał w sobie coś z żołnierza. I z poety.

Jej serce zdradziło ją i wyrwało się do niego, nim zdążyła przekonać samą siebie, że ta miłość nie jest dla niej. To doznanie walczyło jeszcze z poczuciem obowiązku, ale nie mogła już pozostać obojętna. Bez wahania podała mu dłoń.

- Wiem, za kogo mnie masz... - zaczął, ale powstrzymała go ruchem głowy.

- Bennett...

- Zaczekaj! - Zacisnął dłoń wokół jej palców. - Wiem, co o mnie myślisz, i niestety nie mogę powiedzieć, że się mylisz. Mógłbym kłamać, obiecywać, że się zmienię, ale nie chcę.

Kupił ją tym. Nim zdążyła temu zapobiec, ogarnęła ją czułość. Tylko ten jeden raz, obiecała sobie. Tylko ten jeden magiczny raz.

- Ja wcale nie chcę, żebyś się zmieniał.

- A ja naprawdę chciałem powiedzieć to, co powiedziałem ci na przyjęciu. Tyle że zrobiłem to w niedopuszczalny sposób. Pragnę cię, Hannah. - Odwrócił głowę i idąc za jej wzrokiem, dotarł do linii horyzontu. - I rozumiem, że nie będzie ci łatwo uwierzyć, że nigdy dotąd nie mówiłem tego szczerze żadnej kobiecie.

Wierzyła mu. Ta wiara była niezwykła, porywająca, zakazana, ale ponad wszelką wątpliwość wierzyła mu. Przez jedną cudowną chwilę pozwoliła sobie mieć nadzieję. Zaraz jednak ją porzuciła. Przypomniała sobie, kim jest. Obowiązki ponad wszystko. Zawsze.

- A ty uwierz mi - poprosiła - że gdybym mogła dać ci to, czego pragniesz, zrobiłabym to bez chwili wahania. Niestety, nie jest to możliwe.

- Myślałem, że wszystko jest możliwe, jeśli się tego bardzo chce.

- Nie. Niektóre rzeczy są po prostu nieosiągalne. - Ostatni raz popatrzyła na morze i zawróciła konia. - Wracajmy.



Nie pozwolił jej odjechać. Mocno chwycił ją za ręce i przysunął się tak blisko, że ich wierzchowce zetknęły się bokami.

- Powiedz mi, co czujesz! - zażądał w przypiływie niespodziewanej frustracji. - Daj mi chociaż tyle, do cholery!

- Czuję żal.

Puścił jej dłonie, ale nie cofnął konia. Objął ją za szyję i pochylił się w jej stronę.

- Jeszcze raz chcę usłyszeć, co czujesz... Pocałunek był lekki, łagodny, uwodzicielski.

W pierwszym odruchu zacisnęła palce na wodzach, ale po chwili rozluźniła mięśnie. To nie tak miało być, pomyślała. Jedna magiczna chwila i przestaje racjonalnie myśleć.

- Bennett! - szepnęła miękko, ale próbowała się od niego odsunąć. Znow ją przytrzymał.

- Jeszcze chwilę...

Potrzebował jej. Gotów był zebrać o najmniejszą odrobinę uczucia. On, który nigdy dotąd nie musiał prosić kobiet o nic. To, czego chciał od Hannah, nie było tylko namiętnością. Pragnął jej serca z desperacją, jakiej dotąd nie zaznał.

I ta desperacja sprawiła, że nie posunął się dalej. Kosztowało go to bardzo wiele, ale znalazł w sobie dość siły, by przerwać pocałunek. Jeśli chce zdobyć jej serce, musi być cierpliwy. Jego Hannah jest przecież taka delikatna, wrażliwa i niewinna.

- Nie ma czego żałować - szepnął, uśmiechając się ciepło. - Obiecuję, że cię nie skrzywdzę. I nie zrobię niczego wbrew twojej woli. Zaufaj mi. W tej chwili nie chcę niczego więcej.

Miała ochotę płakać. Dawał jej czułość i troskę, na które w ogóle nie zasługiwała. Ona zaś mogła mu dać w zamian jedynie kłamstwa. Pocieszała się, że to dla jego dobra, że kłamiąc, ratuje mu życie. Niestety, ta świadomość nie przyniosła jej ulgi. Łzy paliły ją coraz mocniej, czuła dławienie w gardle.

- Nie ma czego żałować - powtórzyła zduszonym głosem, po czym raptownie podniosła głowę, wyprostowała ramiona i zdecydowanie uderzyła piętami boki konia. Ten skoczył naprzód, szybko przechodząc w pełny galop.

Bennett najpierw nie rozumiał, co się stało. Patrzył na nią, jak mknęła w dół zbocza, i własnym oczom nie wierzył. Nigdy by się nie spodziewał, że Hannah jest tak doskonałą amazonką. Po chwili otrząsnął się ze zdumienia.

Drakula nie potrzebował zachęty. Ruszył z miejsca jak błyskawica i natychmiast zaczął nadrabiać stratę. Hannah słyszała za sobą coraz bliższy tętent jego kopyt. Pochyliła się jeszcze niżej i rozbawiona zawołała do swego wierzchowca:

- Na prostej nie mamy szans. Ale możemy ich przechytryć.

Nowe wyzwanie dodało jej skrzydeł. Niewiele myśląc, skręciła z głównej drogi i wpadła między drzewa. Ścieżka była tu wąska i nierówna, więc nie mogła jechać zbyt szybko. Jednak to, co straciła, zmniejszając prędkość, nadrobiła manewrami. Cały czas trzymała się środka, więc Bennett, który był tuż za nią, nie miał dość miejsca, by ją wyprzedzić. Kiedy z zarośli wyjechała na otwartą przestrzeń, wyprzedzała go o dobre dwie długości. Wiedziała, że szybko ją dogoni, więc zrobiła zwrot w lewo i zaczęła wspinać się na następne wzniesienie. Bennett nie spodziewał się tego, na moment stracił tempo, co wystarczyło, by powiększyła nad nim przewagę.

Jednak Drakula nie dał się łatwo pokonać. Gdy w oddali pokazały się stajnie, szli już łeb w łeb. Hannah rzuciła mu szybkie spojrzenie, po czym roześmiała się i znowu skręciła w lewo, kierując się wprost na ogrodzenie pastwisk.

Na ułamek sekundy dał się ponieść panice. Wyobraził sobie bowiem, że jej skok zakończy się groźnym upadkiem. Nic takiego się stało. Przesadzili ogrodzenie w idealnej synchronizacji i jak wichur pognali w stronę zabudowań.

Pipit stał na podwórzu i ujawszy się pod boki, obserwował wyścig. Widział, jak równo wzięli przeszkodę i jak zaraz potem Drakula wyszedł na prowadzenie. Nie mogło być inaczej, bo w całej Europie nie było ogiera, który mógłby konkurować z czarnym diabłem. Bennett wygrywał, ale jego towarzyszka siedziała mu na ogonie. Pipit nie mógł powstrzymać się od refleksji, że oto jego księżę spotkał wreszcie odpowiednią kobietę.

Ziemia zadudniła, gdy niemal łeb w łeb wpadli na placyk przed stajniami. Bennett gwałtownie zatrzymał konia i szybko zeskoczył z siodła. Hannah zatrzymała się tuż za nim. Kiedy pomagał jej zsiąść, śmiała się, szybko łapiąc oddech.

- Gdzie się nauczyłaś tak jeździć? - zapytał.

- Konie to moja druga pasja po literaturze. Już zapomniałam, jaka to przyjemność.

Nie mógł oderwać od niej oczu. Instynkt podpowiadał mu, że gdyby mógł się z nią kochać, ich miłość byłaby jak ta jazda. Dzika, szalona, do utraty tchu. Nagle przyszło mu do głowy, że trzyma w ramionach dwie kobiety. Pierwsza z nich jest chłodna i opanowana, druga namiętna i pełna wewnętrznego ognia. Sam nie wiedział, która z nich pociąga go bardziej.

- Jedź ze mną jutro! - poprosił gorąco.

Nie mogła. Za pierwszym razem ryzykowała dla przyjemności. Robienie tego po raz drugi byłoby błędem i głupotą.

- Niedługo premiera, muszę pomóc Eve w teatrze.

Nie nalegał. Obiecał sobie, że da jej czas, by powoli oswajała się z jego bliskością. Od momentu gdy stojąc na wzgórzu pojał, co do niej czuje, był jeszcze bardziej zdeterminowany, by powoli zdobywać jej względy. Pochylił się i ucałował jej rękę.

- Stajnie są do twojej dyspozycji. Korzystaj z nich, kiedy tylko będziesz miała ochotę.

- Dziękuję. - Odruchowo sięgnęła do włosów, chcąc sprawdzić, czy wszystkie spinki są na miejscu. - Dzisiejsza przejażdżka sprawiła mi ogromną przyjemność. Naprawdę.

- Mnie również.

- Cóż, Eve pewnie na mnie czeka.

- Nie będę cię wobec tego zatrzymywał. Pipit zajmie się końmi.

- Dziękuję. - Ociągała się z odejściem. Gdy to sobie uświadomiła, natychmiast przywołała się do porządku. - Do widzenia. I jeszcze raz dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Ukłonił się z galanterią, a potem długo odprowadzał ją wzrokiem. W pewnej chwili uśmiechnął się kątem ust i oparł czoło o szyję Drakuli.

- Zdobędę ją, przyjacielu - szepnął. - Tyle że nie od razu.

Czas mijał bardzo szybko. Hannah myślała o tym, siedząc w swoim pokoju z listem z Sussex w dłoni. W środku kryła się odpowiedź na jej żądanie. Zgoda na spotkanie z Debokiem albo wyrok śmierci. Pewną ręką przecięła kremową kopertę. Przyjaciółka z Anglii przysyłała jej pozdrowienia i dołączała kilka banalnych zdań o pogodzie.

Po mniej więcej piętnastu minutach Hannah odszyfrowała wiadomość.

Prośba będzie spełniona. Trzeci grudnia, godzina dwudziesta trzecia trzydzieści. Cafe du Dauphin. Bądź sama. Łącznik zapyta po angielsku o godzinę, a potem powie po francusku coś o pogodzie. Postaraj się, żeby twoje informacje były warte złamania zasady.

Dziś wieczór. Dziś wieczór robi następny krok. Starannie złożyła list i schowała do koperty, ale pozostawiła ją w widocznym miejscu na biurku. Obok stała róża, którą tego ranka przysłał jej Bennett. Wahala się, ale po chwili uległa pokusie i dotknęła białych, delikatnych płatków.

Gdyby życie było równie słodkie i proste, westchnęła.

Parę minut później zastukała do kancelarii księcia Armanda. Sekretarz, który jej otworzył, skłonił się sztywno i od razu zaanonsował ją księciu. Gdy weszła do gabinetu, Armand czekał na nią, stojąc za biurkiem.

- Wasza Wysokość. - Ukłoniła się nisko. - Przepraszam, że niepokoję.

- Nic podobnego, Hannah.

- Wasza Wysokość jest zajęty - zauważyła, stojąc w miejscu. - Chciałam prosić o radę, ale mogę przyjść z tym później.

- Nie ma potrzeby. Bardzo proszę, wejdź i siadaj. Oczekała, aż sekretarz księcia zamknął za sobą drzwi, po czym zdecydowanym krokiem podeszła do biurka.

- W naszej sprawie nastąpił przełom. Proszę, żeby Wasza Wysokość niezwłocznie wezwał Reeve'a.

- Mam pewne obiekcje - stwierdził książę Armand, zwracając się do swego zięcia. - Skąd pewność, że Deboque da się podejść i kupi informacje? Czy uwierzy Hannah?

- Na pewno - uspokoił go Reeve. - Zwłaszcza że Hannah powie mu niemal całą prawdę. Musi mieć w zanadrzu coś ważnego, coś, co mu się przyda. Inaczej nigdy jej do siebie nie dopuści.

- A jeśli jej nie uwierzy?

- Moja w tym głowa, żeby uwierzył - odezwała się Hannah cicho. - Zdaję sobie sprawę, że Wasza Wysokość ma zastrzeżenia co do całej operacji, ale chcę zapewnić, że do tej pory wszystko przebiega zgodnie z planem.

- Właśnie, do tej pory - powiedział Armand z naciskiem i wstał z fotela. Gestem nakazał, by pozostali na miejscach, a sam zaczął krążyć po gabinecie. - Nie podoba mi się, że muszę posyłać kobietę, którą polubiła moja rodzina i ja sam, na spotkanie z człowiekiem, który zabija nie tylko dla zysku, ale i dla czystej przyjemności. Na dodatek mam ją tam posłać samą.

- Hannah nie będzie sama! - sprostował Reeve. Słyszając to, gwałtownie wyprostowała się w fotelu.

- Muszę być sama! Jeżeli Deboque albo któryś z jego ludzi zacznie podejrzewać, że mam jakieś wsparcie, cała operacja weźmie w łeb. A ja na to się nie zgodzę. - Również się podniosła. - Poświęciłam tej sprawie dwa lata życia.

- A ja chcę, żebyś pożyła jeszcze dłużej - wtrącił łagodnie Reeve. - Podejrzewamy, że kwatery Deboque'a znajduje się w willi pięć mil od pałacu. Wyślę kogoś, żeby ją obserwował.

- A Deboque wyśle swoich ludzi, żeby obserwowali twoich - rzuciła niecierpliwie.

- To zmartwienie zostaw mnie, Hannah, i rób swoją robotę. Masz kopię systemu zabezpieczeń?

- Oczywiście! - zirytowała się. - I wiem, że mogę ją przekazać wyłącznie Deboque'owi.

- I pamiętasz o tym, że jeśli coś pójdzie nie tak, masz się natychmiast wycofać?

Skinęła głową, choć wcale nie zamierzała tego robić.

- W restauracji zainstaluję dwóch ludzi - uprzedził Reeve.

- Czemu do razu nie wyślesz całego oddziału? - syknęła.

Reeve rozumiał jej frustrację, lecz musiał przestrzegać pewnych zasad. Spokojnie dopił trzecią kawę i powiedział jej, że ma do wyboru obstawę albo ukryty mikrofon.

- Przypominam, że ostatni agent, który próbował numeru z podsłuchem, wrócił do biura ISS w trzech częściach - zauważyła z sarkazmem.

Reeve wzruszył ramionami.

- Wybieraj.

- Cóż - odezwała się po chwili. - Ty dowodzisz operacją, więc nie mam w tej sprawie wiele do powiedzenia.

- Hannah, żeby wszystko było jasne - zaczął Reeve, za jej przykładem wstając z miejsca. - Nikt nie podważa twoich kompetencji. Wiemy, jaką masz opinię. Powiedzmy, że stosuję nadzwyczajne środki bezpieczeństwa, bo nie chcę stracić najlepszego agenta. A teraz - powiedział, zwracając się do księcia - pójdę wszystko przygotować. Będziemy w kontakcie.

Armand kiwnął potakująco głową, po czym spojrzał na Hannah.

- Chciałbym jeszcze zamienić z tobą słowo. Usiądź, proszę.

Najchętniej poszłaby do siebie i w spokoju przemyślała całą akcję. Księżciu jednak nie mogła się sprzeciwić.

- Czy Wasza Wysokość życzy sobie, żebym jeszcze raz omówiła wszystkie szczegóły dzisiejszej operacji?

- Nie. Myślę, że mam pełne rozeznanie. Chcę ci zadać pytanie osobiste, dlatego już na wstępie proszę, żebyś nie poczuła się dotknięta. - Usiadł naprzeciw niej, przyjmując surową i prostą postawę wojskowego. - Czy mi się zdaje, czy mój młodszy syn darzy cię specjalnymi względami?

Całe jej ciało naprężyło się, jak w chwili zagrożenia. Kurczowo zacisnęła palce obu dłoni, ale odezwała się opanowanym głosem:

- Jeśli Waszej Wysokości chodzi o księcia Ben - netta, to rzeczywiście jest dla mnie bardzo miły.

- Hannah, muszę prosić, żebyś nie uchylała się od odpowiedzi. Nadmiar obowiązków nie pozwala mi spędzać tyle czasu z rodziną, ile bym chciał, ale to wcale nie znaczy, że nie znam swoich dzieci. Znam je bardzo dobrze. I widzę, że Bennett się w tobie zakochał.

Krew odplynęła jej z twarzy, ale zachowała spokój.

- To nieprawda - powiedziała dobitnie. - Nie zakochał się we mnie. Nie przeczę, że jest mną zaintrygowany, ale wyłącznie dlatego, że jestem inna niż kobiety, do których przywykł.

- Hannah. - Gestem ręki nakazał jej spokój. - Nie pytam o to, żeby cię denerwować. Po prostu kiedy się zorientowałem, co dzieje się z moim synem, poczułem się zaniepokojony. Bennett przecież nie wie, kim jesteś.

- Rozumiem.

- Chyba nie do końca. Ze wszystkich moich dzieci Bennett najbardziej przypomina matkę. Jest... bardzo uczuciowy, życzliwy Oczywiście, łatwo się unosi, ale równie łatwo go poruszyć. Chcę ci zadać jeszcze jedno pytanie. Jeśli odpowiesz przecząco, będę musiał prosić, żebyś postępowała z moim synem delikatnie. Czy ty go kochasz?

Wszystko, co czuła, odmalowało się w jej oczach. Wiedziała o tym, więc szybko spuściła głowę.

- Wasza Wysokość, to, co czuję do Bennetta, w żaden sposób nie wpłynie na jakość mojej pracy.

- Hannah, potrafię rozpoznać profesjonalistę. - Zrobiło mu się jej żal, a jednocześnie ją rozumiał. - Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Czy kochasz Bennetta?

- Nie mogę... - Tym razem w jej głosie zabrzmiał żal. - Okłamuję go od samego początku i nadal będę to robić. Nie można jednocześnie kochać i kłamać. Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość!

Armand nie próbował jej zatrzymać. Gdy wyszła, ciężko opadł na fotel. Teraz mógł się już tylko za nią modlić.

Cafe du Dauphin było dość obskurną portową knajpą, odwiedzaną przez załogi statków handlowych oraz robotników z nabrzeża. W niewielkim wnętrzu, zadymionym i cuchnącym alkoholem, stało tak dużo stolików, że ledwie dało się przejść. Hannah bywała już w gorszych miejscach, ale to z pewnością nie było odpowiednim lokalem dla samotnej kobiety. Chyba że chciała szukać przygód.

Jej wejście nie wywołało poruszenia. W szarym swetrze i dżinsach wyglądała bardzo przeciętnie, nie stanowiła więc żadnej konkurencji dla bawiących w barze dam. Pocieszała się, że jeśli zdoła załatwić sprawę szybko, nie będzie musiała odstraszać żadnego z podchmielonych amatorów łatwej zdobyczy.

Usiadła przy barze i zamówiła whisky. Czekając na drinka, dyskretnie lustrowała salę. Jeśli Reeve faktycznie umieścił tu swoich ludzi, musiał wybrać ich bardzo starannie. Rzadko się bowiem zdarzało, by nie rozpoznała kolegów po fachu.

Minęło bodaj dziesięć minut, gdy od jednego ze stolików wstał mężczyzna i potoczył się w jej stronę. Stał tuż obok, ale zlekceważyła to i spokojnie piła drinka.

- To smutne, kiedy kobieta pije sama - wybełkotał po francusku.

- A jeszcze smutniejsze, kiedy nie może być sama, choć tego pragnie - odparła swoją nienaganną, wyspiarską angielszczyzną.

- Jeśli komuś Bozia poskaąpiła urody, to nie powinien być tak wybredny - burknął, ale dał jej spokój i wrócił na miejsce.

Uśmiechnęła się do siebie i popatrzyła w stronę wejścia. Właśnie wtedy do baru wszedł jakiś mężczyzna. Miał na sobie mundur marynarza i czapkę zsuniętą głęboko na oczy. Daszek rzucał cień na jego ogorzałą, szczupłą twarz. Tym razem Hannah nie miała wątpliwości. Powoli podniosła szklankę do ust.

- Która godzina? - zapytał nieznajomy po angielsku, a gdy mu odpowiedziała, przerzucił się na francuski i zauważył, że wieczór jest chłodny. Zamówił drinka, ale więcej się do niej nie odezwał. Wypił bez pośpiechu, po czym wyszedł na ulicę. Odczekała parę minut, a potem poszła za nim.

Czekał w jednym z doków. Miejsce było słabo oświetlone, więc z daleka wyglądał jak mroczny cień. Hannah zbliżyła się do niego pewnym krokiem, wiedząc, że to, co ją zaraz spotka, może być jej początkiem albo końcem.

- Masz informacje - bardziej stwierdził niż zapytał. Jego angielszczyzna była poprawna, pozbawiona akcentu. Deboque umiał dobierać ludzi. - Popłyniemy tym - rzucił, wskazując małą motorówkę.

Wiedziała, że nie ma wyboru. Na morzu była zdana wyłącznie na siebie, ale nie wahała się nawet przez chwilę. Zwinnie wsiadła do łódki, zajmując miejsce obok steru. Po chwili mężczyzna do niej dołączył. Nagły pomruk silnika poniósł się po spokojnej wodzie jak grzmot.

Odetchnęła głęboko i starała się myśleć wyłącznie o tym, że jest coraz bliżej celu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Reeve będzie wściekły. Hannah uśmiechnęła się do siebie i mocniej chwyciła za brzeg siedzenia, gdyż nabierająca prędkości łódź zakołysała się gwałtownie. A więc Deboque wcale nie rezyduje w willi blisko pałacu. Przyczaił się na morzu. T a m rzeczywiście nie będzie miała żadnego wsparcia. Nie martwiło jej to. Zawsze wołała działać na własną rękę.

Instynkt podpowiadał jej, że tego wieczoru na pewno go spotka. Wciągnęła powietrze głęboko do płuc. Musi być bardzo spokojna. W takich sytuacjach nerwy są bardzo złym doradcą. Zamyślona popatrzyła na białą smugę piany, która znaczyła ich szlak. Wieczorny rejs po Morzu Śródziemnym jest bardzo przyjemny. Zwłaszcza że z każdą chwilą przybliża ją do celu, do którego zmierzała od dwóch lat.

Czuła narastające podniecenie, ale nie strach. Zresztą i tak musiałaby nad nim zapanować. Lęk paraliżował, a ona musi mieć jasny umysł i sprawne ruchy. Nie popełni żadnego błędu. Nie może. Długo i mozolnie wspinała się coraz wyżej w organizacji, cały czas polegając na własnych umiejętnościach. Dzięki cichemu wsparciu międzynarodowej organizacji bezpieczeństwa pomogła ubić kilka świetnych interesów związanych z handlem bronią, diamentami i narkotykami.

Cel uświęca środki.

Najtrudniejszym zadaniem okazało się wyeliminowanie z gry Bouffe'a, prawej ręki Deboque'a. Wiele wysiłku i czasu strawiła na to, by niezwykle skuteczny i oddany adiutant wyszedł na pozbawionego kompetencji nieudacznika. Hannah sporo ryzykowała, ale dzięki sprytnym machinacjom zepsuła kilka akcji, za które odpowiedzialny był Bouffe. Najbardziej spektakularnym wyczynem było pokrzyżowanie planów związanych ze sprzedażą broni dla wyjątkowo agresywnej grupy terrorystów. Kiedy wyglądało na to, że Bouffe zawałił sprawę, Hannah wkroczyła do akcji.

Terroryci dostali broń, a konto Deboque'a wzbogaciło się okrągłą sumką pięciu milionów franków. Hannah miała nadzieję stać się wkrótce ich szczęśliwą posiadaczką.

Motorówka szybko płynęła w stronę smukłego, białego jachtu kołyszącego się na lekkiej fali. Gdy byli blisko, mężczyzna wysłał kilka sygnałów latarką. Z pokładu odpowiedziano mu tym samym. Silnik ucichł i niesiona siłą rozpędu łódź stuknęła po chwili o wysoką burzę.



Gładki metal drabinki przyjemnie chłodził dłonie. Hannah wiedziała, że musi być taka sama jak owa stal: zimna i twarda. Bez chwili wahania, nie oglądając się za siebie, weszła na pokład, gdzie czekało nieznane.

- Lady Hannah. - Wysoki mężczyzna o ciemnej skórze czekał na nią oparty o reling. Podał jej rękę i uklonił się z wdziękiem. Od razu go rozpoznała. Wiele razy mówiono o nim podczas odpraw w biurze. Nazywał się Ricardo Batemen, miał dwadzieścia sześć lat, pochodził z Jamajki. Był absolwentem medycyny jednego z prestiżowych amerykańskich uniwersytetów. Nigdy nie rozpoczął praktyki, choć jak wynikało z materiałów operacyjnych, chętnie używał skalpela. Tyle że wołał ćwiczyć cięcia na zdrowych, i to bez znieczulenia.

Szybko stał się jednym z faworytów Deboque'a.

- Jestem Ricardo. - Młoda, przystojna twarz rozjaśniła się w uśmiechu. - Witam na pokładzie „Niepokonanej”.

- Dziękuję, Ricardo. - Odpowiedziała równie uprzejmym uśmiechem i rozejrzała się dookoła. Na pokładzie było pięciu mężczyzn w smokingach, z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału. Wśród nich snuła się wyraźnie znudzona kobieta w sarongu włożonym na bikini.

- Mogę prosić o drinka? - Hannah spojrzała Ricardowi w oczy. Były jasnozielone, chłodne, przypominały drapieznika. Za to głos mężczyzny był ciepły, bardzo zmysłowy.

- Naturalnie, lady Hannah. Przedtem jednak będzie pani musiała poddać się pewnej procedurze. Sama pani rozumie, względy bezpieczeństwa. Poproszę pani torbę.

Nieznacznie uniosła brwi.

- Proszę dopilnować, żeby nic z niej nie zginęło - powiedziała sucho.

- Ma pani moje słowo - odparł z lekkim ukłonem. - A teraz zechce pani pójść z Carmine. Zaprowadzi panią do kabiny, gdzie będzie się pani mogła odświeżyć. Najpierw jednak sprawdzi, czy nikt nie podrzucił pani żadnych urządzeń elektronicznych.

Rewizja osobista, pomyślała z rezygnacją. Trudno, mogło być gorzej.

- Nikt mi niczego nie podrzucał, ale rozumiem i doceniam waszą ostrożność. - Skinęła mu głową i podeszła do Carmine z taką swobodą, jakby miały za chwilę wypić razem herbatę.

Ricardo udał się w przeciwnym kierunku. Zapukał do kajuty szefa i położył torbę Hannah na jego mahoniowym biurku.

- Carmine ją sprawdza - oznajmił. - Ja przejrzałem torebkę. Ma w niej mały pistolet, paszport, parę kosmetyków i trzy tysiące franków. I tę kopertę. Zaklejoną.

- Dziękuję, Ricardo. - Głos był głęboki, akcent francuski. - Przyrowadź ją za dziesięć minut. Dopilnuj, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

- *Oui, monsieur.*

- Co o niej myślisz?

- Dość atrakcyjna, w każdym razie bardziej niż na zdjęciu. I chłodna. Kiedy się witaliśmy, miała suchą rękę.

- Dobrze. - W głosie mężczyzny zabrzmiała nutka zaciekawienia. - Dziesięć minut, Ricardo - przypomniał, po czym jednym ruchem rozerwał kopertę.

Parę minut później Hannah starannie obciągała sweter. Rewizja osobista nigdy nie jest przyjemna, ale nie poczuła się poniżona. Tak jak się spodziewała, Carmine zabrała jej nóż. Ricardo wziął pistolet. Została więc bez broni, z dala od ładu. Na szczęście został jej rozum i spryt.

Kiedy przyszedł po nią Ricardo, była gotowa.

- Przepraszam za kłopot, lady Hannah.

- Nie ma o czym mówić, Ricardo. - Od razu zauważyła, że nie przyniósł jej torebki. Nie zapytała jednak, co się z nią stało. - Mam nadzieję, że nie będzie już niespodzianek.

- Na pewno nie. A teraz proszę za mną.

Jacht miał wielkość i wygląd luksusowego hoteliku. Gdy szli wąskim korytarzem, Hannah na wszelki wypadek notowała w pamięci rozmieszczenie wyjść ewakuacyjnych. Wcześniej sprawdziła, czy osoba jej postury mogłaby w razie czego prześliznąć się przez okrągłe okienko kabiny.

Zatrzymali się przed politurowanymi dębowymi drzwiami, do których Ricardo zapukał dwukrotnie. Nie czekając na zaproszenie, wprowadził ją do środka. Śmiało ruszyła przed siebie i nawet nie drgnęła, gdy za jej plecami szczęknął zamek.

Gabinet był urządzony z ogromnym przepychem. Eleganckie, miejscami wręcz ekstrawaganckie wnętrza bezpośrednio nawiązywało do osiemnastowiecznej Francji. Na podłodze leżał gruby dywan w kolorze królewskiego błękitu, ściany wyłożone były boazerią lśniąca niczym lustro. Od bogactwa kryształów, złocień, brokatów można było dostać zawrotu głowy.

Podobnie jak od jaskrawych kolorów i ciężkiego, kwiatowego zapachu.

Władca tego imperium siedział za masywnym biurkiem w stylu Ludwika XVI. Hannah wiele razy wyobrażała go sobie jako wcielenie zła, wydawało więc jej się, że gdy go spotka, instynktownie wyczuje mroczną siłę, którą powinien emanować. Tymczasem nic podobnego się nie stało.

Deboque był szczupłym, atrakcyjnym pięćdziesięcioletnim mężczyzną o twarzy i ruchach arystokraty. Gęste siwe włosy opadały mu na ramiona. Czarny strój podkreślał

niezwykłą, można by rzec, poetycką bladość twarzy i głębię ciemnych oczu. Badał ją nimi uważnie, uśmiechając się przy tym pięknie wykrojonymi ustami.

Wiele razy widziała go na zdjęciach, skrzętnie zbierała każdy strzęp informacji o nim. Zapoznała się ze wszystkim, co w ciągu dwudziestu lat zebrano na jego temat. Powinna więc go znać, a jednak czuła się zaskoczona. Teraz zrozumiała, dlaczego kobiety gotowe były dla niego umierać, a mężczyźni marzyli o tym, by posłać go na tamten świat.

- Lady Hannah. - Podniósł się z wdziękiem i podał jej szczupłą dłoń ozdobioną brylantami. Zauważyła przy tym, że Deboque był drobny, niemal delikatny.

Nie może się teraz zawahać, choć wewnętrzny głos podpowiadał jej, że jeśli go dotknie, przekroczy niewidzialną linię, za którą rozciąga się tajemniczy, złowrogi ład.

- *Monsieur* Deboque. - Z uśmiechem podeszła do niego i podała mu dłoń. Zaskoczyła go tym, że znała jego nazwisko. Zapisała to sobie na plus. - Miło mi pana poznać.

- Proszę usiąść, lady Hannah. Napije się pani brandy?

- Z przyjemnością. - Wybrała miękkie krzesło z wysokim oparciem stojące naprzeciwko biurka. Z ukrytych głośników sączyła się tęskna muzyka. Chopin. Słuchała jej z przyjemnością, podczas gdy Deboque napełniał kryształowe szklanki.

- Ma pan niezwykle piękny jacht, *monsieur*.

Dopiero teraz dostrzegła wiszący nad biurkiem stary obraz. Jeden z sześciu, które jakiś rok temu wykradzono z prywatnej kolekcji. Sama pomagała dokonać przestępstwa.

- Potrafię docenić piękno - stwierdził, podając jej brandy. Nie wrócił za biurko, wybrał zamiast tego fotel obok niej. - Pani zdrowie, *mademoiselle*.

- I pańskie, *monsieur* Deboque.

- Mogę wiedzieć, w jaki sposób udało się pani poznać moje nazwisko?

- Mam zwyczaj zasięgać informacji na temat swoich zleceniodawców. - Ruchem głowy podziękowała za papierosa, którym ją częstował. - Muszę powiedzieć, że ma pan doskonałą ochronę i bardzo oddanych współpracowników. Niełatwo było dowiedzieć się, kto rządzi tym królestwem.

- Większości to się w ogóle nie udaje. - Z lubością wciągnął do ust wonny dym cygara.

- Dla mnie nie ma rzeczy niemożliwych.

- Inni za swoją ciekawość płacą wysoką cenę - dodał, obserwując jej reakcję. Uśmiechnęła się tylko. Ricardo miał rację, była bardzo opanowana. - W raportach wyczytałem o pani same pochlebne rzeczy.

- Nie mogło być inaczej.

- Cenię pewność siebie.

- Ja również.

- Chyba mam wobec pani dług wdzięczności. To pani doprowadziła do szczęśliwego finału pewną transakcję z jednym z naszych... śródziemnomorskich sąsiadów. Gdyby ta umowa została zerwana, byłbym, delikatnie mówiąc, rozczarowany.

- Cieszę się, że mogłam pomóc, *monsieur*. Przy okazji pragnę zauważyć, że w pańskim łańcuchu znajduje się kilka luźnych ogniw.

- W rzeczy samej - mruknął. Od pewnego czasu rozważał, czy nakazać Ricardowi, by pozbył się Bouffe'a. Decyzja nie była łatwa, gdyż przez całe dziesięciolecie ten ostatni był wyjątkowo lojalnym i cenionym pracownikiem. - Jak się pani podoba w Cordinie?

Serce uderzyło jej mocniej, ale na zewnątrz pozostała chłodna.

- Pałac jest bardzo piękny. - Obojętnie wzruszyła ramionami i celowo rozejrzała się po gabinecie. - A ja, podobnie jak pan, zwracam uwagę na urodę otoczenia. Tylko ono rekompensuje mi nudę przebywania w towarzystwie Bissetów.

- Czyżby rodzina Jego Księżęcej Mości nie zrobiła na pani najlepszego wrażenia?

- Niełatwo zrobić na mnie wrażenie. Bissetowie to mili, kulturalni ludzie, tyle że nazbyt... oddani sprawie. - W jej głosie zabrzmiała lekka drwina. - Ja zaś wolę poświęcać się rzeczom bardziej dochodowym niż honor i poczucie obowiązku.

- A co z lojalnością, lady Hannah?

Spojrzała mu w oczy. Wiedziała, że próbował przejrzeć ją na wylot, uchylić zasłonę, którą się otaczała.

- Potrafię być lojalna - oznajmiła zimno. - Tak długo, jak długo to się opłaca.

Ryzykuje, mówiąc do niego w ten sposób. Dobrze wie, że w jego organizacji kara za zdradę jest tylko jedna. Śmierć.

Czekała na jego reakcję z kamiennym spokojem, i tylko wzdłuż kręgosłupa płynęła jej zimna strużka potu. Przyglądał jej się dłuższą chwilę, po czym nagłym ruchem odrzucił swoją lwią grzywę i roześmiał się na cały głos.

- Podoba mi się pani szczerłość. Cenię ją dużo wyżej niż przyrzeczenia składane pod przysięgą. Myślę, że sam na tym skorzystam, jeśli osoba z pani talentem i ambicjami będzie zadowolona z profitów płynących z naszej współpracy.

- Cieszę, że tak pan do tego podchodzi, *monsieur* Deboque. - Dopiero teraz pozwoliła sobie na chwilę odprężenia. - Nie zamierzam ukrywać, że interesuje mnie miejsce w zarządzie, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Ale też jestem gotowa zapracować na taką

pozycję. Delegacje, organizacja, zadania specjalne, czyż to nie jest ciekawsze niż zarządzanie?

- Owszem. - Znowu badał ją wzrokiem, wyraźnie coś rozważając. Wygląda na uosobienie łagodności. Młoda, elegancka, z zamożnej rodziny. Lubił kobiety, których uroda nie rzuca się zanadto w oczy. W tym miejscu pomyślał o Janet Smithers, którą dziesięć lat temu posłużył się, a potem zlikwidował. Lady Hannah może się okazać dużo bardziej interesującą, a już na pewno bardziej kompetentną wykonawczynią jego poleceń.

- Pracuje pani dla nas od dwóch lat?

- Tak.

- W tym czasie dała pani niejedną dowód swoich możliwości. - Mówiąc to, podszedł do biurka i sięgnął po kopertę. - O ile rozumiem, zdobyła pani dla mnie te informacje?

- Owszem. - Kilкома ruchami nadgarstka wprawiła brandy w ruch. - Choć muszę powiedzieć, że zirytował mnie sposób, w jaki je panu doręczono.

- Proszę wybaczyć. To, co pani zdobyła, jest bardzo interesujące, chociaż, niestety, niekompletne.

Wdzięcznie skrzyżowała nogi i przyjęła swobodną pozę.

- Kobieta, która pisze wszystko, co wie, szybko traci wartość. To, czego nie ma na papierze, jest tu - wyjaśniła, dotykając skroni.

- Rozumiem. - Podobała mu się coraz bardziej. Lubił ludzi, którzy znają swą wartość i potrafią się cenić. - Powiedzmy, że chciałbym dobrze poznać system ochrony pałacu, Centrum Sztuki i muzeum, po to, żeby go wykorzystać do własnych celów. Czy wtedy potrafiłaby pani uzupełnić brakujące szczegóły?

- Oczywiście.

- A gdybym zapytał, w jaki sposób udało się pani zdobyć tak poufne materiały?

- Czy nie taki właśnie był cel mojego przyjazdu do Cordiny?

- Dokładnie rzecz biorąc, tylko jeden z celów. - Deboque z namysłem uderzał kopertą o wierzch dłoni. - To szczęście, że udało się pani zbliżyć do młodej księżnej.

- To akurat nie było zbyt trudne. Eve czuła się bardzo samotna, brakowało jej kobiecego towarzystwa. Ja po prostu wypełniłam lukę. Zachwycam się jej córeczką, wysłuchuję skarg, koję lęki. Książę Aleksander jest mi bardzo wdzięczny, że odciążam jego żonę.

- Ufają pani?

- Bezgranicznie. Chyba nic w tym dziwnego - dodała. - Pochodzę ze znanej i szanowanej rodziny, jestem dobrze wychowana i wykształcona. Książę Armand traktuje mnie

jak daleką krewną swej zmarłej żony. Pan wybaczy, *monsieur*, ale czy nie z tych samych powodów wybrał mnie pan do tej misji?

- Ma pani rację. - Odchylił się i oparł o fotel. Był z niej zadowolony, lecz jeszcze nie darzył jej pełnym zaufaniem. - Doszły mnie słuchy, że wzbudziła pani zainteresowanie młodego księcia.

Czuła, jak ogarnia ją wewnętrzny chłód.

- Pańska sieć wywiadowcza działa bez zarzutu - pochwaliła, zerkając znacząco na pusty kieliszek. Deboque natychmiast wstał i dolał jej brandy, ona zaś zyskała kilka cennych minut. To wystarczyło, by odzyskała równowagę. - Z pewnością wie pan także i to, że Bennett zainteresuje się każdą kobietą, która akurat będzie pod ręką. - Roześmiała się drwiąco, próbując w ten sposób zagłuszyć nienawiść do samej siebie. - To dzieciak. Śliczny, zepsuty chłopiec. Aby się od niego uwolnić, wystarczy okazywać mu obojętność.

Deboque skinął potakująco.

- Tylko że wtedy on zacznie naciskać - zauważył.

- Nie szkodzi. Niektórzy mężczyźni w takiej sytuacji stają się wyjątkowo uczynni.

- Proszę wybaczyć, że drażę być może nazbyt osobiste kwestie, ale jaki rodzaj uczynności ma pani na myśli?

- Myślę o tym, że słabość do kobiet można łatwo wykorzystać. Przy odrobinie sprytu da się z niego wyciągnąć mnóstwo cennych informacji. To on oprowadził mnie po Centrum Sztuki i pokazał mi bazę morską w Hawrze. - Po tych słowach zawiesiła głos. Deboque musi wiedzieć o jej spotkaniach z Bennettem, postanowiła więc wykorzystać tę wiedzę jako dowód swej prawdomówności. - Wystarczyło, że zapytałam, w jaki sposób chroni się bezcenne zbiory - wyjaśniła po chwili - a książe bez wahania pokazał mi cały system zabezpieczeń, łącznie z ukrytymi kamerami, czujnikami i centrum monitoringu. - Znowu zrobiła znaczącą pauzę. - Musi pan wiedzieć, że kobiecie jest łatwiej. Im większą okazuje ignorancję, tym więcej się dowiaduje.

Deboque ogrzewał w dłoniach brandy.

- Mam pewne pytanie, rzecz jasna czysto teoretyczne. Czy można sforsować system bezpieczeństwa pałacu?

A więc jesteśmy w domu, pomyślała z ulgą.

- Teoretycznie można sforsować każdy system. Muszę przyznać, że ten, który stworzył Reeve MacGee, jest doskonały, ale nie niezniszczalny.

- Ciekawe... - Deboque wziął do ręki porcelanową figurkę przedstawiającą jastrzębia i uważnie ją oglądał. W pokoju zapadła cisza. Hannah wiedziała, że w ten sposób Deboque chce przetestować jej nerwy.

- Czy ma pani pomysł, jak to zrobić?

- Działając od środka.

- A w Centrum Sztuki?

- Tak samo.

- Za parę dni ma się odbyć uroczysta premiera sztuki napisanej przez księżnę. Nie sądzi pani, że małe zamieszanie podczas tej gali byłoby dość zabawne?

- Jakie zamieszanie? Uśmiechnął się zagadkowo.

- Nie mam nic konkretnego na myśli. Przyszło mi do głowy, że rodzina królewska poczułaby się zakłopotana, gdyby nieprzewidziane zdarzenie zakłóciło przedstawienie. Chciałbym to zobaczyć. A pani? Będzie pani w teatrze?

- Oczywiście. - Denerwowała ją jego ostrożność. Za wszelką cenę musi wydusić z niego bardziej konkretne deklaracje. - I nie ukrywam, *monsieur*, że wolałabym wiedzieć, którym wejściem lepiej nie wchodzić.

- Wobec tego doradzałbym, żeby zajęła pani miejsce na widowni. Ja również nie chciałbym stracić osoby, z którą zacząłem się zaprzyjaźniać.

Skinęła głową na znak, że przyjmuje to do wiadomości. Przestraszyła się jednak, że Deboque wyciągnie od niej brakujące informacje o systemie, a potem ją odeśle. Nie mogła do tego dopuścić, więc szybko postanowiła zmienić front.

- Czy można wiedzieć, dlaczego tak bardzo interesuje się pan rodziną królewską? Pytam z czystej ciekawości, bo uważam pana za człowieka, dla którego najważniejszy jest zysk i osobiste korzyści.

- Zysk jest zawsze mile widziany. - Uśmiechnął się, odstawiając jastrzębia na miejsce. Pomyślała, że człowiek o tak wypielęgowanych dłoniach powinien grać na skrzypcach albo pisać wiersze. Wiedziała, że rzadko posługiwał się pistoletem. Nie musiał. Wystarczyło, że dał znak.

- Co zaś do osobistych korzyści - dodał po chwili - to można je różnie rozumieć, czyż nie?

- Oczywiście. Najważniejsze to odczuwać, satysfakcję - zgodziła się. - Rozumiem, że porywanie księżniczki Gabrielli i groźby pod adresem Bissetów miały przyspieszyć pańskie wyjście z więzienia. Teraz jest pan wolny. I - jeszcze raz rozejrzała się po gabinecie - bardzo majątny. O co więc chodzi?

- Interesy należy doprowadzać do końca - rzekł dobitnie, zaciskając palce na kieliszku.  
- Długi muszą być spłacone. Razem z procentami, a chyba zgodzi się pani, że tych przez dziesięć lat narosło bardzo dużo.

- A więc zemsta. Albo kara, jeśli pan woli. Tak, to rozumiem. Zemsta często ma słodki smak. I wartość brylantów. - Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Nie miała wątpliwości, że ten człowiek nie ustanie w wysiłkach, dopóki nie zaspokoi żądz odwetu. - *Monsieur*, życzył pan sobie, żebym dostała się do pałacu. Zrobiłam to, i pozostanę na posterunku do odwołania. Wolałabym jednak mieć jakieś wytyczne. - Uniosła dłonie w symbolicznym geście pokory. - Oczywiście, to pan się mści, nie ja. Uprzedzam tylko, że trudno jest działać po omacku.

- Gracz, który od razu wyklada wszystkie karty na stół, nie może już niczym zaskoczyć.

- Zgoda. Pragnę jednak przypomnieć, że człowiek, który ma w ręku nóż, ale nie chce go naostrzyć, jest również mało skuteczny. Dotarłam do celu, *monsieur*. Nie ukrywam jednak, że pomogłaby mi jakaś mapa.

Deboque złączył dłonie, układając je w kształt piramidy. Zamyślony, zapatrzył się w migotliwe brylanty. Zamierzał posłużyć się lady Hannah. I tym razem musi to zrobić skutecznie. Dwa razy mu się nie powiodło. Nie udało mu się wykorzystać Bissetów do swych celów ani rzucić księcia Armanda na kolana. Teraz jednak dopnie swego. Był pewien, że w Hannah znalazł wreszcie idealne narzędzie.

- Pozwoli pani, że zadam jej pytanie. Jak można zniszczyć drugiego człowieka?

- Najprościej odebrać mu życie.

Deboque uśmiechnął się i wtedy Hannah dostrzegła prawdziwe wcielenie zła.

- Ja nie lubię prostych rozwiązań, moja droga. Śmierć jest ostateczna. Nawet zadawana powoli, prowadzi do nieuchronnego końca. Jeśli chce się zniszczyć człowieka, złamać jego serce i duszę, nie wystarczy kula w skroń.

Czuła, że mówił o Armandzie. To nie był odpowiedni moment, by pytać o imiona albo domagać się szczegółów. Naciskany, powiedziała jej dużo mniej albo, co gorsza, przestał jej ufać. Odstawiła kieliszek i spróbowała pójść za jego tokiem myślenia.

- A więc trzeba mu zabrać to, co najcenniejsze - rzekła wolno. Jej serce waliło jak oszalałe, w skroniach boleśnie pulsowało, żołądek podchodził do gardła. Jednak kiedy się odezwała, głos miała pewny i chłodny jak stal. - Jego dzieci?

- Lady Hannah, jest pani uroczą i bardzo inteligentną kobietą. - Pochylił się i położył dłoń na jej dłoni. Wtedy to poczuła: odrażający, mroczny dotyk śmierci. - Człowiek, o którym mówię, musi cierpieć, musi się załamać. Dlatego trzeba odebrać mu wszystko, co kocha



najbardziej, i kazać mu z tym żyć. Niech patrzy na śmierć swoich dzieci i wnuków, niech patrzy, jak jego kraj pogrąży się w chaosie. Królestwo bez następcy tronu nie może być stabilne. A tam, gdzie nie ma stabilizacji, z reguły robi się najlepsze interesy.

- Zabić wszystkich - szepnęła.

Przed oczami stanęła jej zaróżowiona od snu buzia malutkiej Marissy, a zaraz po niej szczerbaty uśmiech łobuziaka Doriana. Strach chwycił ją za gardło jak żelazne kleszcze. Był tak silny, że musiał odmalować się w jej oczach, dlatego czym prędzej spuściła wzrok. Z przerażeniem wpatrywała się w dłonie Deboque'a i zimny, ostry blask jego brylantów. Podniosła głowę dopiero wtedy, gdy była pewna, że może ufać swoim oczom. W subtelnym świetle bocznych lamp człowiek siedzący obok niej wyglądał jak blada zjawa. Tyle że budził stokroć większą trwogę.

- Chce pan zabić ich wszystkich, *monsieur*? To nie będzie łatwe nawet dla kogoś tak wszechwładnego jak pan.

- To, co naprawdę warte zachodu, nigdy nie jest proste, moja droga. Ale sama pani mówiła, że nie ma rzeczy niemożliwych. Zwłaszcza dla osoby, której ufają, i która jest blisko.

Nie zadrżała, nie próbowała się od niego odsunąć, jedynie lekko uniosła brwi. Biznes, powiedziała sobie. Lady Hannah lubi robić dobre interesy. A właśnie zaproponowano jej najlepszą pracę, jaką Deboque miał do zaoferowania.

- Została pani wybrana spośród wielu kandydatów. Od dziesięciu lat wciąż mam jedno niezrealizowane marzenie. Jestem przekonany, że dzięki pani wreszcie się ono spełni.

Ściągnęła usta, udając, że rozważa jego propozycję. Widocznie uznał, że jej milczenie trwa zbyt długo, bo delikatnie zabębnił palcami o kostki jej zaciśniętej dłoni. Jak dotyk tarantuli, pomyślała, walcząc z dreszczem obrzydzenia.

- Jestem zaszczycona pańskim zaufaniem, ale muszę powiedzieć, że dla osoby z moją pozycją w organizacji to spora odpowiedzialność. Chyba nawet zbyt duża...

- Możemy temu łatwo zaradzić. Bouffe właśnie... przechodzi na emeryturę - oznajmił gładko. - Będę musiał wyznaczyć kogoś na jego miejsce.

- Poproszę o jakąś gwarancję, *monsieur*.

- Ma pani moje słowo.

- *Monsieur*. - Uśmiechnęła się nieznacznie. Skinął głową, po czym wstał i nacisnął przycisk na biurku. Gdy w drzwiach stanął Ricardo, powiedział sucho:

- Lady Hannah zastąpi Bouffe'a. Załatw, co trzeba. Tylko dyskretnie.

- Oczywiście. - Chłodne oczy Ricarda przymknęły się jak w chwili przyjemności.

Kiedy wyszedł, Hannah odezwała się niedbale:

- Domyślałam się, że pewnego dnia z równą łatwością pozbędzie się pan mnie.
- Nie zrobię tego, dopóki będę z pani zadowolony. - Pochylił się i pocałował ją w rękę.
- Mam przeczucie, że się na pani nie zawiodę.
- Muszę pana o czymś uprzedzić. Pomysł z zabijaniem małych dzieci budzi we mnie wstręt. - Wyraźnie poczuła, jak jego palce zaciskają się wokół jej dłoni, ale nawet nie drgnęła.
- Jednakże pięć milionów dolarów na pewno pomoże mi go przełamać.

Widziała, jak w jego oczach błysnął gniew. Wytrzymała to spojrzenie, ale trochę się obawiała, czy niechcący nie posunęła się zbyt daleko.

- Pieniądze są dla pani tak wielką pokusą, *ma petite* ?
- Nie pokusą, lecz przyjemnością. Lubię, kiedy coś daje mi zadowolenie.
- Ma pani dwa tygodnie, żeby mnie zadowolić, lady Hannah. Potem z największą przyjemnością zrewanżuję się za przysługę. - Podał jej rękę i pomógł wstać. - A teraz, na dowód zaufania, opowie mi pani o tym, czego nie uwzględniła pani w swoich notatkach.

Hannah podeszła do biurka, gotowa uraczyć go całą litanią kłamstw.

Była krańcowo wyczerpana. Żadne z dotychczasowych zadań nie spustoszyło jej wewnętrznie w takim stopniu, jak rozmowa z Debokiem. W drodze do pałacu marzyła tylko o jednym - by jak najszybciej wejść pod gorący prysznic i zmyć z siebie jego dotyk i zapach wody kolońskiej.

Jakieś sto metrów za bramą zatrzymała samochód. Reeve bezszelestnie wyłonił się z gęstego mroku i wsiadł do środka.

- Długo cię nie było. - Przyjrzał się jej uważnie. - W rozkazach nie było mowy, że zerwiesz kontakt na ponad godzinę.
- Podobnie jak nie było mowy, że spotkam się z Debokiem.
- Naprawdę?
- Tak. Przekazałam mu wszystkie informacje. I wskoczyłam na miejsce Bouffe'a.
- Musiałaś zrobić na nim dobre wrażenie. - Reeve uniósł jedną brew.
- Tak miało być, prawda? - Drażnił ją nawet smak brandy w ustach. - Szykuje coś na wieczór premiery. - Widząc, że Reeve zeszytniał, dodała uspokajająco: - To raczej nie będzie nic poważnego. Chodzi mu o to, żeby popsuć nam zabawę. Zresztą trudno powiedzieć, bo jest bardzo ostrożny w tym, co mówi. Gdybym miała przeciw niemu zeznawać, byłoby mi trudno udowodnić mu przygotowywanie spisku. Nie mówi wprost o swoich zamiarach. Teoretyzuje, wysuwa hipotezy.
- Nie powiedział ci, gdzie zamierza uderzyć?
- Prawdopodobnie w pałacu. To dla niego największe wyzwanie. Mamy dwa tygodnie.

- Wtedy uderzy?

- Tyle dał mi czasu na wymordowanie twojej rodziny. Całej, z wyjątkiem Armanda. -

Spojrzała mu twardo w oczy. - Mam zabić wszystkich. Łącznie z dziećmi.

Reeve sięgnął po papierosa, ale go nie zapalił.

- Mamy dwa tygodnie, żeby go powstrzymać - powtórzyła głucho.

- Jesteś pewna, że w nic cię nie wrabia?

- Nie sądzę. Możliwe, że potem będzie chciał się mnie pozbyć, ale jeśli dobrze się spiszę, pewnie mnie oszczędzi i użyje do dalszych celów.

- Musimy zawiadomić o wszystkim Armanda.

- Wiem. Ale tylko jego i nikogo więcej.

- Póki co, zachowuj się jak do tej pory. - Gestem nakazał, by ruszyła z miejsca. -

Potrzeba nam trochę czasu.

- Do premiery zostało tylko parę dni.

- Damy radę. Teraz połóż się i odpocznij. Jak tylko będę coś wiedział, natychmiast dam ci znać.

Wysiedli z samochodu, ale nim się rozeszli, Hannah spojrzała mu prosto w oczy.

- Chcę go dostać - powiedziała twardo. - Chcę go mieć dla siebie. Wiem, że to głupie i nieprofesjonalne, ale uprzedzam, że jeśli nadarzy się okazja, sama go załatwię.

Reeve nie odezwał się słowem. Przed chwilą przysiągł sobie to samo.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Nie chcę, żebyś tam szła.

- Przecież wiesz, że muszę! - Eve gwałtownie odwróciła się do męża. W jej oczach malował się upór.

- To moja sztuka, mój zespół i moja produkcja. Aleks, zrozum, ja nie mam wyboru!

- Masz. Twój stan jest dostatecznym pretekstem.

- Popatrzył na nią z niepokojem. W szafirowej sukni, z rozpuszczonymi ciemnymi włosami była zjawiskowo piękna. Tak bardzo się o nią bał! - Eve - zaczął łagodnie - po co narażać się na niebezpieczeństwo? A jeśli w teatrze naprawdę coś się stanie? Pomyślałaś o tym?

Pomyślała, i to nieraz. Odkąd Reeve uprzedził ich o zagrożeniu, nie zaznała chwili spokoju. Bała się, ale strach nie działał na nią paraliżująco, nie zmniejszał jej determinacji.

- Napisałam tę sztukę - mówiła, poprawiając w lustrze włosy. - Wyprodukowałam ją, ale - podniosła głos, nie pozwalając sobie przerwać - nie to jest najważniejsze. Pierwszym powodem, dla którego muszę być dziś w teatrze jest to, że jestem twoją żoną.

Argument był mocny, jednak nie na tyle, by skłonił go do zmiany zdania. Chciał, żeby została w pałacu, bo tu była bezpieczna. Tu nie mogło spotkać jej nic złego, na zewnątrz zaś, wręcz przeciwnie.

- Kochanie, posłuchaj. Wiesz, że Reeve rzadko się myli. Chyba nie chcesz narażać siebie i dziecka? Rozumiem, że ta sztuka jest dla ciebie ważna, ale...

- Ty jesteś ważniejszy - wtrąciła szybko.

- Wobec tego zrób to, o co cię proszę.

Na moment zacisnęła zęby, chcąc w ten sposób przeczekać największe wzburzenie.

- Aleksandrze, a zostaniesz tu ze mną?

- Przecież wiesz, że zostałbym, gdyby to było możliwe. - Niecierpliwie przeczesał palcami włosy. - Nie mogę zamykać się w czterech ścianach za każdym razem, gdy Deboque nam grozi.

- No właśnie. Robisz to dla Cordiny. Nie zapominaj, że teraz to także moja ojczyzna.

- Eve, jesteś dla mnie najdroższa na świecie. Tak niewiele brakowało, abym cię stracił.

Znała go i wiedziała, że to ona musi zrobić pierwszy krok. Podeszła więc do niego i wzięła za rękę.

- Ty też jesteś dla mnie najdroższy - mówiła, patrząc mu głęboko w oczy. - Dlatego usiądę obok ciebie w królewskiej łoży, bo tam jest moje miejsce.

Hannah stała przed drzwiami książęcych apartamentów i dokładnie słyszała całą rozmowę. W takich chwilach z trudem godziła się ze swoją rolą w całej sprawie. Bissetowie dawno już przestali być dla niej symbolami pewnej monarchii. Pod każdym imieniem krył się człowiek, którego znała i lubiła. Zaprzyjaźniała się z nimi, choć dobrze wiedziała, że było to surowo zabronione.

Zamknęła oczy, policzyła do trzech, po czym energicznie zapukała.

- *Entrez!* - W głosie Aleksandra wyczuła rozdrażnienie, otworzyła więc drzwi, ale nie przestąpiła progu.

- Przepraszam, zdaje się, że przeszkadzam.

- Nic podobnego - odezwała się Eve ciepło i gestem zaprosiła ją do środka. - Widzę, że jesteś już gotowa.

Patrząc na skromną beżową suknię i gładkie uczesanie Hannah, poczuła lekki zawód. Miała nadzieję, że z czasem uda jej się namówić przyjaciółkę do złagodzenia surowego wizerunku.

- My też już schodzimy - dodała, biorąc Aleksandra pod ramię.

- Myślałam, że będę mogła w czymś pomóc.

- Ach, nie, sama sobie poradziłam. - Ton Eve był lekki, ale z jej oczu nie znikał wyraz troski. - Posłuchaj, Hannah, nie czuj się w obowiązku towarzyszenia nam podczas dzisiejszego spektaklu. Słyszałaś, że może nastąpić jakiś... nieprzewidziany wypadek, więc może wolałabyś zostać w domu?

- Ależ skąd! Idę z wami! I jestem pewna, że wszystko będzie w porządku. Skoro nie jestem ci potrzebna, zaczekam na dole.

Bennett od dłuższego czasu krążył po obszernym holu. Nawet z dzielącej ich odległości kilku metrów Hannah wyczuwała jego rozgorączkowanie. Nagle zdała sobie sprawę, że szukał kłopotów. Mało tego, sam gotów był je sprowokować.

- Jesteś już! - Uśmiechnął się i wziął ją za rękę. Niestety, nawet gdy miał ją tak blisko, nie mógł przestać myśleć o tym, co mogło się zdarzyć w teatrze. - Hannah, nie musisz z nami jechać. Prawdę mówiąc, byłbym dużo spokojniejszy, gdybyś została.

Poczucie winy ogarnęło ją niespodziewanie. Nim zdążyła zastanowić się, co robi, uścisnęła jego dłoń.

- Mówisz całkiem jak Eve - rzekła z udawaną bez troską. - A ja właśnie chcę być z wami. Nie sprawdzone informacje z anonimowego źródła to za słaby powód, żeby nie obejrzeć uroczystej premiery.

- Czy to przykład słynnego brytyjskiego męstwa?

- To przykład zdrowego rozsądku.

- Tak czy owak chciałbym, żebyś trzymała się blisko mnie. Co prawda w teatrze będzie tylu agentów, że mysz się nie przecisnie, ale wolę mieć cię cały czas na oku - śmiał się, prowadząc ją do drzwi.

- Eve i Aleksander już schodzą. Obiecałam na nich poczekać - rzekła, próbując go powstrzymać.

- Ochrona woli, żebyśmy się rozdzielili. Najpierw pojedziemy my, potem Eve i Aleksander, a ojciec na końcu.

- Skoro tak...

Zanim wsiedli do samochodu, spojrzała na rozgwieżdżone niebo, a potem dyskretnie dotknęła pistoletu leżącego na dnie wieczorowej torebki.

Wysprzedane zostały wszystkie bilety. Jeszcze na długo przed podniesieniem kurtyny na widowni był komplet. Kiedy Bissetowie pokazali się w łoży, publiczność zgotowała im prawdziwą owację.

Hannah uważnie przeglądała rzędy foteli. Była pewna, że jeśli Deboque jest w teatrze, na pewno wyłowi go w morzu ludzkich głów.

- Centrum zostało przeczesane dwukrotnie - szepnął stojący obok Reeve. - I nic.

Skinęła głową. Kiedy kurtyna poszła w górę, spokojnie usiadła na swoim miejscu.

Sztuka była spełnieniem najskrytszych marzeń Eve, jednak Hannah wątpiła, czy ktokolwiek z jej najbliższych mógł teraz uważnie śledzić to, co działo się na scenie. Kilka razy zerknęła na Bennetta i za każdym razem stwierdzała, że lustruje widownię.

Deboque'a tam nie było. Hannah byłaby zaskoczona, gdyby się zjawił. Jeśli nawet coś się wydarzy, on będzie daleko stąd. Zawsze potrafił zapewnić sobie żelazne alibi. Nie pozostało więc nic innego, jak tylko patrzeć. I czekać.

Kiedy po pierwszym akcie zapaliły się światła, Eve nie kryła ulgi. Czyżby jeszcze jeden fałszywy alarm? Nie. Hannah nie miała zamiaru wyprowadzać księżnej z błędu, sama jednak była przekonana, że niebawem coś się stanie. Czuła znajome mrowienie między łopatkami. Jedni nazywali to przecuciem, inni woleli mówić o instynkcie. Hannah bawiła się w tę niebezpieczną grę na tyle długo, by wiedzieć, że nie należy lekceważyć własnej intuicji.

Kiedy Bennett zapytał, czy ma ochotę się napić, poprosiła o coś zimnego. Po jego wyjściu szepnęła do Reeve'a:

- Pójdę się rozejrzeć.

- W porządku. Ja zostaję. Czuję w kościach, że coś będzie.

- Ja też. Deboque radził, żebym usiadła na widowni. Na wszelki wypadek zajrzę za kulisy.

Reeve nie był zachwycony tym pomysłem. Na szczęście Gabriella zajęła jego uwagę, a Hannah natychmiast to wykorzystała.

Dyskretnie wymknęła się z łoży i poszła w stronę damskiej łazienki. Gdy miała pewność, że nikt nie zauważy, błyskawicznie skręciła na klatkę schodową i zaczęła schodzić na dół. Miała nie więcej niż dziesięć minut.

Za kulisami panowało zwykłe podczas antraktu zamieszanie. Ani pracownicy obsługi, ani aktorzy zajęci zmianą kostiumów nie zwrócili na nią najmniejszej uwagi. Mogła więc swobodnie się rozejrzeć. Wprawdzie nie zauważyła niczego podejrzanego, ale mrowienie między łopatkami nie ustępowało.

Drzwi do garderoby Chantel były uchylone. Aktorka dostrzegła ją i po chwili wahania zawołała:

- Lady Hannah!

Nie wypadało udawać, że nie słyszy, więc chcąc nie chcąc, stanęła w progu.

- Dobry wieczór, panno O'Hurley. Jej Książęca Wysokość nie mogła przyjść osobiście, ale mogę panią zapewnić, że jest zachwycona pani grą.

- Miło mi. - Chantel nie przestawała robić makijażu. - A co pani myśli o sztuce?

- Ach, jest porywająca! A Julia w pani wykonaniu to popis prawdziwego mistrzostwa.

Aktorka podziękowała skinieniem głowy. Odłożyła kredkę, którą malowała oczy, i wstała od lustra.

- Pewnie pani wie - powiedziała, patrząc Hannah prosto w oczy - że jestem w show biznesie bardzo długo. Mam go we krwi. I chcę pani powiedzieć, że komediant zawsze rozpozna drugiego komedianta.

Hannah zachowała spokój.

- Na pewno - odparła z uprzejmym uśmiechem.

- Jeszcze nie zdecydowałam, czy panią lubię, ale na pewno pani nie ufam - wypaliła Chantel, poprawiając rękaw sukni. - Za to bardzo lubię i szanuję Bennetta. To jeden z niewielu mężczyzn, których zaliczam do swoich przyjaciół.

Hannah potrafiła docenić szczerość. Nie mogła odpłacić się Chantel tym samym, ale postanowiła odsłonić się na tyle, na ile pozwalał rozsądek.

- Chcę panią zapewnić, że także dla mnie Bennett jest kimś wyjątkowym. Kimś, na kim bardzo mi zależy.

Chantel milczała, ważąc jej słowa.

- Sama nie wiem dlaczego, ale wierzę pani. - Po chwili dodała, kręcąc głową: - Nie rozumiem, czemu odgrywa pani Jane Eyre, ale pewnie ma pani swoje powody.

Musiały przerwać rozmowę, bo inspicjent wzywał aktorów na scenę. Chantel w mgnieniu oka stała się Julią. Przechodząc obok Hannah, odezwała się scenicznym głosem swojej bohaterki:

- Kochana, przecież dobrze wiesz, że w beżowym wyglądasz fatalnie.

Kiedy zniknęła w mroku kulis, Hannah odetchnęła z ulgą. Dostała dobrą nauczkę. Jej maska nie była tak szczelna, jak jej się zdawało.

Szybko pokonała schody, ale i tak nie zdążyła na początek drugiego aktu. Usłyszała brawa, którymi publiczność powitała aktorów, a zaraz potem stłumiony huk eksplozji. Niespodziewanie teatr pogrążył się w ciemnościach.

Z dołu dochodziły okrzyki zaskoczonych widzów. W królewskiej loży ochrona natychmiast otoczyła Bissetów ciasnym murem. Zewsząd dobiegał szcęk odbezpieczanej broni.

- Zostańcie na miejscach - nakazał Reeve. - Wy dwaj, za mną!

Po omacku wydostali się do foyer.

- Poszukajcie jakieś latarki - rzucił wściekły, nerwowo grzebiąc w kieszeniach. Po chwili znalazł zapalniczkę. - Niech ktoś natychmiast biegnie do radiowężła. Trzeba uspokoić ludzi, bo zaraz zaczną panikować.

Ledwie zdążył to powiedzieć, z głośników popłynął zmysłowy głos Chantel:

- Panie i panowie, zostańcie na swoich miejscach. Mamy chwilowy problem z zasilaniem. Radzę wykorzystać okazję, by bliżej poznać sąsiada...

Widownia zareagowała nerwowym śmiechem.

- Dobra dziewczynka... - mruknął Reeve. - A teraz biegiem! Trzeba sprawdzić bezpieczniki.

Hannah nie wróciła! Bennett myślał o tym obsesyjnie, kręcąc się niecierpliwie w fotelu. Obok niego Aleksander szeptem uspokajał Eve. Tymczasem jego Hannah błąka się sama w ciemnościach. Nie może jej tak zostawić. Bez namysłu ruszył w stronę wyjścia.



- Wasza Wysokość! - Masywny ochroniarz od razu zastąpił mu drogę. - Proszę pozostać na miejscu.

- Odsuń się!

- Bennett! - Głos Armanda był cichy, ale stanowczy. - Proszę cię, usiądź! Za chwilę będzie już po wszystkim.

- Hannah nie wróciła! Cisza.

- Reeve się tym zajmie.

Bennett nie zamierzał czekać. Nie pozwalał mu na to honor i poczucie obowiązku. Tam była kobieta, którą kochał. Zdecydowanym ruchem odsunął ochroniarza i poszedł jej szukać.

Stała na schodach z bronią gotową do strzału. Szybko analizowała, co powinna robić: biec na górę do loży Bissetów, czy na dół, by sprawdzić zasilanie. Rozsądek nakazywał zrobić to drugie, ale serce mówiło co innego. Posłuszna jego głosowi, postanowiła sprawdzić, czy Bennett jest bezpieczny.

Zdażyła pokonać dwa stopnie, gdy na dolnym podeście cicho skrzypnęły drzwi. Skierowała lufę w dół i ostrożnie przechyliła się przez poręcz. Poniżej ktoś przyświecał sobie malutką latarką. Bezszelestnie pokonała resztę stopni i zaciągała się w rogu.

Po chwili usłyszała ostrożne kroki. Wychyliła się nieznacznie. W jej stronę szedł mężczyzna, z którym rozmawiała w muzeum. Miał na sobie granatowy kombinezon pracownika obsługi technicznej, w ręku niósł skrzynkę z narzędziami. Widząc tak profesjonalny kamuflaż, pokiwała głową z uznaniem.

Spokojnie odczekała, aż ją minął, po czym wysunęła się z ukrycia i przyłożyła mu lufę do żeber.

- Spokojnie - powiedziała półgłosem. - Przepraszam, że witam pana w taki sposób, ale wolałam nie ryzykować.

- *Mademoiselle!* - Głos miał opanowany, lecz wiedziała, że musiał być wściekły, że dał się podejść kobiecie. - Podobno miała się pani trzymać dziś z boku.

Cofnęła rękę, ale broń nadal miała w pogotowiu.

- Lubię wiedzieć, co się dzieje. Udało się panu wywołać spore zamieszanie - pochwaliła. - Szykuje pan dalsze niespodzianki?

Czuła, że jest gotowy zabić. Wolała jednak nie ciągnąć go za język, by nie wzbudzić podejrzeń.

- Jeśli nadarzy się okazja - burknął niechętnie. - A teraz przeproszę panią i wrócę do pracy.

- Oczywiście. - Nie mogła go dłużej zatrzymać. Najważniejsze, żeby jak najszybciej opuścił teatr. - Czy chce pan, żebym pomogła mu bezpiecznie wydostać się z budynku?

- Dziękuję, to już zostało załatwione. Doskonale. Proszę powiedzieć szefowi, że moja akcja nie będzie aż tak spektakularna, ale równie efektywna.

Właśnie mieli się rozejść, gdy na górze stuknęły drzwi.

- Hannah!

Słyszając głos Bennetta, zamarła. Domyśliła się, że człowiek Deboque'a sięga po broń, więc bez chwili namysłu chwyciła go za ramię.

- Nie bądź głupi - syknęła. - Jest ciemno, spudłujesz i zepsujesz mi robotę! Wyłącz to cholerne światło! Sama to załatwię.

Nie przekonała go, ale nie było czasu na dyskusję. Tak szybko, jak było to możliwe, pobięła w stronę schodów.

- Bennett! - Nie musiała udawać niepokoju. Niemal drżąc, rzuciła mu się w ramiona i osłoniła go własnym ciałem.

- Hannah! Co tu robisz?

- Zgubiłam się po ciemku.

- Na miłość boską! Jakim cudem zesłaś prawie na sam dół?

- Nie wiem. Przestraszyłam się i... musiałam stracić orientację. Proszę cię, wracajmy do łóża.

- Dobrze, że nic ci się nie stało. Mogłaś sobie skrócić kark na tych schodach. - Chciała ją od siebie odsunąć, ale przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

- Pocałuj mnie! - poprosiła.

- Skoro nalegasz...

Bez namysłu odwzajemniła pocałunek, ale jej głowa pozostała chłodna. Poza jego plecami odnalazła klamkę i położyła na niej dłoń, gotowa w każdej chwili wepchnąć go do środka. Wyobrażał sobie, jak bardzo musiała być przestraszona, więc całował ją delikatnie i tulił do siebie. Potem ujął jej twarz w dłonie i szeptał kojące słowa.

Nagle rozbrzły wszystkie światła.

To, co stało się potem, miał zapamiętać do końca życia. Wydarzenia potoczyły się tak szybko, że nie zdążył się przestraszyć. Najpierw poczuł się zaskoczony, potem przyszło gorzkie rozczarowanie.

Kiedy zrobiło się jasno, przestali się całować. Hannah czuła, że człowiek Deboque'a nie opuścił teatru i teraz tylko czeka, by wykorzystać okazję. Bez chwili wahania popchnęła

Bennetta na drzwi i błyskawicznie obróciła się do niego plecami. Zamachowiec właśnie wyciągał broń, ale ona była szybsza.

Bennett zauważył mężczyznę szykującego się do strzału. Z całych sił odepchnął się od ściany, desperacko próbując zasłonić sobą Hannah. Nie zdążył. Nim zdołał jej dosięgnąć, oddała strzał.

Jak skamieniały patrzył na mężczyznę osuwającego się bezwładnie na podłogę. Potem przeniósł wzrok na pistolet, który Hannah trzymała w pogotowiu. Zdziwienie przyplętnęło i odpłynęło niczym fala. Potem nie czuł już nic. Kiedy się odezwał, jego głos był całkiem beznamiętny.

- W co ty grasz? I po czyjej stronie?

Pierwszy raz w życiu zabiła człowieka. Ćwiczyła to nieskończoną ilość razy na szkoleniach, ale dotąd dopisywało jej szczęście. Patrzyła na sztywniejące ciało niedoszedłego zabójcy i na własny pistolet, który wydał jej się dziwnie obcy i śliski. Była blada, ale jej oczy lśniły niezdrowym blaskiem.

- Wszystko ci wyjaśnię - szepnęła głucho - ale nie w tej chwili, dobrze? - Słyszac dudnienie kroków na schodach, wzięła się w garść. - Zaufaj mi - dodała dużo pewniejszym tonem.

- To ciekawa prośba, zwłaszcza po tym, co przed chwilą widziałem. - Odsunął ją na bok i ruszył w stronę nadbiegających strażników.

- Bennett, błagam! - Mocno chwyciła go za rękaw. - Powiem ci wszystko, co wolno mi powiedzieć. Będziesz mógł to sprawdzić u Reeve'a albo swojego ojca.

- Mojego ojca?

- Dla jego dobra, dla dobra swojej rodziny, odegraj to ze mną do końca! - szepnęła i nie czekając na jego reakcję, wepchnęła mu do ręki pistolet.

Tak ich zastał Reeve, gdy na czele grupy strażników wbiegł na korytarz.

- Ten człowiek chciał zastrzelić księcia. - Hannah nie histeryzowała, ale jej głos drżał z emocji. Mocno oparła się o Bennetta. - Chciał go zabić! Gdyby księżę nie... - Urwała, tuląc się do jego piersi.

Nie odepchnął jej, ale też nie otoczył ramieniem. Ani nie znalazł słów pocieszenia. Po prostu stał i bez słowa wpatrywał się w Reeve'a.

Ten zaś szybko przyklęknął obok martwego zamachowca, a potem podniósł wzrok na Bennetta.

- Twoje szczęście, że jesteś szybki. I celny stwierdził ponuro. - Gdyby zdążył wywalić do ciebie z tej czterdziestki piątki, nie byłoby czego zbierać. Spróbujemy jakoś to zatuszować.

- Jasne. - Bennett ściągnął usta.

- Wracajcie do łóży - poprosił Reeve. - I nie mówcie o niczym rodzinie. Załatwimy to w domu. Policja wejdzie tylnym wyjściem.

Bennett zdecydowanym ruchem ręki nakazał strażnikom zrobić przejście. Hannah po raz pierwszy była świadkiem jego wyniosłego zachowania.

- Chcę z tobą porozmawiać - rzucił krótko, patrząc Reeve'owi twardo w oczy. - Teraz. Na osobności.

Nie było sensu się spierać. Reeve od razu zorientował się, że Bennett widział zbyt dużo.

- W porządku. Spotkajmy się w gabinecie Eve. Daj mi pięć minut, żeby się mógł z tym uporać.

- Niechętnie wskazał ręką zwłoki.

- Masz dziesięć - powiedział Bennett, po czym odwrócił się i odszedł.

- Chcę wracać do pałacu - odezwała się Hannah.

- Nie czuję się dobrze.

- Oczywiście. Wydam ludziom rozkazy i zaraz odprowadzę panią do samochodu - rzekł Reeve. - Co się stało? - zapytał suchym, służbowym tonem, gdy odeszli na tyle daleko, by nikt nie mógł ich usłyszeć.

Kolana jej drżały, ale zapanowała nad nerwami. Krótko zdała mu relację z przebiegu zdarzeń.

- Co za cholerny pech! - zdenerwował się. - Trudno, jakoś z tego wybrniemy. Najważniejsze, że historia trzyma się kupy. Bennett ma opinię wyborowego strzelca. Muszę tylko jakoś go ugłaskać. - Westchnął ciężko, wiedząc, że sprawa nie będzie łatwa. - Jutro rano omówimy szczegóły i przygotujemy wersję, którą przedstawiś Deboque'owi.

- On mi nigdy nie wybaczy - szepnęła.

Reeve domyślił się, że nie miała na myśli Deboque'a.

- Spokojnie. Bennett nie jest pamiętliwy. Wścieknie się, że nie został wtajemniczony w całą sprawę, ale na pewno nie będzie winił za to ciebie.

- Obawiam się, że się mylisz.

Od dwóch godziny siedziała nieruchomo przy oknie i wpatrywała się w gęsty mrok ogrodu. W pałacu było cicho jak makiem zasiał. Bissetowie na pewno wrócili już z teatru, ale ona tego nie słyszała. Pokoje gościnne umieszczone były w najspokojniejszej części budynku.

Domyślała się, jak Bennett zareagował na wyjaśnienia Reeve'a. I nie miała żadnych złudzeń, że to właśnie ją obarczy całą winą. Trudno. Nie zamierzała tłumaczyć się ani przepraszać za to, kim jest. Jeśli będzie musiała, potrafi znieść jego gniew.

Kochała go. Nawet gdyby miała prawo powiedzieć mu o tym, pewnie i tak by nie uwierzył. Dziś wieczór była gotowa za niego umrzeć. Nie tylko z poczucia obowiązku, nie tylko z powodu honoru, ale przede wszystkim z miłości. Dobrze, że on nigdy się o tym nie dowie. Tak będzie lepiej i bezpieczniej dla nich obojga. Jeszcze nie zakończyła swojej misji.

Zrezygnowana, opuściła głowę. Niespodziewanie zatęskniła za Londynem. Za chłodem, wilgocią i zapachem Tamizy.

Nie zapukał do drzwi. Uznał, że czas dobrych manier, formalności i grzecznego zabiegania o jej względy minął bezpowrotnie. Gdy wszedł, siedziała przy otwartym oknie. Zwinięta w fotelu, położyła ramiona na parapecie i na nich oparła głowę. Rozpuszczone włosy opadały ciężką kurtyną na białą koszulę nocną. Wyglądała jak marzycielka podziwiająca urodę księżycowej nocy. Niestety, Bennett nie dowierzał już w temu, co widział. A tym bardziej temu, co czuł.

Kiedy stuknęły drzwi, skoczyła na równe nogi. Nie spodziewała się go o tej porze. Sądziła, że będzie chciał pomówić z nią rano. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz, a miała pewność, że musi spodziewać się najgorszego.

- Rozmawiałeś z Reeve'em?

- Tak.

- A z ojcem?

- Porozmawiam z nim jutro, ale to nie powinno cię obchodzić.

- Obchodzi mnie o tyle, o ile wynik tej rozmowy będzie miał wpływ na moją sytuację.

- Wbrew temu, co sądzisz, nie jestem skończonym idiotą. Twoja sytuacja w niczym się nie zmieni.

Wyjął z kieszeni pistolet i położył go na nocnym stoliku.

- Proszę, twoja własność.

Nie przebaczy jej. Myślała, że jest do tego przygotowana. Myliła się.

- Dziękuję - rzekła chłodno, chowając broń do szuflady.

- Doskonale pani strzela, lady Hannah.

- Miałam dobrych nauczycieli. Brutalnie chwycił ją za ramię.

- O, tak! Ale dobrzy nauczyciele to za mało. Jakie jeszcze talenty ukrywasz? Po mistrzowsku oszukujesz, to na pewno. A poza tym? Iloma kobietami potrafisz być jednocześnie?

- To zależy od zadania, które dostanę. Wybacz, jest późno, a ja czuję się zmęczona.

- Nic z tych rzeczy, moja droga. - Wolną ręką chwycił ją za włosy. Myślał o tym, co z jej powodu przeżył jednego wieczoru. Strach, przerażenie, wreszcie zdradę. - Tym razem nie dam się ogłupić. Cicha, dystygowana angielska dama już na mnie nie działa. Wykładaj karty na stół, Hannah.

Nienawidziła się bać. Uważała strach za wyjątkowo poniżające uczucie. Teraz jednak nie umiała się przed nim bronić. Nie lękała się, że Bennett ją uderzy, albo że swoim porywczym zachowaniem przekreśli wszystko, co zdołała osiągnąć. Bardziej niż bólu i klęski bała się tego, że zawsze już będzie na nią patrzył z pogardą.

- Nie sądzę, żebym mogła powiedzieć ci wiele więcej, niż usłyszałeś od Reeve'a. Operacja, w której biorę udział, jest przygotowywana od dwóch lat. Międzynarodowe służby bezpieczeństwa chciały wprowadzić swojego agenta w szeregi...

- To już faktycznie słyszałem - przerwał jej w pół słowa. Puścił ją i cofnął się, ale dłonie miał zaciśnięte w pięść. - Podobno powinienem być ci wdzięczny, że jesteś taka dobra w tym, co robisz.

- Nie potrzebuję wdzięczności, tylko współpracy.

- Więc trzeba było od razu o nią poprosić. Uniosła nieco głowę.

- Bennett, to, co robię, nie zależy od mojego widzimisię. Ja wykonuję rozkazy. Byłeś w wojsku, więc wiesz, o czym mówię.

- Wiem również, czym jest honor. - Rozwścieczony, znowu chwycił ją za ramiona. - Wciągnęłaś mnie w swoją grę. Wykorzystałaś to, co do ciebie czułem.

- Nie powinieneś być w ogóle nic do mnie czuć.

- Nie zawsze mamy na to wpływ. Za to w innych kwestiach pozostaje nam wolny wybór. Czy musiałaś użyć mnie do swoich celów?

- Mam zadanie do wykonania. Poza tym musisz przyznać, że nie zachęcałam cię ani nie prowokowałam. Wręcz przeciwnie.

- Ale wiedziałaś, że mi na tobie zależy, że cię pragnę.

- Nie chciałam, żeby tak było.

- Znowu kłamiesz!

- Nie! - Szarpnęła się, ale chwycił ją jeszcze mocniej. - Nie szukałam twojego towarzystwa. Może to był błąd. Może gdybym się od razu z tobą przespała, dałbyś mi spokój. Atak, potraktowałeś mnie jak kolejne wyzwanie.

- Gdybym chciał pójść z tobą do łóżka, już byś tam dawno była!

- Nie bywam tam, gdzie być nie chcę! - warknęła. - Jesteś wściekły, bo ucierpiała twoja miłość własna. To dlatego...

Nie dokończyła, bo jednym mocnym pchnięciem przewrócił ją na łóżko. Zanim ruszyła choćby palcem, położył się na niej i przycisnął tak mocno, że nie mogła się ruszyć. Ostrzegano ją, że Bennett może stracić panowanie nad sobą. Jednak to, co wyczytała w materiałach, nie oddawało nawet w połowie tego, co widziała w tej chwili.

- Miłość własna... - syknął przez zęby. - Więc ty naprawdę uważasz, że jestem taki, jakim chcę mnie widzieć brukowce. Skoro tak, zrobię wszystko, żebyś nie czuła się rozczarowana.

Gwałtownie skrzyżowała nogi, dzięki czemu niemal udało jej się go zrzucić. Był jednak tak silny, że bez trudu sobie z nią poradził. Jedną ręką chwycił ją za gardło, drugą przytrzymał ramiona.

- Co chcesz przez to osiągnąć? - wydusiła ochryplym głosem. - Chyba tylko to, że ponizysz i mnie, i siebie!

Nie obchodziło go to. Przestał odróżniać dobro od zła, prawdę od kłamstw.

- Do niedawna byłaś mi bardzo bliska, bardzo droga. Chciałem ci okazać czułość, łagodność, uwielbienie. Tamtej kobiety już nie ma. A z tobą nie muszę się bawić w subtelności.

- Bennett! Nie rób tego! - powiedziała cicho, choć dobrze wiedziała, że jest już za późno.

- Dlaczego? Przed nami noc namiętności i kłamstw.

- Nie zgwałcisz mnie!

- Oczywiście, że nie. Po co? I tak będę cię miał.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zdawało jej się, że martwa cisza będzie trwała wiecznie. Wtuliła się w nią i czekała, aż Bennett sobie pójdzie. Ciemność była bezpiecznym schronieniem. Pod jej osłoną mogła śmiało przyznać się samej sobie, że nigdy już nie będzie taka jak dawniej. Twarda zbroja, pod którą chowała swą prawdziwą naturę, została przebita. Bennett zdobył kobietę, której nienawdził. A ona go kochała. Nie mogła mu powiedzieć, że w duszy opłakała już śmierć tej miłości. Miłości, której tak naprawdę nigdy nie miała, ale za którą będzie tęskniła do końca życia.

Z całego serca pragnął ją przytulić, dotknąć miękkich włosów i rozgrzanej skóry. Wiedział, że już nigdy nie będzie mógł tego zrobić. W złości wziął to, co pragnął zdobyć czułością. Czuł się z tym podle. Dręczyło go trudne do zniesienia poczucie winy, którego nie łagodziło nawet to, że czuł się pokrzywdzony.

Kobieta, którą pokochał, nie istniała. Była fatamorganą, czystą iluzją. Przed chwilą zaś stało się to, czego zawsze konsekwentnie unikał. Kochał się z kobietą, której zupełnie nie znał. I co gorsza, stracił dla niej głowę.

Chciał zapytać, czy w swym zapamiętaniu nie zrobił jej przypadkiem krzywdy. Wybrał jednak milczenie. Gdyby zaczął ją teraz przeproszać, wyszedłby na kompletnego głupca. Nie chciał poniżyć się w oczach nowej Hannah. Zapomniał się, powodowany bólem i złością poświęcił swój honor. Została mu jeszcze duma, i tego musiał się trzymać.

Podniósł się i usiadł na brzegu łóżka. Przeczesał włosy dłońmi, potem zasłonił nimi twarz. Nie patrzył na Hannah. Zastanawiał się tylko, jakim cudem mógł ją nadal kochać, skoro była kimś obcym.

Ubierał się szybko i w milczeniu. Hannah leżała bez ruchu tam, gdzie ją zostawił.

- Jesteśmy kwita - mruknął. - Oboje jednakowo wykorzystani.

Otworzyła oczy. Były suche, bo miała w sobie ciągle dość siły, by powstrzymać łzy. Zmusiła się, by na niego spojrzeć. Stał obok łóżka, w samych spodniach, z pomiętą białą koszulą w zaciśniętej pięści.

- Wyrównaliśmy rachunki - szepnęła.

- Tak myślisz? - Zacisnął palce tak mocno, że zbieleły mu kostki. W pierwszym odruchu chciał do niej podejść, ale dał za wygraną. Nie mówiąc nic więcej, wyszedł i zostawił ją samą.

Hannah do świtu leżała zwinięta w kłębek i wsłuchiwała się w ciszę.



- Domyślam się, że masz pytania. - Książę Armand darował sobie zbędne wstępy. Poranne słońce bezlitośnie demaskowało ślady nie przespanej nocy. Dla obu stało się jasne, że żaden nie zmrużył oka.

- Obiecuję, że na nie odpowiem, przedtem jednak chciałbym, żebyś mnie wysłuchał.

Idąc do ojca, Bennett aż kipiał z gniewu. Chciał wykrzyczeć swoją złość, domagać się wyjaśnień, żądać przeprosin. Wystarczyło jednak, że spojrział na szarą, zmęczoną twarz, i zmienił ton. Ojciec wydał mu się nagle stary i bezbronny.

- Niech tak będzie, ojczu. Słucham - zgodził się i szybko nalał sobie mocnej kawy.

- Nie usiądziesz?

- Nie.

Arogancki ton nie spodobał się Armandowi. Chciał przywołać syna do porządku, jednak nie zrobił tego.

- A ja owszem - westchnął ciężko. Usiadłszy, odsunął na bok filiżankę z nie dopita, zimną już kawą. - Dwa lata temu spotkałem się tu z Reeve'em i Malorim. Ty i Aleksander byliście przy tym obecni.

- Tak. Zastanawialiśmy się wtedy, co zrobić z Debokiem.

- Właśnie. Jak zapewne pamiętasz, Reeve już wtedy mówił, że chciałby włączyć do tej sprawy agenta ISS.

- Tak. Zdecydowaliśmy, że ja i Aleksander nie poznamy jego nazwiska. O ile sobie przypominam, Maloriemu nie spodobał się wybór Reeve'a.

- Malori to doskonały specjalista, bodaj najlepszy w kraju. Niestety, trochę staroświecki. Był przeciwny wprowadzaniu do akcji kobiety.

Bennett szybko przełknął gorzką kawę.

- Ojczu, uważałem wtedy, i nadal uważam, że Aleks i ja powinniśmy być informowani o wszystkim, co się dzieje. Mieliliśmy prawo poznać całą prawdę o osobie, którą przedstawiono nam jako przyjaciółkę rodziny.

- Ja zaś uważałem, i nadal uważam - rzekł Armand zdecydowanym głosem - że nie należało was wtajemniczać. Oczywiście, gdyby coś się ze mną stało, Aleks zostałby na pewno o wszystkim poinformowany, ale...

- Ale ponieważ ja nie jestem następcą tronu, mogę żyć w błogiej nieświadomości, tak?

- natarł Bennett. - Czy to, że urodziłem się jako drugi, automatycznie oznacza, że mniej mnie obchodzi mój kraj i moja rodzina?

Armand milczał. Ból głowy dokuczał mu coraz bardziej, więc przymknął oczy, w nadziei że przyniesie mu to ulgę.

- Nigdy nie uważałem, że kochasz mniej. Wręcz przeciwnie - odparł łagodnie. - Wiele można ci zarzucić. Popędliwość, ryzykanctwo, wywoływanie skandali. Jednym słowem wszystko, z wyjątkiem braku uczuć i wrażliwości.

- Więc dlaczego w obliczu zagrożenia ukrywałeś przed mną swoje plany?

- Bo byłem zdania, że tak będzie lepiej.

- Dobrze, zostawmy to. - Bennett uznał, że nie ma sensu drążyć tego tematu. Były inne, które w tej chwili obchodziły go bardziej. - Dlaczego wybraliście Hannah?

- Reeve twierdził, że właśnie ona posiada cechy, które gwarantują powodzenie operacji. Jest doskonałą agentką. Pracuje dla ISS już od dziesięciu lat.

- Jakim cudem? Przecież jest taka młoda!

- Hannah jest już drugą generacją. Wprawdzie jej ojciec przeszedł na emeryturę, ale nadal uchodzi za niedościgniony wzór wśród agentów ISS. Właśnie on szkolił Reeve'a.

- Dziesięć lat... - powtórzył Bennett. W ilu wcieleniach zdążyła już wystąpić? Ile kłamstw wyszło z jej ust?

- Wiele wskazuje na to, że Hannah ma wrodzone predyspozycje do tej pracy - zauważył Armand. Zignorował groźny błysk, który po tych słowach pojawił się w oczach Bennetta, i spokojnie mówił dalej: - Po przeczytaniu raportu przygotowanego przez Reeve'a zaakceptowałem jego wybór. Hannah była wprost stworzona do realizacji naszych planów.

- Deboque często posługuje się kobietami - mruknął.

- Zwłaszcza takimi jak ona. Młodymi, inteligentnymi, pochodzącymi z dobrych rodzin - wyliczał Armand. - Spreparowano dla Hannah odpowiedni życiorys. Dzięki temu zdołała przeniknąć do organizacji Deboque'a i w ciągu dwóch lat udało jej się dotrzeć na sam szczyt.

- Na szczyt? - Bennett poczuł, jak z przerażenia oblewa go zimny pot. - Możesz powiedzieć mi coś bliższego?

- Hannah spotkała się z Debokiem i zajęła miejsce jego najbliższego współpracownika.

Strach o nią ustąpił miejsca rozgoryczeniu. Z tym zaś Bennett potrafił sobie łatwiej poradzić.

- Rzeczywiście musi być niezła - mruknął niechętnie.

- Nie ma wyboru. Agent, który bawi się w taką grę, albo wygrywa, albo ginie. Sam wiesz najlepiej, że Deboque nie ma żadnych skrupułów. Dane personalne Hannah były utrzymywane w ścisłej tajemnicy nie po to, by chronić ciebie albo naszą rodzinę, ale by chronić ją.

- Chyba trochę przesadziliście z ostrożnością - zauważył cierpko.

- Synu, rozumiem twoje rozgoryczenie. Chcę ci jednak powiedzieć, że trzech ludzi, którzy wcześniej zajmowali się tą sprawą, stracili życie. Ostatni został poćwiartowany i odesłany do ISS w trzech częściach. - Armand zrobił pauzę i ze współczuciem patrzył na bladą twarz Bennetta. Jako ojciec najchętniej oszczędziłby mu takich szczegółów, ale obiecał powiedzieć synowi prawdę. - Gdyby Hannah została zdemaskowana, nikt nie byłby w stanie jej uratować. Teraz, kiedy wiesz o niej wszystko, ryzyko jest nawet jeszcze większe.

Bennett przestał krążyć po pokoju i usiadł naprzeciwko ojca.

- Ja ją kocham.

- Tego się obawiałem.

- Nie będę stał z boku i przyglądał się, jak Deboque załatwia kolejną bliską mi osobę.

- Synu, jesteś dorosły i wiesz, że czasem trzeba zapanować nad emocjami. One są bardzo złym doradcą.

- Może dla ciebie i dla Aleksa, ale nie dla mnie. Wiem jedno. Chcę własnoręcznie zabić Deboque'a.

Armand poczuł strach. I dumę. Opanował się jednak i powiedział stanowczo:

- Ostrzegam, że jeśli zrobisz teraz coś, co zakłóci przebieg operacji, odpowiedzialność za śmierć Hannah spadnie wyłącznie na ciebie.

Doprowadzony do ostateczności, Bennett pochylił się w stronę ojca i Wycedził:

- A czy ty rozumiesz, że ja ją kocham? Gdybyś był na moim miejscu, siedziałbyś z założonymi rękami?

Armand patrzył mu w oczy, myśląc o jedynej miłości swego życia.

- Powiem ci tylko - zaczął spokojnie - że zrobiłbym wszystko, żeby nie narażać jej na niebezpieczeństwo. Nawet gdyby „wszystko” znaczyło w tym przypadku „nic”. Rozumiesz? - Wstał i wyjął z kartoteki grubą teczkę. - Przeczytaj to - powiedział, podając ją Bennettowi. - Znajdziesz tam życiorys Hannah, raporty o niej i jej własne notatki z różnych akcji. A także dokładne informacje na temat jej roli w sprawie Deboque'a. Zostawiam cię samego. I przypominam, że materiały są ściśle tajne.

- Gdzie Hannah teraz jest?

Armand miał nadzieję, że to pytanie nie padnie. Stało się inaczej, więc musiał być szczery do końca.

- Pojechała do Deboque'a.

Wiedziała, że musi rozegrać tę partię ostrożnie. Jeśli Deboque nabierze choćby cienia podejrzenia co do roli, jaką odegrała w zdarzeniach z teatru, jego ludzie poderzną jej gardło, zanim dąży zaprzeczyć. Ryzyko zawodowe, pomyślała chłodno, a chcąc sprawdzić stan

swoich nerwów, sięgnęła po porcelanowy dzbanek do kawy. Kiedy nalewała ją do filiżanek, dłonie jej nie drżały.

Zmobilizowała się i skupiła na swoim zadaniu. Gdyby nie żelazna siła woli, cały czas myślałaby o Bennecie.

- Lady Hannah. - Deboque energicznie wszedł do salonu. Tym razem spotkali się w wynajętej, eleganckiej willi. - Cieszę się, że znów panią widzę.

- Wiadomość, którą otrzymałam dziś rano, sugerowała coś zgoła innego.

- Przyznaję, byłem nieco szorstki. - Zbliżył się i pocałował ją w rękę. - Proszę mi wybaczyć. Wszystko przez wczorajsze wydarzenia, Muszę przyznać, że wytrąciły mnie z równowagi.

- Mnie również. - Nie pozwoliła, by zbyt długo trzymał jej dłoń. Instykt podpowiadał jej, że powinna udawać obrażoną. - Zaczynam się zastanawiać, czy dobrze wybrałam pracodawcę.

Usiadł obok i sięgnął po cygaro. Tym razem zamiast brylantów miał na palcach szmaragdy.

- Proszę mówić jaśniej.

- Nie dalej jak miesiąc temu musiałam wyczyścić sprawę, którą spaskudził jeden z pańskich ludzi.

Wczoraj następny o mały włos nie zrujnował tego, co z wielkim trudem budowałam.

- Proszę się uspokoić, *mademoiselle*. Przypominam, że radziłem trzymać się z boku.

- Ja zaś pragnę przypomnieć, że nie byłabym, gdzie dziś jestem, gdybym nie pilnowała własnych interesów. Gdybym wczoraj nie poszła za Bennetem, spotkalibyśmy się dzisiaj w mniej komfortowych warunkach.

Deboque wolno wypuścił obłok dymu.

- Poproszę o szczegóły.

- Bennett szybko znudził się sztuką i po pierwszym akcie postanowił pójść do garderoby swojej dawnej kochanki. Ponieważ wiedziałam, że pan coś szykuje, postanowiłam mieć go na oku. Powiem krótko. Gdybym po tym, jak zgasły światła, wróciła do łóżka, być może księżę by nie żył...

- I za to oczekuje pani wdzięczności?

- Księżę by nie żył - powtórzyła chłodno - a pański człowiek siedziałby w areszcie.

Napije się pan kawy?

- Chętnie. - Kiedy napełniała filiżankę, cały czas patrzył jej na ręce.

- MacGee i jego ludzie już go prawie mieli. Widziałam pańskiego człowieka - powiedziała zdegustowana. - Biegał po korytarzach i świecił sobie latarką. Bennett również go zauważył. Próbowałam go odciągnąć, udając atak hysterii, ale idiota, którego pan tam posłał, nie wykorzystał tego. Kiedy zapaliło się światło, stał na środku korytarza i wymachiwał bronią gotową do strzału. Powinno panu pochlebiać, że odkąd wyszedł pan na wolność, książkę nosi przy sobie mały pistolet. Na szczęście wczoraj zrobił z niego dobry użytek. Martwi nie mogą sypać - prychnęła, po czym wstała z sofy. - A teraz proszę odpowiedzieć mi na jedno pytanie. Czy ten nieszczęsny głupiec dostał rozkaz zabicia Bissetów? I czy wątpi pan, że jestem w stanie wywiązać się z naszej umowy?

Powiedz to, zaklinała go w myślach. Powiedz to wreszcie, jasno i wyraźnie, i niech będzie z tym koniec!

Chmura wonnego dymu żeglowała ku górze, zasnuwając na moment jego twarz.

- Moja droga - rzekł spokojnie - proszę się nie unosić. Nie warto. Człowiek, o którym pani mówi, otrzymał wskazówki, że jeśli nadarzy się okazja, może z własnej inicjatywy to wykorzystać. Jednakże nie dostał ode mnie żadnych konkretnych rozkazów. Co do drugiego pytania, to ma pani moje pełne zaufanie.

- Zawarliśmy umowę. W zamian za pięć milionów dolarów zlikwiduję Bissetów.

Uśmiechnął się jak hojny wujek.

- Powiedzieliśmy tylko, że jeśli coś takiego będzie miało miejsce, zostanie odpowiednio nagrodzone.

- Mam dość słownych gier! - rzuciła i prowokacyjnie sięgnęła po torebkę. - Skoro nie chce pan być ze mną szczery i jasno określić warunków umowy, nie widzę sensu ciągnąć tego dalej.

- Siadaj! - rozkazał krótko. Zatrzymała się w połowie drogi do drzwi, ale nie wróciła na miejsce.

- Zapominasz się. Nikt z moich ludzi nie wychodzi, póki nie dostanie mojej zgody.

Domyślała się, że pod drzwiami czekają uzbrojeni strażnicy, którzy na jedno skinienie rozszarpią ją na strzępy. Postanowiła jednak zaryzykować. Zakładała, że jej arogancja zrobi na nim wrażenie.

- Może będzie lepiej, jeśli poszukam sobie innego pracodawcy - powiedziała, patrząc mu śmiało w oczy. - Nie lubię, kiedy gra nie ma jasno określonych reguł.

- Proszę pamiętać, że to ja rozdaję karty. Powtarzam po raz ostatni, usiądź!

Tym razem go posłuchała. Okazała przy tym nieco zniecierpliwienia, lecz chciała, by zobaczył, że umie się kontrolować.

- Niech mi pani powie, jak na to zareagowali Bissetowie.

- Jak zwykle, z godnością. - Lekceważąco wzruszyła ramionami. - Bennett jest z siebie zadowolony. Armand się martwi, Eve leży w łóżku, Gabriella ją obsługuje. MacGee z samego rana zamknął się w pokoju z Malorim. Wie pan, o kim mówię?

- Owszem.

- Generalnie, Bissetowie wierzą, że zamachowiec chciał pod osłoną ciemności dostać się do ich łoża.

- To logiczne - stwierdził. O taki efekt mu chodziło. - Gdyby powystrzelał ich tam jak kaczki, urządziłby widowisko w bardzo złym stylu. A jak pani się poczuła, moja droga, będąc świadkiem zabójstwa?

- Byłam zaszokowana i udawałam, że jest mi słabo. Mimo to starałam się być dzielna. Rozumie pan, my, Brytyjczycy, jesteśmy tacy mężni...

- Doceniam wysoką jakość - powiedział zniechęcony. - I gratuluję postawy. Choć muszę powiedzieć, że wygląda pani tak, jakby całą noc nie zmrzyła oka.

Nie mogła teraz myśleć o Bennecie. To byłby karygodny błąd.

- Wypiłam hektolitry kawy, dzięki czemu rzeczywiście nie mogłam spać - wyjaśniła nonszalancko, czując w żołądku nieprzyjemny ucisk. - W pałacu myślą, że poszłam na spacer, żeby nieco ochłonać po traumatycznych przeżyciach zeszłej nocy - dodała, szykując się do wyciągnięcia atutowego asa. - Czy pan wie, że cała rodzina królewska weźmie udział w balu bożonarodzeniowym?

- Taka jest tradycja.

- Tyle że w tym roku Gabriella przyjedzie nieco wcześniej, by pomóc Eve. Jej rodzina rezyduje w tym samym skrzydle co książęca para.

- Interesujące.

- I zobowiązujące. Takiej okazji nie można przegapić. Chciałabym złożyć zamówienie na trzy ładunki wybuchowe.

Deboque tylko skinął głową.

- Najmłodszy książę mieszka w innym skrzydle - zauważył.

- Nie szkodzi. Spiesząc na ratunek rodzinie, ulegnie śmiertelnemu wypadkowi. Niech pan zacznie gromadzić moje pięć milionów. - Uśmiechnęła się, wstając, ale nie zrobiła kroku w stronę drzwi. Wyraźnie dawała do zrozumienia, że czeka na pozwolenie.

Deboque także wstał, ale zamiast się pożegnać, podszedł do niej i wziął ją za rękę.

- Po świętach planuję zrobić sobie dłuższe wakacje. Chcę pozeoglować, posiedzieć na słońcu. Jednak taka wyprawa bez odpowiedniego towarzystwa nie ma uroku.

Żołądek podszedł jej do gardła. Miała nadzieję, że nie spostrzeżę, iż wstrząsnęła się z obrzydzenia.

- Kocham słońce - odparła. Nie cofnęła się, gdy stanął bardzo blisko. - Legenda głosi, że porzuca pan kobiety z taką samą łatwością, z jaką je zdobywa - dodała z uśmiechem.

- Porzucam je tylko wtedy, kiedy mi się znudzą. - Położył dłoń na jej karku i pieszczotliwie pogładził. Jego lekki dotyk znów przypomniał jej pajaka. - Mam przecucie, że pani będzie umiała mnie zabawić. Nie szukam w kobiecie urody. Znacznie bardziej pociąga mnie intelekt. Czuję, że byłoby nam razem dobrze.

Zesztywniała. Gdyby ją pocałował, dostałaby torsji. W ostatniej chwili lekko się uchyliła.

- Niewykluczone... Jednak najpierw musimy załatwić interesy.

Zacisnął palce na jej karku, ale zaraz ją puścił. Czerwone ślady, które po nich zostały, utrzymywały się jeszcze przez długie minuty.

- Jest pani ostrożna, lady Hannah.

- Nie przeczę. Dlatego zanim zostaną pańską kochanką, chcę zobaczyć na swoim koncie pięć milionów. A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałabym już wracać. Zaraz zaczną mnie szukać.

- Oczywiście, może pani odejść.

- Do końca tygodnia muszę otrzymać to, o co prosiłam.

- Wkrótce dostanie pani świąteczny prezent od ciotki z Brighton.

Skinęła głową i wyszła.

Deboque wrócił na sofę. Usiadł wygodnie i dopalając cygaro pomyślał o tym, że bardzo ją polubił. Nawet trochę żałował, że będzie musiał ją zabić.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Bennett skończył czytać akta dopiero późnym popołudniem. Niektóre z materiałów zadziwiły go, inne przeraziły, jeszcze inne wprawiły we wściekłość. I choć przeczytał każde słowo, nadal nie był pewien, czy zdołał poznać Hannah.

Mimo to chciał z nią porozmawiać. Zdawał sobie sprawę, że może być już za późno, niemniej chciał spróbować. Zwłaszcza że teraz sam przystąpił do spisku. Myślał o tym, idąc do apartamentów Eve. O tym, co przeczytał i usłyszał, nie mógł powiedzieć nawet bratu, podobnie jak nie wolno mu było uspokoić siostry, wyznając jej, że Deboque został namierzony. Zaczynał rozumieć, jak to jest, kiedy człowiek nie ma wyboru. Teraz on, tak jak Hannah, musi grać swoją rolę do końca.

Eve i Gabriella omawiały przygotowania do balu.

- Bennett, z nieba nam spadłeś - powitała go siostra. - Przyda nam się męski punkt widzenia.

- Po pierwsze, nie może zbraknąć alkoholu - odparł bez namysłu. Kiedy się pochylił, by ją pocałować, dostrzegł zmęczenie na jej twarzy. - Nie ma z wami Hannah?

- Nie. - Eve pokręciła głową. - Chciałam, żeby odpoczęła. Wczorajszy wieczór musiał być dla niej koszmarem. Dla ciebie pewnie też.

Mimo woli przypomniawszy sobie, jak ją zostawił - bezradnie skuloną na środku łóżka.

- To był faktycznie niezapomniany wieczór - mruknął.

- Nie rób sobie żartów, Ben. Kiedy pomyślę, że mogłeś zginąć...

- Ale nie zginąłem. - Przyklęknął i wziął ją za rękę. - I nie myśl już o tym, bo nie chcę, żeby mój bratanek był nerwowym dzieckiem. Gdzie Marissa?

- Śpi.

- Powinnaś zrobić to samo. - Pieszczotliwie potarł palcem delikatną skórę pod jej oczami.

- Mówisz jak Aleksander - rzekła z irytacją.

- Uchowaj Boże. Swoją drogą, gdzie mój szanowny brat?

- Ma spotkania w kancelarii. Tu, w pałacu. Ochrona zdecydowała, że tak będzie bezpieczniej.

- Czyli nie musisz się o niego martwić - stwierdził niemal wesoło. - Pamiętaj, że Bissetowie są niezniszczalni. A ty miej ją na oku - zwrócił się do siostry. - Nie pozwól jej się zamartwiać. A sama też nie wyglądasz najlepiej.



- Oj, ty to potrafisz prawie komplementy!

- Od tego właśnie są młodszy bracia! - Zaśmiał się krótko. - A teraz znikam. Bawcie się dobrze.

Nie znalazł Hannah w jej pokojach. Nie odpowiedziała, gdy zapukał, mimo to wszedł do środka. Był zły, że nie może z nią porozmawiać, a jednocześnie bardzo się o nią bał. Wprost nie mógł znieść myśli, że mogła w tym czasie narażać się na kolejne niebezpieczeństwo. Dla niego. I dla jego rodziny.

Nie chciał szperać w jej rzeczach, ale podszedł do toaletki i spojrzał na drobne przedmioty, które tam zostawiła. Wśród nich było małe pudełeczko z emaliowanym wieczkiem, z wizerunkiem pawia. Ciekawe, skąd je ma, pomyślał, przesuając palcem po gładkiej powierzchni. Dostała w prezencie? A może kupiła w którymś z londyńskich antykwariatów? Chciał dowiedzieć się nawet takich drobiazgów. To był jedyny sposób, by uporządkować własne uczucia. Musi przecież poznać kobietę, którą nimi obdarzył.

Podniósł oczy i spojrzał do lustra. Napotkał w nim odbicie łóżka, w którym zeszłej nocy walczyli ze sobą, a potem się kochali. Chwilami zdawało mu się, że w absolutnej ciszy pustego pokoju słyszy odgłosy ich namiętności. Coraz silniej dręczyło go pytanie, czy Hannah nienawidzi go za to, co zrobił. Instykt podpowiadał mu, że również dla niej ich wspólne doznania były silne, niemal zdumiewające. Ale czy to wystarczy, by wybaczyła mu, że sforsował jej barierę ochronną?

Nie obszedł się z nią delikatnie... Spojrzał na swoje dłonie i uświadomił sobie, że musiał jej zadać ból. Tak bardzo się starał, by nigdy nie zrobić krzywdy żadnej kobiecie. Jak na ironię, gdy w końcu spotkał tę wybraną, złamał tę zasadę.

Podszedł do otwartego okna i spojrzał na ogród. Niełatwo mu było określić to, co czuł. Wciąż miał do niej żal, że go oszukała. I ciągle zdawało mu się, że kochając ją, kocha dwie różne kobiety, ale żadnej nie ufa.

Wtedy zobaczył ją pośród bujnej zieleni.

Wszystko się z czasem ułoży, powtarzała sobie jak zaklęcie. Najważniejsze, że spotkanie z Debokiem poszło w miarę gładko. Jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, najdalej za tydzień wreszcie go dopadną, a ona odniesie największy zawodowy sukces. Niewykluczone, że nagrodą za udaną operację będzie awans na stopień kapitana.

Tylko co potem? Czas pokaże, pomyślała. Może po prostu weźmie zasłużony urlop i pojedzie na wakacje.

Od dawna marzyła o podróży do Ameryki. W miastach takich jak Nowy Jork lub San Francisco łatwo zgubić się w tłumie.

Zresztą może zrobiłaby lepiej, wracając na jakiś czas do Anglii. Mogłaby pojechać do Kornwalii. Wprawdzie tam nie ma szans się zgubić, za to mogłaby spróbować się odnaleźć.

Jedno jednak jest pewne. Już niedługo będzie musiała opuścić Cordinę. I Bennetta. Przygnębiona usiadła na ławce pod cienistą kopułą bujnej glicynii.

Kim jestem? Od dawna nie zadawała sobie tego pytania, teraz zaś nie potrafiła na nie odpowiedzieć. Do tej pory jej dwoista natura była prawdziwym darem losu, bez którego nie mogłaby wykonywać swej pracy. Nie przeszkadzało jej, że z jednej strony pociąga ją spokojne życie, wypełnione lekturą i dyskusjami o literaturze, a z drugiej trawi ją żądza przygód. Dwie kobiety, które w niej tkwiły, współistniały dotąd zgodnie i harmonijnie. Jedna czytała książki, druga nosiła broń i nadstawiała karku.

To się skończyło. Bardzo żałowała, że nie może porozmawiać z ojcem. On jeden potrafiłby ją zrozumieć, może nawet pomóc. Nikt lepiej od niego nie wiedział, co to znaczy prowadzić podwójne życie. Niestety, nie może się z nim skontaktować. Ryzyko jest zbyt duże. Jej praca oznacza całkowitą samotność.

Nie zadawałaby sobie tych wszystkich pytań, nie zadreślała się nimi, gdyby nie Bennett. To przez niego cierpiała i wątpiła w to, co dotąd przyjmowała za pewnik. A on? Znienawidził ją. Zeszłej nocy posiadał jej serce, umysł i ciało. Chciał ją poniżyć i udało mu się. Nikt przed nim nie pokazał jej, jak wiele potrafiła ofiarować. I nikt nie porzucił jej z tak wielkim poczuciem pustki i osamotnienia.

Na szczęście on nigdy się nie dowie, jak bardzo ją zranił. Nie może się dowiedzieć. Szybko podniosła dłonie i przycisnęła mocno do twarzy, jednak było już za późno, by powstrzymać łkanie. Ciepłe łzy wymykały się spomiędzy palców, więc zrezygnowana opuściła ręce i rozplakała się serdecznie. Z goryczą myślała o tym, że Bennett nie dowie się, jak silne było to, co do niego czuła.

Dawno już wybrała swoją drogę. Nie pozostało więc nic innego, jak konsekwentnie się jej trzymać. I modlić się, żeby nigdy nie skrzyżowała się z jego ścieżkami.

Za kilka dni Bennett będzie bezpieczny. Jego rodzina również. A ona pójdzie w swoją stronę.

Znalazł ją w odległym zakątku ogrodu. Siedziała na ławce. Ręce swoim zwyczajem skrzyżowała na kolanach, oczy miała zamknięte, a twarz mokrą od łez. Na jej widok doznał całej gamy uczuć. Zmieszały się w nim żal, zagubienie, miłość, poczucie winy, gniew.

Wiedział, że Hannah chce być sama. Rozumiał to i chciał jej pragnienie uszanować. Zraniona miłość własna podpowiadała mu, że powinien ją tak zostawić. Nie mógł jednak tego zrobić, podobnie jak nie byłby w stanie zostawić na poboczu rannego psa.

Kiedy usłyszała kroki, był blisko. Szybko wstała z ławki, ale nie zdążyła przybrać obojętnej miny. Bennett zaś natychmiast zorientował się, że Hannah jest zaskoczona i niepewna. W pierwszej chwili bał się, że odwróci się i ucieknie, ale nie zrobiła tego.

- Chcę być sama - powiedziała sucho.

Wyjął z kieszeni chusteczkę i podał jej bez słowa. W tej chwili był to jedyny gest pocieszenia, na jaki mógł sobie pozwolić. Każdy inny na pewno by odrzuciła.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam. Uważam, że musimy porozmawiać.

- Myślałam, że już to zrobiliśmy.

- Usiądziesz?

- Nie.

- Rozmawiałem dziś rano z ojcem. Wiem, że widziałaś się z Debokiem.

Próbowała go uciszyć, ale dała za wygraną. Rozmowa w ogrodzie była tak samo niebezpieczna jak rozmowa w pałacu.

- Nie muszę panu składać meldunków w tej sprawie, Wasza Wysokość - rzuciła ostro.

Ogarnęła go złość, więc zmrużył oczy i zacisnął pięści. Kiedy się jednak odezwał, głos miał spokojny.

- Nie musisz. Chcę, żebyś wiedziała, że przeczytałem twoja akta.

- Doskonale. Znasz już więc odpowiedź na wszystkie pytania. Ciekawość została zaspokojona. Mam nadzieję, że dobrze się bawiłeś.

- Nie czytałem tego dla zabawy! Do cholery, Hannah, przecież mam prawo wiedzieć!

- Jeśli o mnie chodzi, nie masz żadnych praw. Nie jestem ani twoją poddaną, ani podwładną.

- Ale jesteś kobietą, która poszła ze mną do łóżka.

- Zapomnijmy o tym. Nie dotykaj mnie! - Odskoczyła, gdy próbował się zbliżyć. - Nie waż się mnie więcej tknąć!

- Jak sobie życzysz. - Cofnął się urażony. - Ale wiesz tak samo dobrze jak ja, że o pewnych rzeczach nie da się zapomnieć.

- Z wyjątkiem błędów - skwitowała krótko. - Jestem agentką i muszę wykonać zadanie. Zrobię wszystko, żeby się z niego wywiązać, ale nie pozwolę się poniżyć. Rozumiesz? Nigdy więcej! ~ zawołała przez łyzy. - A teraz zostaw mnie w spokoju. Ubiegła noc chyba była dla ciebie dostatecznym zadośćuczynieniem.

Nie mógł tego słuchać. Zwłaszcza ostatnie zdanie dotknęło go do żywego. Gniew znów wziął górę nad rozsądkiem.

- Tak to rozumiesz? - zawołał, chwytając ją za ramię. - Dla ciebie to była kara? Potrafisz powiedzieć mi prosto w oczy, że nie czułaś nic? I że teraz też nic nie czujesz? Musisz ciągle kłamać?

- Nieważne, co czułam. Chciałeś mnie ukarać, i ukarałeś.

- Chciałem cię kochać, i kochałem.

- Przestań! - To, co mówił, bolało bardziej niż mogła znieść. Próbowwała go odepchnąć, ale chwycił ją jeszcze mocniej. Pod wpływem gwałtownych ruchów na ich głowy spadł fioletowy deszcz płatków glicynii. - Mówisz o miłości? - rzuciła drwiąco. - Myślisz, że nie czułam, jak mnie nienawidzisz? Patrzyłeś na mnie z taką pogardą! Zawsze byłam dumna z tego, co robię, a ty odebrałeś mi nawet to.

- Spójrz na siebie - poprosił cicho. Za wszelką cenę starał się opanować gniew. - Może mi powiesz, że nie miałaś pojęcia, co do ciebie czuję? Wiedziałaś, że pokochałem kobietę, która tak naprawdę nigdy nie istniała. Łagodną, cichą, skromną Hannah, której pragnąłem dać wszystko, co we mnie najlepsze. Po raz pierwszy w życiu byłem na to gotowy. Wtedy okazało się, że pokochałem złudę.

- Nie wierzę ci! - powiedziała z mocą. Jednak jej serce uwierzyło i zaczęło bić mocniej. - Nudziłeś się, szukałeś rozrywki. Ty się mną bawiłeś.

- Kochałem cię. - Ujął w dłonie jej twarz i spojrzał z bliska w oczy. - Będziesz musiała z tym żyć.

- Bennett...

- Zeszłej nocy w twojej sypialni spotkałem inną kobietę - ciągnął, przesuwając palcami po jej włosach, z których wypadały spinki. - To ona posłużyła się mną jak narzędziem, okłamała. Wyglądała jak czarownica - szepnął, biorąc do rąk gęste pasma. - Pragnąłem jej i przysięgam, że nadal pragnę.

Kiedy ją pocałował, nie bronila się. Wierzyła mu, widziała prawdę w jego oczach. Kochał ją, nawet jeśli były to tylko pozory, jakie stworzyła. Miłość przepadła, lecz jeśli zostało tylko pożądanie, była gotowa przyjąć choćby to.

Otoczyła go ramionami. Łudziła się, że jeśli da mu namiętność, pewnego dnia on zdoła jej przebaczyć.

Przeraziła go łatwością, z jaką się w uczuciu do niej zatracił. Pożądanie było tak silne, że aż bolesne. Nie kochała go, nie miał co do tego złudzeń. Skoro miała ochotę dzielić z nim chwilę namiętności, nie śmiał prosić o więcej.

- Powiedz, że mnie pragniesz - prosił, całując jej twarz.

- Pragnę - szepnęła.

- Chodź ze mną.

- Bennett, nie wolno mi tego robić. - Mocno wtuliła się w jego ramiona. - Jestem tu, bo...

- Ciii - nie pozwolił jej dokończyć. - Choć raz zapomnijmy o obowiązkach. Proszę...

- A co będzie jutro?

- Jutro nadejdzie, czy nam się to podoba, czy nie. Podaruj mi kilka godzin.

Nie wahałaby się oddać mu własnego życia. Podejrzewała, że przyszłoby jej to łatwiej niż spełnienie jego prośby. Mimo to podała mu rękę.

Udali się do stajni i osiodłali konie. Szybko zorientowała się, że Bennett wie, dokąd zmierza. Rozpoznała las, w którym kiedyś się ścigali. Minęli go jednak i skierowali się na południe.

Usłyszała cichy szmer strumienia na długo przedtem, zanim zobaczyli wstążkę wody. W milczeniu posuwali się wzdłuż krętego brzegu, aż dotarli do szerszego rozlewiska. Zsiedli z koni na małej polanie, na której rosły trzy stare wierzby.

- Myślałam, że Cordina niczym mnie już nie zaskoczy - powiedziała, wodząc dokoła zachwyconym wzrokiem. - Często tu przyjeżdżasz?

- Teraz nie. - Zeskoczył z siodła i podszedł jej pomóc. Wyciągnął rękę, dając jej symboliczny wybór, którego odmówił zeszłej nocy.

Wahała się przez chwilę, lecz po chwili pewną dłonią oparła się o jego rękę i zeskoczyła z konia.

- Ostatni raz byłem tu po śmierci matki. Ona bardzo lubiła takie miejsca. Widzisz te białe kwiatki?

- Wziął ją za rękę i poprowadził na brzeg strumienia.

- Nazywała je „skrzydłami anioła”.

Zerwał jeden z nich i wsunął Hannah we włosy.

- Przyjeżdżałem tutaj każdego roku przed powrotem na uniwersytet. Potem łatwiej mi było rozstać się z domem. A kiedy byłem zupełnie mały, wierzyłem, że nad strumieniem mieszkają rusalki. Pamiętam, że szukałem ich w koniczynie.

- I znalazłeś? - Uśmiechnęła się, dotykając jego policzka.

- Nie. - Pocałował wnętrze jej dłoni. - Ale do dziś wierzę, że tu są. Dzięki nim to miejsce jest magiczne. I dlatego chcę się z tobą tu kochać.

Z ustami przy ustach ukłękli na trawie. Nie odrywając od siebie wzroku, zaczęli wolno zdejmować ubrania. Popołudniowe słońce przyjemnie pieściło nagą skórę, wiatr chłodził rozgrzane ciała.

Pierwszy pocałunek był delikatny jak muśnięcie. Za to już drugi zdawał się nie mieć końca. Tak bardzo byli siebie spragnieni, że zabrakło im cierpliwości na długie pieszczoty. Opadli na ciepłą ziemię, otoczeni świeżym zapachem trawy. Oboje pragnęli jak najszybszego spełnienia. Dlatego ich wspólna podróż była krótka, lecz szalona. Pędzili jak w galopie, do utraty tchu.

Hannah otworzyła oczy. Ponad jej głową miękkie słoneczne światło sączyło się przez gęstwinę wierzbowych liści. Kiedy ostatni raz patrzyła w niebo, świecił księżyc. Przez wiele godzin obserwowała jego jasną tarczę, gubiąc się w natłoku uczuć. Najpierw była w niej tylko złość, potem wstyd, po nim zaś przysła krótka chwila uniesienia. Wtedy został już tylko wstyd i uczucie poniżenia.

Teraz, gdy leżała naga w świetle dnia, w ogóle nie czuła wstydu. To, co przed chwilą przeżyli, wydarzyło się pomiędzy mężczyzną a kobietą. Jutro wrócą do swoich ról księcia i agentki, ale na razie mogą się cieszyć magiczną chwilą.

- O czym myślisz? Odwróciła się do niego.

- O tym, że jest tu pięknie - odparła z uśmiechem.

- Ciepło ci?

- Tak, ale... - Umilkła, bo pomyślała, że to, co chciałaby powiedzieć, zabrzmiałoby głupio.

- Ale co?

- Nie wiem, jak to powiedzieć, ale... nigdy nie leżałam nago w biały dzień.

Roześmiał się i nawet nie zauważył, że mówiła to Hannah, którą pokochał.

- Życie pełne jest niespodzianek. I nowych doświadczeń.

- Domyślałam się, że ty paradowałeś bez ubrania w jeszcze bardziej nietypowych miejscach.

Rozbawił go jej surowy ton. Pochylił się, by ją pocałować, a potem uniosł się na łokciu. Była taka spokojna. W splątanych włosach miała żółtą trawę i biały kwiat, który wyglądał tak, jakby chciał tam pozostać. Po nie przespanej nocy zostały jej cienie pod oczami, nadające bladej twarzy zmysłowość, a jednocześnie niewinność. Wyglądała jak dziewczyna, która właśnie przeżyła swój pierwszy raz, pomyślał.

Właśnie tak ją sobie wyobrażał, takiej pragnął i taką kochał.

- Jesteś piękna - szepnął. Uśmiechnęła się, nagle czymś rozbawiona.

- No, teraz to już przesadziłeś.

- To ty przesadzasz. Myślisz, że uda ci się ukryć swoją urodę? To niemądre. -

Delikatnie obrysował palcem jej pełne usta. - Pamiętasz nasz pierwszy pocałunek?

- Pamiętam.

- Długo nie mogłem pojąć, co się ze mną działo. Wystarczyło, że cię dotknąłem, i zmiękły mi kolana.

- Pocałuj mnie - poprosiła i pociągnęła go ku sobie. Po chwili zaskoczona spojrzała mu w oczy. Nie tego oczekiwała. W jego pocałunku, w dotyku rąk były bezgraniczna czułość i łagodność.

- Co się stało? - wyszeptała.

- Ciii - uspokajał ją, gładząc jej twarz i włosy. Czekał, aż się odpreży i będzie gotowa przyjąć to, co chciał jej ofiarować. Ona zaś pojęta, że Bennett chce się kochać z Hannah, którą w brutalny sposób utracił. Na myśl o tym pod powiekami zapiekły ją łzy. Wzruszenie było tak silne, że zaczęła drżeć. Nie była tą Hannah, którą pokochał, ale mogła dać mu to, czego pragnął od tamtej kobiety.

Natychmiast odczuł zmianę, która w niej nastąpiła. Jej uległość i całkowite poddanie dały mu większą rozkosz niż najbardziej wyrafinowana pieśzczota.

- O tak, tak jest dobrze - szeptał, całując jej szyję. Pragnął podarować jej to, co w miłości najlepsze. Nie gwałtowną namiętność i zatracenie, ale czułość i nieskończoną dobroć.

Łagodnie pieścił jej gładką skórę. Każdym ruchem i pocałunkiem z pokorą prosił o to, co samowolnie wziął ubiegłej nocy. Z zachwytem obserwował, jak narasta w niej podniecenie. Szeptał do niej czule tysiące obietnic, nazywał ją najśłodszymi imionami.

Odwzajemniała się, wypowiadając słowa cichsze niż szum strumienia. Zachwycała się jego złotą od słońca skórą. Z rozkoszą gładziła jego ramiona, takie mocne i gorące. Jej kochanek. Uniosła głowę i mocno pocałowała go w usta. Jeśli polana nad strumieniem jest naprawdę magiczna, to również taka jest ta chwila. Przez całe życie konsekwentnie odmawiała sobie prawa do marzeń, teraz jednak chciała się w nich zupełnie zatracić.

Całą sobą dawała mu wszystko, co była w stanie dać. Właśnie tego od niej chciał, na to czekał. W ich miłości było dużo więcej niż żądza i zaspokojenie zmysłów. Hannah dotykała i całowała Bennetta tak, jakby był jej pierwszym i jedynym kochankiem. On pieścił ją w taki sam sposób.

Ich połączone ciała poruszały się harmonijnym rytmem, bez gwałtownych ruchów i niecierpliwego pośpiechu. Momentami czuli się tak, jakby naprawdę stanowili jedność. Rozkosz przyszła do nich w tej samej chwili i zagarnęła ich niczym łagodna fala. Wyniosła ich wysoko, a potem pozwoliła spokojnie wrócić na brzeg.

- Pan mnie wzywał, *monsieur* Deboque?

- Tak, Ricardo. - Deboque bez pośpiechu podniósł dzbanek. Podobał mu się angielski zwyczaj picia herbaty po południu. Uważał go za wytworny. - Przygotowałem listę zakupów - oznajmił, wskazując biurko. - Chcę, żebyś zajął się tym osobiście.

- Tak jest, *monsieur* Deboque. - Ricardo skłonił się lekko. Pochlebiało mu, że szef obdarza go zaufaniem. Wziął do ręki arkusz kremowego papieru i szybko przeczytał kilka odręcznie napisanych zdań. Na ułamek sekundy w jego oczach pojawił się wyraz zaskoczenia. - Życzy pan sobie, żeby zamówienie zostało zrealizowane u nas, czy u kogoś z zewnątrz?

- Zdecydowanie u nas. Wolę nie wychodzić z tym poza własne podwórko, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Lady Hannah musi otrzymać przesyłkę nie wcześniej niż w czwartek.

- Rozumiem. Powiem szczerze, że sporo ryzykuje, wnosząc to pałacu taką... gorącą paczkę.

- Nasza angielska przyjaciółka cieszy się moim bezgranicznym zaufaniem - powiedział z nikłym uśmiechem. Przypomniawszy sobie, jak wyglądała tego ranka. Uprzejma, schludna, kulturalna. Lubił, kiedy jego plany spoczywały w delikatnych rękach. - Nie sądzisz, Ricardo, że lady Hannah ma dużą klasę?

- O tak, *monsieur*. To zawsze widać, nawet jeśli osoba wygląda niepozornie.

- Właśnie. - Deboque z przyjemnością upił łyk herbaty. - Jestem pewien, że wykona zadanie w doskonałym stylu. Muszę ci powiedzieć, Ricardo, że podziwiam Brytyjczyków. Uwielbiają tradycję, są tacy wytrzymali. Nie tak namiętni jak Francuzi, za to bardzo pragmatyczni. Mniejsza o to - stwierdził innym tonem. - Dopilnuj, żeby paczka została wysłana z adresu, który podałem. Nie chcę, żeby przechodziła przez moje ręce.

- Oczywiście.

- Właśnie przygotowuję plan naszej podróży. Wyfliniemy pod koniec przyszłego tygodnia. Spotkam się z lady Hannah jeszcze raz. Potem zakończysz tę sprawę.

- Jak pan sobie życzy, *monsieur*.

- Swoją drogą czy posłałeś wieniec na pogrzeb Bouffe'a?

- Tak, *monsieur*. Róże, zgodnie z pańskim życzeniem.

- Doskonale - ucieszył się i sięgnął po ciasteczko. - Można na tobie polegać, Ricardo.

- Staram się, *monsieur*.

- Życzę ci miłego wieczoru. Daj mi znać, jeśli napłyną jakieś informacje o wypadku w teatrze. Ostatni raport bardzo mnie zaniepokoił.



Po wyjściu Ricarda Deboque oparł się wygodnie o jedwabne poduszki. Był bardzo zadowolony ze swego asystenta. Wiedział, że ten byłby w siódmym niebie, gdyby rozkazał mu zlikwidować lady Hannah. Zastanawiał się nad tym, jednak ostatecznie oddalił tę myśl. Zdecydował, że rozprawi się z nią osobiście. W dowód wdzięczności może jej zapewnić szybką i lekką śmierć.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Hannah próbowała skupić się na raporcie, który Reeve przedstawiał Maloriemu. Od czasu do czasu zabierała głos, by uzupełnić informacje, jednak zaraz potem milkła.

Siedzieli w bibliotece, która nieuchronnie kojarzyła jej się z Bennettem. Miał ją tu kiedyś przyprowadzić, ale po drodze wstąpili do pokoju muzycznego. Tam ją pierwszy raz pocałował. Czy to wtedy jej życie zaczęło się zmieniać? A może stało się to w dniu, kiedy spacerowali po plaży? Albo już pierwszego wieczoru po jej przyjeździe, gdy przypadkiem spotkali się w ogrodzie...

- Zgadzasz się, Hannah? Otrząsnęła się z zamyślenia, zła, że w tak ważnym momencie pozwoliła sobie na chwilę nieuwagi. Ich spotkanie miało potrwać zaledwie pół godziny. I choć odbywało się w pałacu, i tak było bardzo ryzykowne.

- Przepraszam, Reeve, czy możesz powtórzyć?

Armand przyglądał jej się dyskretnie. Coraz częściej zastanawiał się, czy Hannah jest w stanie udźwignąć olbrzymią odpowiedzialność, która na nią spadła.

- Ostatnie dwa dni były bardzo ciężkie - westchnął. W jego głosie nie było wyrzutu, tylko współczucie. Hannah zdecydowanie wolałaby to pierwsze.

- Całe ostatnie dwa lata były ciężkie, Wasza Wysokość - zauważyła, prostując plecy.

- Jeśli czuje się pani zmęczona - odezwał się Malori - lepiej niech nam pani o tym powie.

- Niełatwo mnie zmęczyć - powiedziała, patrząc mu twardo w oczy. - Jeśli pan w to wątpi, proszę zajrzeć do moich akt.

Zanim Malori zdążył odpowiedzieć, Reeve znowu zabrał głos. Wiedział, że Hannah nie jest w najlepszej formie, postanowił jednak zaryzykować. Ufał, że osoba z jej doświadczeniem wytrzyma tych kilka trudnych dni.

- Wracajmy do rzeczy - rzucił krótko. - Załóżmy, że Deboque złożył już zamówienie na materiały wybuchowe. Jak sądzicie, skąd je weźmie?

- Z Aten - odrzekła bez wahania. - Na pewno nie będzie ryzykował kupowania u handlarzy. W Atenach znajduje się jego główny magazyn broni. A to przecież blisko Cordiny.

- Sprawdźmy. - Malori szybko zapisał coś w notesie. - Przy odrobinie szczęścia uda nam się zlikwidować jego grecką komórkę.

- Nie chcę, żeby ISS wykonywało jakiegokolwiek ruchy w Atenach, Paryżu czy Bonn, dopóki tutaj nie zdobędziemy dowodów jednoznacznie obciążających Deboque'a - powiedziała ostro. - Za te sznurki ja pociągam, *monsieur*.

- *Bien*. - Malori nie był zachwycony, ale nie protestował.

- Czy żeby zamknąć sprawę, wystarczy, że Hannah otrzyma materiały wybuchowe? - Armand spojrział na nich wyczekująco. - Jej umowa z Debokiem i przesyłka, którą dostanie, to chyba wystarczające dowody jego winy?

Hannah zaczęła mówić, ale po chwili oddała głos Reeve'owi. W końcu był członkiem królewskiej rodziny.

- Obawiam się, że nie. Na tej podstawie można co najwyżej wystąpić o tymczasowy areszt, może nawet podstawić w stan oskarżenia. Ale to za mało, żeby udowodnić udział w spisku. Deboque jest na tyle sprytny, że nigdy bezpośrednio nie macza palców w brudnych interesach.

- A jak rozumieć jego polecenie zgładzenia całej mojej rodziny? - Armand nie zamierzał dać za wygraną.

- Niestety, to nie było polecenie, a jedynie luźno sformułowana myśl, z rodzaju „co by było, gdyby” - sprostował Reeve. - Rozumiem frustrację Waszej Wysokości, ale z tym, co dotąd mamy, nie możemy zamknąć sprawy. Kiedyś już udało się wsadzić go do więzienia. I co? I nic. Jeśli chcemy zniszczyć go raz na zawsze, musimy mieć niezaprzeczone dowody, że brał udział w spisku i zlecał morderstwa. W ciągu paru najbliższych dni Hannah nam ich dostarczy.

- W jaki sposób? - Armand nerwowo sięgnął po papierosa.

- Za pomocą pieniędzy, a dokładnie mojego honorarium - powiedziała spokojnie. - Kiedy dostanę gotówkę, Deboque będzie nasz.

- Sami mówiliście, że to szczywany lis - przypomniał Armand.

- Zgadza się, Wasza Wysokość.

- Jak więc masz zamiar go przekonać, że naprawdę zabiłaś moich bliskich?

- Jeśli Wasza Wysokość pozwoli, chciałabym coś pokazać. - Hannah wstała z miejsca i zaczekawszy na Armanda, podeszła z nim do dużego stołu. Tam z pomocą Reeve'a rozwinęła zwój papieru. - Z planów dostarczonych przeze mnie Deboque'owi wynika, że w tym skrzydle pałacu znajdują się apartamenty księcia Aleksandra - mówiła, wskazując odpowiednie miejsce na planie. - Powiedziałam mu również, że księżniczka Gabriella z rodziną zamieszka tuż obok.

- Rozumiem... - mruknął Armand.

- Deboque nie może się dowiedzieć, że w rzeczywistości pańskie dzieci mieszkają w przeciwległej części pałacu, ta zaś, którą mu wskazałam, jest niemal nie wykorzystana. W dniu poprzedzającym bal podłożę tam kilka ładunków wybuchowych. - Hannah dotknęła punktów zaznaczonych na czerwono. - W rzeczywistości ładunki będą dużo mniejsze, niż chce Deboque. Oczywiście, eksplozja wyrządzi pewne szkody. Na pewno trzeba będzie potem przeprowadzić remont... - Urwała, widząc, że uniósł brwi. Nie była pewna, czy był rozbawiony, czy zły.

- Cóż - powiedział z zagadkowym uśmiechem - przyznaję, że niektóre części pałacu przydałoby się nieco odnowić.

- Nie trzeba dodawać, że najpierw trzeba będzie usunąć stamtąd wszystkie cenne rzeczy - wtrącił Reeve. - Ale należy to zrobić bardzo dyskretnie.

- Na dziesięć minut przed wybuchem - ciągnęła Hannah - pojedę spotkać się z Debokiem albo jego człowiekiem. Kiedy uzna, że wykonałam zadanie, da mi pieniądze.

- A jeśli przedtem zażąda dowodów?

- Wzięliśmy to pod uwagę - przyznała. - Będziemy musieli wykorzystać media. Poza tym uzgodniłam z nim, że otrzymam zapłatę zaraz po eksplozji i jeszcze tej samej nocy będę mogła bez przeszkód wyjechać z Cordiny. Deboque zaprosił mnie na rejs swoim jachtem. Mam zamiar przyjąć zaproszenie. - Widząc, że Malori mruczy coś niezadowolony, na chwilę zacisnęła zęby. - Dzięki temu od razu otrzymam pieniądze. Gdyby okazało się, że nie wykonałam zadania, będzie mnie miał pod ręką.

- Naprawdę?

- Tak. Mam zamiar się z nim spotkać.

- Agenci ISS otoczą willę i jacht - dodał szybko Reeve. - Kiedy Hannah da sygnał, natychmiast wkroczą do akcji.

- Nie ma innego sposobu? - zapytał Armand z troską w głosie.

Chcąc go uspokoić, Hannah położyła dłoń na jego ramieniu. Po raz pierwszy pomyślała, że siedzi przed nią nie książkę, lecz ojciec Bennetta.

- Wasza Wysokość, musimy zaryzykować - rzekła z przekonaniem. - Naprawdę warto. Jeśli wszystko się uda, Deboque już się nam nie wymknie.

Książkę kiwnął głową i spojrzał na Reeve'a.

- Jesteś podobnego zdania?

- Tak.

- Malori?

- Niestety, tak, Wasza Wysokość. Choć muszę przyznać, że osobiście wolałbym mniej dramatyczny i ryzykowny plan.

- Wobec tego dopracujcie szczegóły. - Słowa księcia zabrzmiały jak rozkaz. - Chcę być o wszystkim informowany na bieżąco.

Malori i Reeve zaczęli zbierać się do wyjścia. Hannah chciała zrobić to samo, lecz Armand ją zatrzymał.

- Chciałbym zamienić z tobą parę słów.

- Oczywiście, Wasza Wysokość. - Posłusznie stanęła obok stołu. Z każdą chwilą była coraz bardziej spięta. Wiedziała, że księżę domyśla się, co ją łączy z Bennettem. I na pewno tego nie pochwała. Owszem, jest Europejką i arystokratką, ale dyskwalifikuje ją jej zawód. Nie miała wątpliwości, że Armand uważa ją po prostu za szpiega.

- Widzę, że czujesz się niezręcznie. - Armand nie zamierzał marnować czasu na kurtuazję. - Usiądź, proszę.

Potulnie przysiadła na brzegu, fotela i czekała.

Wygląda jak gołębica, pomyślał Armand. Mała, szara gołębica, która dobrowolnie pakuje się w łapska lisa. Sprawiała tak niepozorne wrażenie, że patrząc na nią, księżę nie mógł uwierzyć, iż to dzięki niej zostanie zamknięty najczarniejszy rozdział w historii jego życia.

- Reeve ma do ciebie pełne zaufanie.

- Obiecuję, że go nie zawiodę - odparła, czując ulgę, że księżę nie zagadnął ją o Bennetta.

- Dlaczego zgodziłaś się na tak niebezpieczne zadanie?

Zdziwiona, uniosła brwi. Odpowiedź była dla niej oczywista.

- Bo mnie do niego wyznaczono.

- Mogłaś odmówić?

- Tak, Wasza Wysokość. Agent ma do tego prawo.

- A więc zgodziłaś się, ponieważ tego chcieli twoi zwierzchnicy?

- Nie tylko. Przestępcza organizacja Deboque'a zagraża również mojej ojczyźnie. Terrorysta zawsze i wszędzie jest terrorystą, i jako taki stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Czyli w swojej decyzji kierowałaś się przede wszystkim dobrem kraju.

- Tak jest, Wasza Wysokość.

- Czy wybrałaś swój zawód dlatego, że szukasz przygód?

Teraz mogła już całkiem się odprężyć. Roześmiała się więc, a Armand wtedy zrozumiał, co zauroczyło Bennetta.

- Z całym szacunkiem, ale zdaje się, że Wasza Wysokość bierze mnie za Jamesa Bonda. Ja wiem, że kiedy ludzie słyszą słowo „agent”, zaraz myślą o egzotycznych miejscach, szybkich samochodach i błyszczących pistoletach. Tymczasem moja praca jest często żmudna. Przez ostatnie dwa lata spędziłam więcej czasu przy komputerze i telefonie niż przeciętna sekretarka.

- Ale przecież nie zaprzeczysz, że się narażasz.

- Owszem - westchnęła. - Ale musi pan pamiętać, że godzinę prawdziwego zagrożenia nierzadko poprzedza rok nudnej, papierkowej roboty. Jeśli chodzi o sprawę Deboque'a, to Reeve, Malori i ludzie ISS rozpracowali ją krok po kroku.

- Tyle że w decydującym momencie będziesz zdana wyłącznie na siebie.

- Taka to praca. A ja jestem w tym naprawdę dobra.

- Nie wątpię. W normalnej sytuacji nie martwiłbym się tak bardzo.

- Wasza Wysokość, proszę mi wierzyć, że nic nie zostało zaniedbane. Dopracowaliśmy tę akcję w najdrobniejszych szczegółach.

- Dobrze - powiedział, kiwając głową - ale co będzie, jeśli ktoś popełni błąd? Jak pocieszę mojego syna?

Nerwowo splotła dłonie.

- Wasza Wysokość, obiecuję panu, że bez względu na to, co się stanie, Deboque nie uniknie kary.

- Ja nie mówię o Deboque'u! Myślę o tobie i Bennecie. - Gestem ręki uciszył ją, gdy chciała się odezwać. - Nieczęsto zdarza się, żeby odzywał się we mnie ojciec. Dlatego proszę, żebyś pozwoliła mi na ten luksus.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i zaczęła mówić dopiero wtedy, gdy była pewna, że nie zdradzi jej drżenie głosu.

- Bennett poczuł się dotknięty, że nie powiedziano mu prawdy o powodach mojego przyjazdu do Cordiny. Odnoszę wrażenie, że w pewnym sensie czuje się za mnie odpowiedzialny, bo narażam się dla jego rodziny.

- Bennett cię kocha.

- Nie! - Panika wzięła na moment górę nad wyuczonym chłodem. Zaraz potem Hannah poczuła zakłopotanie, jednak w głębi serca desperacko pragnęła, by to, co usłyszała, było prawdą. - Nie przeczę, że Bennett żywił wobec mnie pewne... uczucia, ale to się zmieniło, kiedy dowiedział się, kim naprawdę jestem.

Armand przez chwilę milczał. Kiedy kładł dłonie na oparciu fotela, klejnot w jego sygnecie zapłonął niczym ogień.

- Moja droga, a co ty do niego czujesz? Wystarczyło, że raz spojrzała w jego oczy, i już wiedziała, że może mu zaufać.

- Czy mogę prosić Waszą Wysokość o dyskrecję?

- Masz moje słowo.

- Kocham Bennetta bardziej niż potrafię wyrazić. Gdybym mogła zmienić swoje życie i stać się kobietą, za jaką mnie brał, zrobiłabym to bez wahania. Przysięgam! - Nie płakała, choć wzruszenie odebrało jej głos. Spoglądała bezradnie na swoje dłonie. Po chwili odzyskała równowagę. - Niestety, to niemożliwe.

- To akurat smutna prawda - zgodził się Armand - że człowiek nie może w mgnieniu oka zmienić swojego życia. Jednak ten, kto kocha, potrafi zrozumieć wiele rzeczy. A mój syn potrafi być wielkoduszny. Niestety, jest również bardzo wrażliwy.

- Wiem. I obiecuję Waszej Wysokości, że nigdy więcej go nie zranię.

- Nie tego się obawiam - rzekł w zamyśleniu, a uśmiechając się nieznacznie, dodał: - Kiedy ta nieszczęsna sprawa wreszcie się zakończy, chciałbym, żebyś została w Cordinie jeszcze przez kilka dni.

- Wasza Wysokość zechce wybaczyć, ale myślę, że będzie lepiej, jeśli natychmiast wrócę do Anglii.

- Życzę sobie, żebyś została - powiedział wstając. Zrozumiała, że nie mówił już jako ojciec Bennetta, ale władca. - Nie zatrzymuję cię. Odpocznij trochę przed kolacją.

- Oczywiście, Wasza Wysokość. - Ukłoniła się. Rzadko zdarzało się, że pozostawiano ją bez wyboru.

Kolacja była długa i nudna. Na domiar złego Hannah nie potrafiła skupić się na rozmowie. Uparcie krążyła myślami wokół tego, co stanie się z nią za kilka dni. Coraz jaśniej docierało do niej, że po zakończeniu sprawy nie będzie jej łatwo wrócić do dawnego życia. Domyślała się, że stanie przed trudnym wyborem pomiędzy przyjęciem awansu a wycofaniem się z zawodu. To drugie wydawało jej się bardziej prawdopodobne. Miłość, która spadła na nią tak niespodziewanie, zniszczyła troskliwie budowany wizerunek cichej, niepozornej lady Hannah. Zanim byłaby w stanie stworzyć dla siebie nową tożsamość, musiałoby upłynąć wiele czasu. A ten w jej zawodzie był bezcenny.

Bennett w ogóle nie pojawił się przy stole. Eve wyjaśniła jej, że przeciągnęło się jego spotkanie z zarządem muzeum, więc bezpośrednio po nim pojechał na uroczystą kolację w Klubie Jeździeckim. Hannah, zmęczona towarzystwem leciwej kuzynki Bissetów, pomyślała, że bardzo mu tego zazdrości.

Kiedy wreszcie zdołała niepostrzeżenie wymknąć się z salonu, dochodziła północ. Idąc do siebie, mogła myśleć tylko o tym, czy lepiej zrobi jej długa, gorąca kąpiel, czy szybki prysznic. Z ulgą zamknęła za sobą drzwi sypialni i chwilę stała oparta o nie plecami. Czuła się taka zmęczona. Nagle ogarnął ją znany niepokój. Szybko rozejrzała się wokół. Jest sama, a jednak...

Bezszelestnie podeszła do szafki i ostrożnie wyciągnęła z szuflady broń. Z pistoletem gotowym do strzału ruszyła w stronę małego saloniku, łączącego się z sypialnią. Drzwi były lekko uchylone, ale mogła je tak zostawić któraś z pokojówek. Hannah delikatnie pchnęła jedno skrzydło, po czym zwinnie wsunęła się do mrocznego wnętrza. Wszystko było na swoim miejscu. Tylko na niskim stoliku stał wazon pełen świeżych gardenii. A więc to jednak pokojówka, pomyślała z ulgą.

Miała już opuścić salonik, gdy nagle usłyszała dziwny odgłos. Jakby szelest materiału trącego o materiał. Uniosła do góry dłoń z pistoletem i wysunęła się na środek.

Wtedy go zobaczyła. Na małej, welurowej sofie, pośród pękatych poduszek, spał Bennett.

Zakłęła cicho i natychmiast opuściła broń. Przez chwilę przyglądała mu się ze swojego miejsca. Wyglądał na zmęczonego. Bez butów i marynarki, z rozwiązanym krawatem, był naprawdę rozczulający, miała więc ochotę przykryć go kocem i tak zostawić. Zmieniła jednak zdanie. Pomyślała sobie, że drzemanie na niewygodnej sofie nie pasuje do wizerunku pożeracza damskich serc. Bennett na pewno poczułby się okropnie, gdyby rano ktoś go tak znalazł.

Postanowiła go obudzić, ale przedtem poszła schować pistolet. Nie chciała, by zobaczył go w jej dłoni. Po co ma go drażnić i niepotrzebnie przypominać o tym, o czym pewnie wolałby zapomnieć.

Wróciwszy od saloniku, przyklękła obok sofy i delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu.

- Bennett - szepnęła mu do ucha.

Mruknął coś niewyraźnie i usiłował przewrócić się na drugi bok. Miejsca miał tak mało, że połowa jego ciała zawisała nad podłogą. Hannah uśmiechnęła się, coraz bardziej rozczulona, lecz postanowiła zachować nieugiętość.

- Bennett! - powiedziała głośno i potrzęsnęła nim energicznie. - Wstawaj!

Kiedy zerknął na nią spod w półprzymkniętych powiek, spojrzenie miał całkiem przytomne. Błyskawicznie wyciągnął rękę i chwycił ją za ucho.

- Trochę szacunku dla nieboszczyka. Gdzie twoje dobre maniery?



- Au! Boh. - Bezskutecznie próbowała się oswobodzić. - Jeśli tak ci brakuje szacunku, to zaraz zawołam służbę. Z całym szacunkiem wezmą cię na ręce i zanosą do twoich apartamentów. A jeśli mnie zaraz nie puścisz, zademonstruję ci pewien niezawodny sposób obezwładniania przeciwnika.

- Hannah, trochę mniej brutalności, a więcej romantyzmu!

- Łatwo powiedzieć! - prychnęła, rozcierając zaczerwienione ucho. - A w ogóle, to dlaczego śpisz tutaj zamiast we własnej sypialni?

- Dobre pytanie. Ciekaw jestem, kto zaprojektował to madejowe łóżko? - jęknął, masując kark. - Chciałem z tobą porozmawiać - dodał po chwili. - Kiedy się jednak zorientowałem, że na dole są goście, przemknąłem się tylnym wyjściem i przyszedłem prosto tutaj. Chyba się cieszysz, że mnie widzisz?

Jedynym mocnym ruchem wciągnął ją na siebie. W jego pocałunku była ogromna tęsknota.

- Nie widziałem cię cały dzień - szepnął, całując ją w czoło. - Czy wiesz, że aby poczuć twój zapach, trzeba być naprawdę bardzo blisko? Robisz to celowo?

Nie używała perfum. Nie wolno jej było zostawiać śladów.

- Mówiłeś, że chciałeś porozmawiać...

- Skłamałem. - Delikatnie ugryzł ją w ucho. - Chciałem się z tobą kochać. Nie mogłem przestać o tym myśleć, więc spotkanie zarządu i kolacja w klubie to była prawdziwa męka - mówił, rozpinając jej sukienkę. - Najgorsze, że musiałem powiedzieć parę słów - mruzczał, gładząc ciepły jedwab, który miała pod spodem. - Cały czas wyobrażałem sobie, że się z tobą Kocham, więc nie wiem, czy nie nagadałem jakichś bzdur.

- Nie chciałabym przeszkadzać ci w pełnieniu oficjalnych obowiązków - mruknęła, całując go w szyję.

- Ale to robisz. Siedziałem tam jak na tureckim kazaniu. Dziesięciu nadętych facetów gadało o poważnych sprawach, a ja wyobrażałem sobie, że ty też tam jesteś. Siedziałas naprzeciwko mnie, z rękami skromnie ułożonymi na kolanach, ubrana tylko we włosy.

- Co takiego? - Z wrażenia przestała rozpinąć mu koszulę. - Ja? Nago w sali konferencyjnej?

- Żebyś wiedziała! - Roześmiał się, rozbawiony jej poważnym tonem. - Teraz rozumiesz, dlaczego nie mogłem się skupić. - Wolał nie wspominać, że czuł także strach. Wprost nie mógł usiedzieć w miejscu, gdy dopadały go natrętne myśli o rym, że Hannah została sama, zdana na łaskę Deboque'a.

- Z tej tęsknoty przyszedłem tutaj - wyjaśnił.

- I zasnąłeś.

- Co w tym złego? Miałem nadzieję, że docenisz komizm sytuacji wynikający z odwrócenia ról. W bajce to księżę budzi królową. Miałaś szansę zrobić to na odwrót.

- Jeszcze nic straconego. - Ujęła jego twarz w dłonie i delikatnie pocałowała w usta.

Pieściła go lekkimi pocałunkami, drażniła końcem języka. Cieszyła się, czując jego rosnące podniecenie. Skoro tak bardzo za nią tęsknił przez cały dzień, przynajmniej spędzą razem tych kilka nocnych godzin. Rozpięła mu koszulę, a on zsunął z jej ramion sukienkę. Miała pod nią przepiękną bieliznę z bursztynowego jedwabiu i koronki. Z rozkoszą dotykał miękkiego materiału, przez który płynęło do niego ciepło jej ciała. Wyjął spinki z jej włosów, a kiedy opadły, okrywając jego twarz, wdychał ich ulotny zapach.

Była taka piękna, wreszcie realna, cała jego.

Przesunął dłonią po jej biodrze, musnął uda. Wtedy poczuł pod palcami coś twardego. Po chwili wiedział już, co to jest. Pod opaską z czarnej gumy i skóry tkwił sprężynowy nóż.

Błyskawicznie zorientowała się, co się stało. Namiętność ostygła tak szybko, że po jej rozgrzanej skórze przebiegł chłodny dreszcz. Przez moment leżała na nim bez ruchu. Kiedy zaczęła wstawać, nie próbował jej zatrzymać.

- Bennett, przepraszam cię - szepnęła, odgarniając włosy. Zapomniała o tym, że obiecała sobie nie przeproszać za to, kim jest. Ale nie uciekała przed nim wzrokiem. Gdy usiadł, spojrzała mu prosto w oczy. Milczała, bo w całej tej sytuacji jej słowa były zbędne. Czekala, aż on odezwie się pierwszy albo zostawi ją i wyjdzie, jak wtedy, gdy kochali się pierwszy raz.

On zaś z trudem opanował budzący się gniew. Zaciśnął zęby i patrzył na nią w milczeniu - na burzę włosów, jasną skórę bez najmniejszej skazy i smukłe ciało otulone jedwabiem. Myślał o tym, że robiła wszystko, by ukryć swą urodę, ale takiego piękna nie dało się zatuszować. Potem przeniósł spojrzenie na nóż przywiązany do uda. Takie niebezpieczne zabawki kojarzyły mu się z obskurnymi barami i ciemnymi zaułkami zakazanych dzielnic. Nie pasowały do delikatnej kobiety. Nie pytając o zgodę, sięgnął po metalową rękojeść. Hannah była szybsza. Mocno złapała go za nadgarstek.

- Bennett...

- Cicho bądź. - Jego ton był tak samo beznamiętny jak spojrzenie. Cofnęła rękę i pozwoliła odebrać sobie nóż.

Metalowa rękojeść, rozgrzana przez kontakt ze skórą, była tak mała, że można ją było ukryć w dłoni. Kiedy lekko nacisnął przycisk, błyskawicznie wysunęło się długie, cienkie ostrze.

Nosiła ten śmiertcionośny drobiazg w bardzo intymnym miejscu. Chciał ją zapytać, czy często robiła z niego użytek. Jednak podświadomie czuł, że będzie dla niego lepiej, jeśli zapomni o tym pytaniu. Nóż był bardzo lekki, lecz kiedy trzymał go na otwartej dłoni, ciążył mu jak ołów.

- Dlaczego nosisz to nawet w pałacu?

- Czekam na wiadomość od Deboque'a. - Objęła rękami nagie ramiona i potarła, próbując się ogrzać. - Muszę być gotowa.

- Co to za wiadomość?

- Lepiej, żebyś zapytał...

- Pytam ciebie. - Jego głos był jak smagnięcie szpicrutą, której używał rzadko, ale skutecznie. - Co to za wiadomość?

Podciągnęła kolana pod brodę, wahając się, co może mu powiedzieć. Ostatecznie uznała, że i tak wie prawie wszystko.

- A więc poświęcimy część wschodniego skrzydła. Sprytne - rzekł w zamyśleniu, wpatrując się w ostrze, które obracał w uniesionej dłoni. Wiedział, że gdyby tylko mógł, bez chwili wahania zatopiłby je w sercu Deboque'a.

- Najważniejsze, żeby wypadło autentycznie - westchnęła. - Deboque nie podzieli się pieniędzmi, póki nie będzie przekonany, że Cordina nie ma już następcy tronu.

- Chce zabić dzieci - rzekł półgłosem. - Nawet to jeszcze nie narodzone. Po co? Dla zemsty, władzy, pieniędzy?

- Owszem. Ale tym razem zgubi go własna zachłanność. Obiecuję ci to.

Powiedziała to z taką pasją i wiarą, że spojrzał na nią uważnie. Jej szeroko otwarte oczy pociemniały z emocji. Była gotowa poświęcić wszystko, by bronić jego rodziny. Ale przecież musi też chronić siebie. Ta prosta prawda objawiła mu się tak samo gwałtownie jak miłość do Hannah. Zrozumiał, że jest mu obojętne, co zrobi i jakich użyje środków. Najważniejsze, żeby była bezpieczna.

Schował ostrze i odłożył nóż. Potem zdjął pasek z jej uda. W pokoju było ciepło, ale ona miała lodowate dłonie. Gdy poczuł ten chłód, zrobiło mu się jej bardzo żal. Jeszcze mocniej zaprzagnął opiekować się nią i ją chronić.

W napięciu patrzyła, jak wstawał. Próbowała przygotować się na to, że za moment ją odrzuci, odejdzie, Kiedy jednak wziął ją na ręce, nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

- Powinnaś bardziej mi ufać - szepnął.

Dopiero wtedy odetchnęła. Przytulił ją do siebie, pocałował w głowę, a potem zaniósł do sypialni.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przesyłka została dostarczona w oficjalny sposób. Przywiózł ją samochód firmy kurierskiej kontrolowanej przez Deboque'a. Na szarym kartonie widniał adres zwrotny ciotki Hannah oraz wyraźny napis: „Ostrożnie”.

Jedyny problem polegał na tym, że przy odbiorze była Eve.

- Ach, co za niespodzianka! - cieszyła się, oglądając pudło ze wszystkich stron. - To pewnie gwiazdkowy prezent. Nie otworzysz?

- Przecież to jeszcze nie święta. - Hannah z uśmiechem schowała paczkę do szafy. Przy pierwszej nadarzającej się okazji miała ją przekazać Reeve'owi.

- Ależ Hannah, jak możesz podchodzić do tego tak obojętnie? - Eve zaczęła nerwowo krążyć po pokoju. Od kilku dni była rozdrażniona. - Czy przed Gwiazdką nigdy nie szperałaś po szafach w poszukiwaniu prezentów?

- Nigdy. - Hannah spokojnie układała w wazonie kwiaty, które od niej dostała. - Po co miałam sobie psuć radość świątecznego poranka?

- Zupełnie cię nie rozumiem. - Eve wzruszyła ramionami. - Słuchaj, a może chociaż zajrzemy do środka?

- Nie - powiedziała zdecydowanie. - Zresztą i tak wiem, co tam jest. Kilka tuzinów domowych ciasteczek, twardych jak kamień. Ciotka Honoria nie lubi zaskakiwać.

- W ogóle nie czuję, że to Boże Narodzenie - westchnęła smętnie Eve. - Niby wszystko jest jak trzeba, choinka, prezenty, ale jakoś nie ma atmosfery.

- Tęsknisz za domem?

- Za domem? Nie. Przecież tu jest mój dom. Wszystko przez te nerwy. Aleks próbuje mnie chronić, udaje, że jest normalnie, ale ja i tak wiem, co się święci. Nawet Bennett, kiedy z nim rozmawiam, jest nieobecny duchem. Hannah, to się musi skończyć. Nie mogę znieść, że ludzie, których kocham, tak bardzo się męczą.

- Chodzi ci o Deboque'a, prawda? - Nie mogła udawać, że nie ma o niczym pojęcia.

- Właśnie. Wiesz, ja nawet nie potrafię pojąć, jak człowiek może być aż tak zły i okrutny.

- Większość z nas nie potrafi pojąć istoty zła. Najważniejsze mu się nie dać. Nie pozwolić, żeby zniszczyło nas i nasze życie.

- To prawda - przytaknęła. - Wiesz, dla mnie gorsze od strachu jest przecucie, że Deboque nie spocznie, póki nas całkiem nie zniszczy. Nienawidzę bezradności. Gdybym tylko mogła, naplułabym mu w twarz.

- Rozumiem, co czujesz. - Hannah przysięgła sobie, że przy pierwszej okazji zrobi to w jej imieniu.

- Eve, może pójdziemy do sali balowej? - zaproponowała, chcąc zająć jej myśli czymś innym - Chciałabym ci jakoś pomóc w przygotowaniach. - I odciągnąć cię od paczki w mojej szafie, dodała w myślach.

- Dobrze, ale przedtem musimy wstąpić do mnie.

- Eve uśmiechnęła się tajemniczo. - Mam dla ciebie prezent.

- Prezenty daje się w pierwszy dzień świąt - przypomniała jej, gdy szły w stronę książących apartamentów.

- Dobrze, dobrze - śmiała się Eve. - Mój prezent nie może czekać - dodała. Nie wspomniała o tym, że dzięki niemu chciała choć na chwilę zapomnieć o własnych problemach. Doktor przestrzegał ją, że silny stres może być groźny dla dziecka. - Przecież wiesz, że księżnej się nie odmawia. Zwłaszcza gdy jest w ciąży.

- Sprytnie to sobie wymyśliłaś. Czy dobrze zrozumiałam, że Gabriella przyjeżdża dziś po południu?

- Tak. Z całą rodziną.

- Doskonale.

Odetchnęła z ulgą. W zamieszaniu łatwiej będzie przekazać pakunek Reeve'owi.

- Czy Bennett schował już do sejfu swój największy skarb? - zapytała lekko.

- Skarb? Ach, masz na myśli jo - jo. - Wchodząc do salonu, Eve po raz pierwszy od dawna czuła się odprężona. - Obawiam się, że nie miał na to czasu. Przez tę nieszczęsną awanturę z Debokiem jest jakiś nieswój. Powinien być w siódmym niebie, bo wreszcie udało mu się przeforsować projekt, o który bardzo długo walczył. A on wygląda jak z krzyża zdjęty. Obawiam się, że nie śpi po nocach.

- O jakim projekcie mówisz? - zainteresowała się Hannah, idąc za nią do garderoby.

- Bennett bardzo kocha dzieci. Działa w organizacji pomagającej upośledzonym i kalekim maluchom. Przez ostatnie pół roku namawiał zarząd muzeum, żeby zgodził się dobudować specjalne skrzydło, przeznaczone dla najmłodszych. W końcu udało mu się uzyskać zgodę. Nie wspominał ci o tym?

- Nie, nie wspominał.

- Musisz go poprosić, żeby pokazał ci projekty. Zrobił je na własny koszt. Chciał, żeby było dużo światła i przestrzeni, w której dzieciaki czułyby się swobodnie. Członkowie zarządu bardzo się krzywili, kiedy przedstawiał im swoje pomysły. Nie mieściło im się w głowie, że dzieci mogłyby dotykać rzeźb, a zamiast Rubensów i Renoirów oglądać ilustracje do ulubionych bajek.

- Nie miałam pojęcia, że Bennett angażuje się w takie sprawy...

- O, tak. Cokolwiek robi, wkłada w to całe serce. - Eve wyjęła z szafy duże, podłużne pudełko i ostrożnie położyła je na sofie. - Dziwne, że ci o tym nie mówił.

- Cóż... Muszę powiedzieć, że jestem trochę zaskoczona. Bennett często sprawia wrażenie... beztroskiego. Można nawet pomyśleć, że interesują go tylko konie i przyjęcia.

- Wiem, ma opinię lekkoducha. Ale wierz mi, to bardzo dobry człowiek. Myślałam, że jesteście ze sobą blisko?

- Jest dla mnie bardzo uprzejmy.

- Hannah, daj spokój. Przecież widzę, jak na ciebie patrzy. Kiedy jesteś obok, nie spuszcza z ciebie oczu.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Eve uśmiechnęła się ironicznie. Nagle poczuła się zmęczona, więc przysiadła na brzegu fotela. - Sama wiesz - powiedziała, patrząc Hannah w oczy - że ostatnie dni były dla wszystkich ciężkie. Ale ja miałam przynajmniej tę radość, że widziałam, jak Bennett się w tobie zakochuje. On chyba też nie jest ci obojętny. Mam rację?

- Tak. - Teraz, gdy za moment cała prawda i tak miała wyjść na jaw, nie musiała się z tym kryć. - Bennett jest dla mnie kimś wyjątkowym Eve, nie chciałabym, żebyś robiła sobie złudne nadzieje. Pewne rzeczy po prostu nie mogą się zdarzyć.

- Mam prawo wyobrażać sobie, co chcę - zauważyła poważnie, a potem położyła dłoń na pudełku. - A teraz otwórz swój prezent.

- To prośba czy polecenie?

- Jak wolisz. No, już! Otwieraj, bo nie mogę się doczekać twojej reakcji!

- To wbrew moim zasadom, ale skoro nalegasz... - Hanna z rezygnacją uniosła przykrywkę. Wnętrze wysłane było cieniutką, przyjemnie szeleszczącą bibułą. Odsunęła ją ostrożnie i... zaniemówiła z wrażenia.

W środku leżała suknia balowa, połyskująca i lśniąca jak klejnot. Jedwab, z którego ją uszyto, miał głęboką, szlachetną barwę szmaragdu. W promieniach popołudniowego słońca skrzył się misterny haft z drobnych koralików.

- Wyjmij ją - nalegała Eve, a widząc bezruch Hannah, zniecierpliwiła się i zrobiła to za nią.

Jedwab zasumiał, westchnął, po czym miękko opadł na podłogę. Suknia miała elegancki, prosty krój, a jej największą ozdobą była góra z odkrytymi ramionami i bogato zdobioną, przylegającą do szyi stójką, która zastępowała naszyjnik. Dół przypominał odwrócony kielich kwiatu i spływał harmonijnie do samej ziemi. To była suknia - marzenie, stworzona, by błyszczeć w świetle świec lub księżyca.

- Podoba ci się? - dopytywała się Eve. - Powiedz, że tak. Zameczałam o nią krawcową przez cały miesiąc.

- Jest precudna. - Hannah nieśmiało dotknęła brzegu spódnicy. - W życiu nie widziałam piękniejszej. Nie wiem, co powiedzieć...

- Powiedz, że włożysz ją na nasz bal. - Uszczęśliwiona Eve pociągnęła ją do wysokiego lustra i przyłożyła suknię do jej ramion. - Ach, sama popatrz, jak ci w niej ślicznie. - Roześmiana, odsunęła się, zmuszając Hannah, by wzięła suknię do rąk. - Wiedziałam, że będzie ci dobrze w tym kolorze. Jak Bennett cię w niej zobaczy, całkiem straci głowę.

- Ja naprawdę nie wiem, czy powinnam...

- Ale ja wiem. Powinnaś! I zrobisz to, bo nie przyjmę odmowy.

- To brzmi groźnie. - Hannah próbowała się uśmiechnąć. Z całego serca pragnęła sprawić przyjemność nie tylko Eve, lecz również sobie. Jednak poczucie obowiązku było silniejsze niż próżność. Kreacja godna hollywoodzkiej gwiazdy nie pasuje do skromnej lady Hannah. - Eve, zrobiłaś mi wspaniałą niespodziankę, ale ja... nie czułabym się dobrze w takiej sukni. To nie dla mnie. Nie umiałabym jej nosić.

- Zaufaj mi, moja droga. Ja w tych sprawach rzadko się mylę. Nie zapominaj, że pół życia spędziłam w teatrze, więc wiem, kto się do czego nadaje. Jeśli naprawdę jesteś moją przyjaciółką, nie odmawiaj mi tej przyjemności.

Hannah chciała być przyjaciółką Eve. Choć było to wbrew regułom gry, bardzo się z nią zżyła i traktowała ją jak kogoś bliskiego. Po chwili wahania uznała, że nic się nie stanie, jeśli przyjmie luksusowy podarunek. Jest przecież wielce prawdopodobne, że w czasie balu nie będzie jej już w Cordinie.

- Czuję się jak Kopciuszek - westchnęła, gładząc miękki materiał.

- I bardzo dobrze. Pamiętaj, że czar nie musi prysnąć. Czasami zegar zapomina wybić północ.

Tym razem jednak nie zapomniał. Hannah wspominała słowa Eve, idąc za Reeve'em przez uśpiony pałac. Gra dobiegała końca, podobnie jak jej czas.

W przesyłce prócz materiałów wybuchowych znalazła wiadomość. Deboque nakazywał, by uderzyła tej nocy. Potem miała się spotkać z jego człowiekiem. O pierwszej, w pustym doku. Tam miała otrzymać zapłatę.

- To się musi udać - mruzczała Hannah pod nosem, gdy razem z Reeve'em instalowali materiały wybuchowe.

- Z zewnątrz będzie wyglądało tak, jakby w pałacu szalał pożar - wyjaśniał Reeve. - Eksplozja narobi huk, ale nie wyrządzi większych szkód. Co najwyżej wyleci parę szyb. A jak to nie wystarczy, Malori postara się o efekty specjalne.

- Jest teraz z księciem?

- Tak. Armand wtajemnicza we wszystko resztę rodziny. Malori był temu przeciwny, ale udało mi się go przekonać, że tak będzie lepiej. Miałaś rację, trzeba ich uprzedzić.

- A wyobrażasz sobie, żeby nie? Pomyśl, co mogłoby się stać z Eve. A Bennett? Jest bezpieczny?

- Tak. - Reeve wolał nie wchodzić w szczegóły. - Dobrze, masz dziesięć minut na opuszczenie pałacu. Rozmieściłem ludzi w doku, więc w razie czego będziesz miała natychmiastowe wsparcie. Ja będę na łodzi, z której obserwujemy jacht Deboque'a. Uderzymy, kiedy tylko dasz nam sygnał. Hannah, wiesz, że ryzykujesz, zakładając podsłuch. Jeśli cię przeszukają...

- Poradzę sobie. - Machinalnie dotknęła medalionu, w którym ukryto maleńki mikrofon.

- Jeśli Deboque się zorientuje, nie zostanie ci wiele czasu na obronę.

- Spokojnie, potrafię być szybka. - Pewnym gestem położyła dłoń na jego ramieniu. - Reeve, nie bój się, ja nie chcę umierać. Będę się bardzo starała.

- Mam opinię faceta, który nie przynosi pecha partnerom - powiedział, patrząc jej w oczy.

- Tym lepiej dla mnie - uśmiechnęła się. - Mam do ciebie osobistą prośbę. Gdyby coś poszło nie tak, wiesz, o czym mówię... czy przekażesz Bennettowi kilka słów?

- Jasne.

- Powiedz mu, że... - Zawahała się, nie przyzwyczajona do powierzenia innym swych sekretów. - Powiedz, że go kochałam. I że niczego nie żałuję.

Gdy opuszczała pałac, zegar właśnie wybijał północ. Jadąc w stronę głównej bramy, modliła się w duchu, by czar zechciał trwać. Strażnicy powitali ją i bez przeszkód pozwolili opuścić teren rezydencji. Ponieważ nie mieli pojęcia o całej akcji, byli trochę senni. Zaraz



zerwą się na równe nogi i pobiegną gasić pożar, westchnęła, obserwując ich we wstecznym lusterku.

Co chwila zerkącała na zegarek, odliczając niecierpliwie minuty. Jeszcze trochę i Bennett wreszcie będzie bezpieczny. Skończy się koszmar, który od dziesięciu lat prześladował Bissetów. Bez względu na to, co się z nią stanie, Deboque trafi za kratki. Jeśli jej zapłaci, odpowie za udział w spisku. Jeśli zaś ją zabije, zostanie oskarżony o zabójstwo agentki ISS. Cel uświęca środki.

Zatrzymała samochód i opuściła boczną szybę. Malori obiecał, że wybuch będzie bardzo głośny. Dotrzymał słowa. Z odległości dwóch kilometrów pałac wyglądał jak niewyraźny, biały obłok. Za to wschodnie skrzydło płonęło niczym pochodnia. Jeśli ludzie Deboque'a widzą to samo co ona, ma prawo odczuwać satysfakcję z dobrze wykonanej roboty. Za mniej więcej dwadzieścia minut tajniacy Maloriego zaczną rozpuszczać złowrogie wieści. Cordina pograży się w żałobie, opłakując tragiczną śmierć dzieci i wnuków księcia Armanda.

W dokach nie było żywej duszy. Kto mógł, pobiegł do telewizora lub radia słuchać wiadomości. Hannah zaparkowała samochód i wolno z niego wysiadła. Stojąc w jasnym świetle nadbrzeżnej latarni, stanowiła doskonały cel.

Mały, luksusowy jacht kotłował się na kotwicy kilkadziesiąt metrów od pustej plaży. W ciągu dnia po pokładzie kręciła się atrakcyjna brunetka, której towarzyszył młody, muskularny mężczyzna. Razem popijali wino, pływali, wylegiwali się na rozgrzanych deskach. Strażnicy Deboque'a, którzy z pokładu „Niepokonanej” obserwowali ich przez lornetkę, robili zakłady o to, kiedy wreszcie zaczną kochać się pod gołym niebem. Każdy dzień kończył się rozczarowaniem.

Pod pokładem łodzi kochanków służby wywiadowcze zainstalowały najnowocześniejszą aparaturę szpiegowską. Grupa złożona z ośmiu mężczyzn i trzech kobiet dzień i noc śledziła monitory pokazujące obrazy z kilku kamer o dalekim zasięgu.

Bennett od wielu godzin nie ruszył się z miejsca. Wpatrywał się ekran tak intensywnie, że rozbolały go oczy. Niestety, ani razu nie udało mu się dojrzeć Deboque'a. Z niecierpliwością czekał, by wreszcie spojrzeć mu w twarz. A jeszcze mocniej pragnął usłyszeć, że operacja została zakończona i Hannah jest wreszcie bezpieczna.

- MacGee zaraz tu będzie - rzucił jeden z mężczyzn, przyciskając do uszu słuchawki.

Po kilku sekundach do zatłoczonej kabiny wśliznął się Reeve. Był ubrany na czarno, nawet jego twarz i dłonie pokrywała ciemna maź.

- Pierwszy etap mamy za sobą - oznajmił, skinąwszy Bennettowi na powitanie. - Z zewnątrz wygląda to tak, jakby całe wschodnie skrzydło zostało zniszczone.

- Co z rodziną? - Bennett spojrzał mu w oczy.

- W porządku. Są bezpieczni.

- A Hannah?

Reeve upił duży łyk mocnej, gorącej kawy.

- Jest w porcie. Nasi ludzie cały czas ją obserwują. Pewnie zaraz się z nami połączy.

Bennett posłał mu długie, twarde spojrzenie. Walczył o to, żeby być w dokach razem z agentami. Niestety, opór ze strony Armanda, Reeve'a i Maloriego okazał się zbyt silny. Ostatecznie przekonał go argument, że jeśli ktoś by go rozpoznał, operacja byłaby spalona. Musiał więc pogodzić się z tym, że Hannah została sama, zdana wyłącznie na siebie.

- Deboque nie pokazał się ani razu.

- Ale wiem, że tam jest. - Reeve zaciągnął się papierosem. - Na pewno nie przegapiłby takiego widowiska.

- Mamy kontakt! - zawołał facet ze słuchawkami. - Nawiązała z nami łączność.

- *Mademoiselle!*

Hannah od razu rozpoznała mężczyznę, który pierwszy raz zabrał ją do Deboque'a.

- Witam pana, *monsieur*. Wywiązałam się ze swojej części umowy. Czy ma pan dla mnie gratyfikację?

- Taka piękna noc. Wprost wymarzona na krótki rejs.

A więc jacht. Poczwała silny dreszcz niepokoju i podniecenia.

- Rozumiem, że nie wracam już do Cordiny?

- Nie ma takiej potrzeby. Zapraszam. - Wskazał motorówkę.

Nie miała wyboru. Wprawdzie mogła zaryzykować i przyłożyć mu lufę do czoła. Może zgodziłby się kupić życie w zamian za skórę Deboque'a. Podświadomie czuła jednak, że nie wolno jej stawiać wszystkiego na jedną kartę. Nie mogła przecież narażać Bennetta na nieuchronną zemstę, gdyby jej się nie udało. Uśmiechnęła się więc do mężczyzny i wsiadła do chybotałowej łódki.

Tak jak poprzednio, na pokładzie powitał ją Ricardo.

- Lady Hannah, jak miło panią widzieć.

W wyrazie jego oczu było coś złowrogiego, jakby cień sadystycznego zadowolenia. Natychmiast pojęła, że jej los jest przesądzony. Poczwała się tak, jakby ktoś przyłożył jej nóż do gardła. Mimo to nie straciła zimnej krwi. Kiedy się odezwała, jej głos był chłodny i stanowczy. I, miała taką nadzieję, dobrze słyszalny w słuchawkach agenta ISS.

- Dziękuję, Ricardo. Sądzę, że to nie potrwa długo. Nie ukrywam, że na wodach Cordiny nie czuję się teraz pewnie.

- Za godzinę odpływamy.

- Dokąd?

- Tam, gdzie klimat jest dla nas łaskawszy. Przed chwilą radio podało tragiczne wiadomości z książęcego pałacu. Co za niepowetowana strata!

- Czy *monsieur* Deboque został o wszystkim poinformowany?

- Naturalnie. Czeka na panią w swojej kabinie. Można? - zapytał, sięgając po jej torebkę.

- Czy wszyscy pracownicy pana Deboque'a są poddawani tak szczegółowej kontroli?

- Dla pani możemy zrobić wyjątek, jeśli odda mi pani dobrowolnie swoją broń. - Wyjął z torebki pistolet i schował do kieszeni. - A teraz poproszę o nóż.

Wzruszyła ramionami, po czym bez słowa podkasła spódnicę. Wiedziała, że Ricardo gapił się na jej uda, gdy wyciągała broń. Bez uprzedzenia nacisnęła przycisk. W chwili gdy z rękojeści wyskoczyło długie ostrze, z boku dobiegł szcęk odbezpieczanych karabinów.

- To wspaniałe narzędzie - powiedziała, podnosząc ostrze do światła. - Dyskretne, eleganckie i niezawodne. - Z uśmiechem nacisnęła przycisk i ostrze z cichym kliknięciem ukryło się w rękojeści. - Tylko ktoś całkiem szalony mógłby zanurzyć je w sercu człowieka, który chce zapłacić pięć milionów dolarów. - Położyła nóż na wyciągniętej dłoni Ricarda. Teraz do obrony pozostały jej tylko gołe pięści. - Idziemy? - Spojrzała na niego pytająco. - Pieniądze cieszą mnie najbardziej, gdy są jeszcze ciepłe.

Deboque czekał na nią w kabinie oświetlonej mnóstwem świec. Tym razem włożył bordową marynarkę i rubiny. Kolory krwi. Z głośników płynęła sonata Beethovena, na stoliku mroził się szampan.

- Witam, lady Hannah. Jest pani słowna, a to rzadka cecha w dzisiejszych czasach. Zostaw nas, Ricardo.

Za jej plecami cicho zamknęły się drzwi. Wiedziała, że natychmiast stanęło za nimi kilku uzbrojonych po zęby ludzi.

- Co za miła atmosfera - pochwaliła. - Nieczęsto finalizuje się umowy w świetle świec.

- Myślę, że na tym etapie możemy sobie darować formalności. Pozwól, Hannah, że uczymy szampanem nasz triumf. - Korek wyskoczył z butelki z cichym sykiem, złocisty płyn zapienił się w smukłych kieliszkach. - Za pierwszorzędnie wykonane zadanie. I za jeszcze lepszą przyszłość.

- Uwielbiam szampana, ale uważam, że smakuje dużo lepiej wzmocniony zapachem pieniędzy.

- Cierpliwości, moja droga. Za pomyślność. - Kryształ dźwięcznie zadzwonił o kryształ.

- Za pomyślność, *monsieur*. Mmm, wyborny rocznik.

- Znam panią już na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że robi na pani wrażenie tylko to, co najlepsze i najdroższe.

- Właśnie. Nie mam nic przeciwko szampanowi i świecom, ale chciałbym się dużo lepiej, gdybyśmy dobili targu.

- Ależ to przyziemne! - Skrzywił się z niesmakiem. - Wszystko w swoim czasie.

Podszedł do niej i dotknął jej policzka. Musiał przyznać, że światło świec dodawało jej urody. Gdyby miał dla niej więcej czasu, na pewno rozkwitłaby w jego ramionach. Wolał jednak nie ryzykować utraty wolności w zamian za parę miesięcy zabawy. Dlatego mógł poświęcić lady Hannah nie więcej niż godzinę. W tym czasie i tak można wiele zdziałać.

- Moja droga, jestem dziś w wyjątkowo radosnym nastroju. Wybacz, ale nie chcę mówić o interesach. Pragnę świętować. - Przesunął dłonią po jej szyi, zaledwie centymetr od ukrytego mikrofonu. Zwinnie chwyciła go za nadgarstek i uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy.

- To pan stworzył ten nastrój, najpierw odbierając mi broń. Lubi pan bezbronne kobiety?

- Wolę posłuszne. - Wsunął palce w jej włosy, rozkoszując się ich bujnością. Próbowała opanować się na tyle, by znieść pocałunek. Mogła mu się lekko opierać, to by go tylko podnieciło. Ale na pewno wściekłyby się, gdyby dostała torsji.

- Silna jesteś - mruknął, zanim pocałował ją w usta. - Lubię to. Kiedy cię wezmę do łóżka, chcę, żebyś mi się opierała.

- Zrobię, co pan sobie życzy. A nawet więcej. Tylko muszę przedtem zobaczyć moje pieniądze.

Zacisnął palce na jej szyi z taką siłą, że na moment straciła oddech. Przeraziła się, że zmiażdży jej krtań. Całe szczęście puścił ją. Obydwoje roześmiali się z przymusem.

- Dobrze, moja mała. Chcesz pieniędzy, więc je dostaniesz. Ale pamiętaj, że chcę czegoś w zamian.

Kiedy podszedł do sejfu, wytarła usta wierzchem! dłoni.

- Zdawało mi się, że już pan to dostał.

- Tak, życie rodziny książęcej to cenny dar. Wart, by zapłacić zań pięć milionów dolarów. Zabiłaś dla mnie Bissetów - mówił, stawiając na biurku metalową kasetkę. - Czy wiesz, drogie dziecko, że mogłaś śmiało prosić o dużo więcej? Nie ma ceny, której bym nie zapłacił, żeby wreszcie poczuć słodki smak zwycięstwa. Od dziesięciu lat próbuję ich unicestwić. Dwa razy niemal mi się udało. I wreszcie się doczekałem. Zrobiłaś to dla mnie. Zabiłaś ich wszystkich za marne pięć milionów.

- Dobra, mamy go. Starczy! - zawołał Reeve, zdejmując z uszu słuchawki. - Ruszajcie. Tylko spokojnie.

- Płynę z wami. - Bennett mocno chwycił go za ramię.

- Nie ma mowy!

- Powiedziałem, płynę z wami! Daj mi broń, albo pójdę tam z gołymi rękami.

- Dostałem rozkaz, żebyś się stąd nie ruszał.

- A gdyby tam była Brie? - Oczy Bennetta błyszczały gorączkowo. - Siedziałbyś spokojnie i czekał, aż inni zrobią wszystko za ciebie?

Reeve spojrział na dłoń zaciśniętą wokół jego ramienia. Potem podniósł wzrok i nagle dzikie oczy Bennetta wydały mu się uderzająco podobne do oczu żony. Była w nich taka sama namiętność. Bez słowa podszedł do szafy i wyciągnął z niej automatyczną czterdziestkę piątkę.

Zaraz ruszą do akcji. Hannah starała się o tym nie myśleć. Nie chciała, by zdradziło ją nerwowe drżenie głosu.

- Pięć milionów w zupełności mi wystarczy - powiedziała lekko. - Mam zamiar dobrze zainwestować i przez kilka następnych lat cieszyć się życiem w Rio.

Milczał. Nie spuszczać z niej oczu, otworzył kasetkę. Rzeczywiście były w niej pieniądze, ale wcale nie zamierzał się z nimi rozstawać. Już dawno przeznaczył je na własne cele.

- Czyżbyś nie chciała już dla mnie pracować?

- Po tym, co dziś się wydarzyło, ryzyko jest zbyt duże.

- Słusznie. - Podniósł wieko. Wspaniałomyślnie pozwolił jej zajrzeć do środka. Niech przed śmiercią nacieszy oczy.

- Co za widok! - Nie zamierzała przedwcześnie wypadać z roli. Podeszła do biurka, wzięła do ręki plik studolarówek, podniosła je do twarzy i wciągnęła głęboko powietrze. - Mmm, kocham ten zapach. Jest taki zmysłowy, nie sądzi pan?

- Sądę. - Bezszelestnie odsunął górną szufladę, w której leżał rewolwer o rękojeści inkrustowanej macicą perłową. Postanowił, że zada jej elegancką śmierć. Wziął broń do ręki w tej samej chwili, gdy na górnym pokładzie rozległy się pierwsze strzały.

Hannah spojrzała nerwowo za siebie, po czym bez namysłu zatrzasnęła kasetkę i rzuciła się w stronę drzwi.

- Co to ma znaczyć, *monsieur* Deboque?! - zawołała, szarpiąc za klamkę.

- Nie ruszaj się! - Stał za biurkiem, celując prosto w jej serce. - Dawaj kasetkę!

- Chciałeś mnie przechytryć, co? - zawołała, próbując grać na zwłokę. - O, tak! Teraz rozumiem, dlaczego zapłaciłbyś mi dużo więcej. Słowa nic nie kosztują, prawda?

- Kasetka. I to już! - Wolno ruszył w jej stronę. Z pokładu dobiegał coraz większy hałas. Deboque poczuł pierwsze ukłucie strachu. Nie bał się śmierci ani klęski, jednak na myśl o tym, że resztę życia miałby spędzić w więzieniu, przechodziły go dreszcze. Drugi raz nie przeżyłby niewoli.

Wyczekała, aż podejdzie bliżej. Wtedy wzięła mocny zamach i cisnęła w niego kasetką, celując w rękę w rewolwerem.

Ludzie Deboque'a bronili się do upadłego. Wściekła seria z broni maszynowej przecięła pokład, zasypując głowę Bennetta gradem odłamków drewna i szkła. Nawet tego nie poczuł. W jego mózgu została tylko jedna myśl. Hannah jest w rękach Deboque'a. Jeszcze żyje, ale czasu mają coraz mniej. Skulił się i chyłkiem dobiegł do steru. Potem bezszelestnie zanurzył się w czarną otchłań wody.

Odgłosy coraz rzadszych wystrzałów i krzyki mężczyzn niosły się daleko po spokojnym morzu. Bennett widział, jak z pokładu jachtu ktoś skacze i co sił płynie do dalekiego brzegu. W pewnej chwili otarł się o unoszące się na wodzie zwłoki. Odepchnął je i ostrożnie podpłynął do burty.

Reeve miał właśnie dać ludziom sygnał do zajęcia jachtu, gdy nagle zorientował się, że nigdzie nie widać Bennetta.

- Książę... - wykrztusił przez zaciśnięte gardło. - Na Boga, gdzie jest Bennett? Widział go kto?

- Tam! - Jeden z ludzi wskazał ciemny kształt przemykający obok steru białego jachtu.

- Chryste! - Reeve złapał się za głowę. - Za mną! Wchodzimy na pokład!

Bennett nie spotkał na górze żywej duszy. Ucichły ostatnie, sporadyczne wystrzały, więc bez przeszkód dostał się na dół. Czekając, aż Hannah nawiąże kontakt, prześledził plan jachtu, który sporządziła po pierwszym spotkaniu z Debokiem. Miał go w głowie, więc nie zwlekając pobiegł jej szukać.

Hannah zdołała kopnąć rewolwer w kąt kajuty, ale nim zdążyła go osiągnąć, Deboque zwał się jej na plecy. Był dużo silniejszy i szybszy niż sądziła. Zaczął ją dusić, ale zdołała oswobodzić jedną rękę i uderzyć go pięścią w twarz. Przez chwilę obydwój z trudem łapali powietrze. Pierwsza odzyskała panowanie nad sobą, obróciła się szybko na bok i wyciągnęła rękę po broń. Dotknęła opuszkami palców rękojeści, lecz właśnie wtedy Deboque szarpnął ją z całych sił za włosy. Znow udało jej się wymierzyć mu cios, jednak nie na tyle silny, by go ogłuszyć.

Tarzali się po miękkim dywanie jak kochankowie. Z rozciętej wargi płynęła mu krew, pod jej poszarpaną, bluzką tworzyły się bolesne siniaki. Już prawie miała rewolwer, ale wykorzystał moment jej nieuwagi. Uderzył ją tak mocno, że na sekundę pociemniało jej, w oczach. Gdy minęło zamroczenie, zobaczyła lufę przystawioną do skroni.

Błyskawicznie przygotowała się na śmierć. Walcząc o oddech, uniosła się nieco na łokciach. Jedyne, co jeszcze mogła zrobić, to spełnić przyrzeczenie i napluć mu w twarz.

- Jestem agentką ISS. Bissetowie żyją i są bezpieczni. A ty jesteś skończony - oznajmiła pewnym głosem.

Furia, którą ujrzała w jego oczach, sprawiła jej dziką przyjemność. Uśmiechnęła się lekceważąco i czekała na śmierć.

Kiedy Bennett wyważył drzwi do kajuty, ujrzał Deboque'a klęczącego przy Hannah z pistoletem w dłoni. Potem wydarzenia potoczyły się tak szybko, że później nie mógł sobie przypomnieć, kto strzelił pierwszy.

Deboque odwrócił się gwałtownie. Bennett spojrzał mu prosto w oczy. Kiedy odsunął od Hannah rękę z rewolwerem, krzyknęła i obróciła się na bok. Wtedy padły dwa wystrzały.

Kula przeleciała tak blisko jego głowy, że oparzyła mu skórę na skroni. Nie zdążył nawet zamknąć oczu, więc wyraźnie widział, jak na piersi Deboque'a rośnie plama krwi. Nim minęła sekunda, jego bezwładne ciało opadło na Hannah.

Dopiero wtedy zaczęła drżeć. Nie pomogły lata treningów. Przygwożdżona do podłogi przez sztywniejące zwłoki, dygotała tak mocno, że dzwoniły jej zęby. Była gotowa na śmierć, ale nie na widok kuli przechodzącej tuż obok skroni Bennetta.

Dreszcze nie ustały nawet wtedy, gdy pomógł jej się oswobodzić i mocno ją przytulił.

- Już po wszystkim - szeptął, kołysząc ją w ramionach. - Już dobrze. - Patrząc na martwego Deboque'a, nie czuł satysfakcji ani radości ze zwycięstwa. Czuł jedynie obezwładniającą ulgę. I wdzięczność. Hannah przeżyła.

- Mogłeś zginąć! Do cholery, Bennett, miałeś siedzieć w domu - wykrztusiła przez łzy.

- Dobrze, już dobrze. - Przez ramię zerknął na Reeve'a wbiegającego do kajuty. - Za chwilę wszyscy tam będziemy.

Otarła mokre policzki wierzchem dłoni i chwiejnie podniosła się na nogi.

- Mogę natychmiast składać raport - powiedziała, patrząc Reeve'owi w oczy.

- Do diabła z raportem! - Bennett poderwał się i wziął ją na ręce. - Zabieram cię stąd.



## EPILOG

Spała okrągłą dobę. Dopiero po obudzeniu dowiedziała się, że nadworny lekarz podał jej silny środek uspokajający. I zabronił wstawać przez kilka dni. Próbowwała się sprzeciwić, ale wyjaśniono jej, że takie jest polecenie księcia.

Złościła się więc z powodu przymusowego bezruchu, lecz w duchu musiała przyznać, że fizycznie nie jest w najlepszej formie. Podczas walki z Debokiem mocno ucierpiała.

Przez Reeve'a dowiedziała się, że przestępcza siatka została doszczętnie rozbita, a szefowie ISS docenili jej zasługi i w nagrodę awansowała na stopień kapitana. Miała więc powody do satysfakcji. Jednak zamiast się cieszyć, wierciła się niecierpliwie w łóżku i planowała, jak z niego uciec.

Dopiero w dniu bożonarodzeniowego balu Eve przyniosła jej pomyslnie wieści.

- Nie śpisz? Doskonale! - zawołała już w progu.

- Pewnie, że nie. I zaraz tu zwariuję - jęknęła żałośnie.

Eve przysiadła na brzegu łóżka.

- Hannah, nie będę ciągle powtarzać, jak bardzo jestem ci wdzięczna. Zamiast tego przekażę ci ostatnie polecenia doktora.

- Oszczędź mi tego!

- Więc wyobraź sobie, że powiedział, żebyś... - Eve zrobiła dramatyczną pauzę - natychmiast wyskakiwała z łóżka i szła na bal!

- Co takiego? - Hannah poderwała się tak gwałtownie, że niemal syknęła z bólu. - Naprawdę mogę wstać?

- I to zaraz! - Eve ze śmiechem podała jej szlafrok. - Za chwilę będzie tu moja fryzjerka. Obiecuję, że zamieni cię w prawdziwe bóstwo.

- W bóstwo? - Hannah z powątpiewaniem dotknęła potarganych włosów. - Chyba za pomocą czarnej magii.

- A choćby nawet. Nieważny sposób, ważny rezultat.

- Eve, dziękuję, że o mnie pomyślałaś. Obawiam się jednak, że mój udział w balu to nie jest najlepszy pomysł.

- Wręcz przeciwnie. No, wstawaj, nie mamy za wiele czasu - ponaglała, pomagając jej przy wstawaniu.

Jakby na dowód tego do pokoju zapukała pokojówka i oznajmiła, że fryzjerka czeka.

- Świetnie! - Eve wzięła Hannah pod rękę. - Uwaga, uwaga! Przygotuj się do wielkiej przemiany.

Przemiana była rzeczywiście ogromna. Hannah stała przed lustrem i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zdumiona patrzyła na swoje włosy, upięte za pomocą grzebieni i spływające do pasa w miękkich lokach, a także na cudowną suknię, która lśniła i szeleściła przy najlżejszym ruchu.

Brakuje mi tylko pantofelków Kopciuszka, westchnęła, uśmiechając się do siebie. Nie powinna żywić złudzeń. Z drugiej strony, to miał być jej pożegnalny wieczór z Bennettem. Wiedziała, że gdy zegar wybije północ, nie będzie niczego żałować.

W wielkiej sali balowej od dawna grała muzyka. Hannah swoim zwyczajem wśliznęła się niepostrzeżenie i zaszyła w cichym kącie. Stamtąd w spokoju napawała się niezwykłą urodą i bogactwem wnętrza. Lustra, kryształowe żyrandole, girlandy kwiatów. A pod jedną ze ścian gigantyczna choinka, przybrana tysiącem szklanych aniołów, w których załamywało się światło.

Bennett czekał na nią. Kiedy wreszcie pojawiła się w drzwiach, z zachwytu oniemiał. Zapomniał się do tego stopnia, że bez słowa wyjaśnienia opuścił swoich rozmówców.

- Na Boga, Hannah! - szepnął, biorąc ją za rękę. - Wyglądasz olśniewająco - wykrztusił w końcu.

- To zasługa Eve.

- Jak zwykle, jesteś skromna. - Objął ją w pól i wskazał wirujące pary. - Czy można prosić cię do walca?

Stanowili zachwycającą parę. Ona w mieniącej się zieleni, a on w galowym mundurze oficera marynarki.

Kiedy po kilku tańcach wyprowadził ją na taras, długo nie mogła złapać tchu. To chyba czary, myślała, odruchowo zerkając na wieżę zegarową. Do północy zostało zaledwie parę minut.

Pod nimi rozciągały się bajkowe ogrody, z których unosił się ku górze wspaniałe zapach.

- I pomyśleć - wyszeptała - że w Anglii pada teraz deszcz ze śniegiem. Rano będzie zupełnie biało albo szaro i mokro. Ludzie siedzą przy kominku i popijają rum. W powietrzu czuć cudowny zapach świąt.

- Na brak śniegu nic nie poradzę. - Uśmiechnął się, całując ją w rękę. - Ale służę rumem przy kominku.

- Ach, mniejsza o śnieg. - Popatrzyła mu w oczy. - Od tej chwili Boże Narodzenie będzie mi się kojarzyło z zapachem róż i jaśminu.

- Zaczekasz chwilę?

- Oczywiście.

- Tylko się stąd nie ruszaj. - Szybko pochylił się i jeszcze raz pocałował ją w rękę. - Zaraz wracam.

Kiedy odszedł, spojrzała na ciemne morze. Na jego tle migotały światełka jachtów cumujących w zatoce. Widziane z góry, wyglądały jak rój świetlików.

Patrząc na nie, myślała o tym, że za kilka dni będzie w domu. Cordina stanie się dla niej pięknym wspomnieniem, które z biegiem czasu zblednie. Zapomni o Cordinie, ale nigdy o Bennetcie. Kątem oka dostrzegła spadającą gwiazdę, jednak nie odważyła się wypowiedzieć życzenia.

- Mam coś dla ciebie! - oznajmił zdyszany.

- Nie?! - zawołała z niedowierzaniem, czując znajomy zapach. - Gorące kasztany?

- Chciałem dać ci coś... znanego.

Spojrzała mu w oczy. Tak wiele chciała powiedzieć, ale po raz pierwszy w życiu nie miała dość odwagi. Dlatego w milczeniu wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Dziękuję.

Musnął palcami jej twarz.

- Nie poczęstujesz mnie?

- Przepraszam, wszystko przez ten zapach - roześmiała się. - Dopiero teraz naprawdę czuję, że są święta.

- Pomyślałem, że jeśli Cordina będzie ci się kojarzyła z domem, może zechcesz zostać dłużej.

Spojrzała na niego, a potem szybko spuściła wzrok.

- Dostałam rozkaz, żeby pod koniec tygodnia wracać do Anglii.

- Rozkazy! - Wzruszył ramionami. Chciał ją objąć, ale rozmyślił się i cofnął dłoń. - Praca jest dla ciebie taka ważna? - zapytał, nie kryjąc rozczarowania.

- Wiesz, że tak.

- Słyszałam, że cię awansowali.

- Owszem. - Cisza, która zapadła po tych słowach, wydała jej się niezręczna. - Na początku będę siedziała za biurkiem. I wydawała rozkazy - dodała ze sztuczną swobodą.

- Czy kiedykolwiek myślałaś o tym, żeby się wycofać?

- Wycofać się?

Wyraz zdumienia w jej oczach sprawił mu przykrość. Nagle przestraszył się, że ona rzeczywiście nie wyobraża sobie innego życia.

- A gdybyś mogła zastąpić pracę w ISS czymś innym? - badał ostrożnie. - Skusiłabyś się? Czy może za bardzo pociąga cię ryzyko?

- Nie myślę o tym w ten sposób - odparła wymijająco. Nagle zebrała się w sobie i powiedziała to, co nie dawało jej spokoju. - Nie mieliśmy dotąd okazji porozmawiać o wydarzeniach na jachcie. Chcę ci podziękować za to, że uratowałeś mi życie.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że zabiłem tego wściekłego psa - rzekł dobitnie. - Nie mogę patrzeć na to, co ci zrobił. - Delikatnie dotknął sińca na jej policzku, widocznego mimo grubej warstwy makijażu. Cofnęła się, ale ją przytrzymał. - Nie odwracaj się ode mnie - poprosił. - Kiedy zobaczyłem, jak do ciebie mierzy, myślałem, że oszaleję. Nagle wyobraziłem sobie moje życie bez ciebie. To byłby koszmar. Więc się ode mnie nie odwracaj.

- Dobrze - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Najważniejsze, że już po wszystkim. Jesteśmy bezpieczni.

- Hannah, nigdy w życiu się nie zgodzę, żebyś znowu narażała się na śmierć!

- Bennett, posłuchaj...

- To ty słuchaj! Nie zgodzę się. Rozumiesz? - Puścił ją i cofnął się o krok. - A teraz spróbuj tych cholernych kasztanów!

- Co? - zapytała, zbита z tropu. - Kasztany? Aha, słusznie. Na pewno są pyszne... - Drżącą ręką sięgnęła do torby, w której niespodziewanie wymacała jakiś zagadkowy przedmiot. - Co to jest?

- Gwiazdkowy prezent.

- Czyli mogę go otworzyć dopiero jutro rano.

- Czy musisz być taka zasadnicza?

- No dobrze. Ale robię to tylko dlatego, że jest świąteczny bal i... - Jedno spojrzenie na zawartość małego pudełeczka wystarczyło, by poczuła, że za chwilę zemdleje.

- Należał do mojej babki - wyjaśnił Bennett, bawiąc się końcami jej włosów. - Ona też była Angielką, wiesz?

- Bennett, ja nie mogę tego od ciebie przyjąć. - Jak urzeczona wpatrywała się w pierścionek ze szmaragdem. - Przecież to rodzinna pamiątka!

- Hannah! Co się z tobą dzieje? Zwykle jesteś taka bystra, a teraz udajesz, że nie wiesz, o co chodzi.

- Nie, ja tylko...

- Dobrze. Zapytam wprost. Zostaniesz moją żoną?

- Co ty mówisz?! Bennett, poniosły cię emocje...

- Nic podobnego. W życiu nie byłem bardziej pewny tego, co mówię. - Musiał użyć siły, by wyjąć pudełeczko z jej zaciśniętej dłoni, a potem, również siłą, włożył jej pierścionek.

- W porządku - stwierdził, całując ją w rękę. - Mam cię zaciągnąć do środka i oficjalnie ogłosić nasze zaręczyny, czy wolisz najpierw spokojnie porozmawiać?

- Ty i spokój? Nie żartuj! - roześmiała się. Nie protestowała, kiedy przytulił ją mocno i pocałował.

- Nie pozwolę ci odejść - szeptał z ustami przy jej ustach. - Zamiast panią kapitan, zostaniesz księżną. To chyba nie najgorsza zamiana, prawda?

- Pamiętaj, że nie jestem tą kobietą, którą pokochałeś...

- Skąd wiesz? Pomyśl lepiej, jakim jestem szczęściarzem. Zafascynowały mnie dwie całkiem różne kobiety. Zakochałem się w każdej z nich. I mogę je obie mieć. Czy tak?

- Przecież wiesz...

- Nie, nie, moja droga. - Odsunął ją od siebie. - Nie chcę żadnych gier, żadnej zabawy w półsłówka. Wykładaj karty na stół. Kochasz mnie?

- Kocham.

- I będziesz dzielić ze mną mój dom?

- Tak.

- I zaakceptujesz mnie razem z moją rodziną i obowiązkami?

- A mam wyjście?

- Nie.

- Więc po co pytasz?

Otoczyła go ramionami i pocałowała, wkładając w to całe serce i duszę. Nawet nie pomyślała o tym, że zegar już dawno wybił północ.